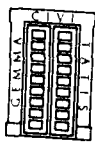


ZOFIA  
KOSSAK

# Błogosławiona wina



PAX

NA ZLECENIE  
ZGROMADZENIA MISJONARZY OBLATÓW M.N.  
INSTYTUT WYDAWNICZY PAX 1983

Kilkakrotne opracowanie tego samego wątku powieściowego ma precedensy, i to wśród największych nazwisk literatury światowej. Dość przypomnieć *Zwiastowanie* Claudela lub *Szaleństwo Almayera* Conrada. Te przykłady, acz onieśmielające, upoważniły autorkę niniejszego do podjęcia po raz drugi, po blisko ćwierć wieku, opowieści o porwaniu z Rzymu cudownego wizerunku Matki Boskiej przez księcia Mikołaja Sapiełę, pana na Kodniu, senatora Rzeczypospolitej Polskiej, fundatora wielu kościołów, o przydomku Pius, w następstwie swego uczynku wyklętego przez papieża Urbana VIII.

Opowieść jest najzupełniej autentyczna, oparta na licznych współczesnych dokumentach, z których niejedne znalazły się in extenso zarówno w poprzedniej jak w niniejszej relacji. Barwna, sensacyjna, dyszy żywotnością polskiego siedemnastowiecza.

Ani barwność, ani sensacyjność jednak nie zdecydowały o napisaniu jej po raz wtóry. Przyczyny, które to spowodowały, są głębsze i wymagają nieco szerszego omówienia.

W technice powieściowej obowiązują pewne reguły, które pisarz winien obserwować, o ile pragnie przekonać czytelnika o słuszności swego założenia. Najważniejszą z tych reguł jest logika w przedstawieniu danego wycinka życia. Zależnie od światopoglądu autora logika ta bywa wysnuta bądź z łańcucha ślepych faktów niezależnych od woli człowieka, bądź z jego świadomych czynów; z cech biologiczno-atawistycznych, z wpływów środowiska, bądź z nieubłaganych procesów socjalnych. Pisarza o światopoglądzie spirytualistycznym obowiązuje, niezależnie od wyznania, logika Prawa Bożego. Prawo Boże zgwałcone lub zachowane, odbija się karząco albo pozytywnie na losach i rozwoju bohaterów powieści.

W literaturze światowej znajdujemy mistrzowskie analizy skutków naruszenia Prawa Bożego, czyli skutków grzechu. W wielu z nich jednak uderza czytelnika nieubłagana atmosfera danej książki. Katolik, przyzwyczajony żyć w promieniach Łaski, z mimowolnym dreszczem grozy i niedowierzania śledzi dzieje bohaterów walczących rozpaczliwie a beznadziejnie z własnymi błędami i kończy książkę z przekonaniem, że te zapasy nie zostały przedstawione po katolicku, gdyż potęga zła wydaje się w nich nieomal równa potędze dobra.

Wrażenie to pochodzi i stąd, że w owych świetnych analizach i skrupulatnych przewodach sądowych uwypuklona zostaje sprawiedliwość, a brakuje w nich miejsca na miłosierdzie. Sprawiedliwość zaś bez miłosierdzia jest z konieczności okrutna. (Jak miłosierdzie bez sprawiedliwości jest niemoralnym pobłażaniem złu.)

Przyczyny tego braku tkwią w wymienionej powyżej obowiązującej logice. Miłosierdzie z natury swojej wydaje się w oczach ludzkich nie-logiczne, niekonsekwentne, gorszące dziś, jak gorszyło niegdyś brata syna marnotrawnego lub robotników, którzy wcześniej przyszli do winnicy. „Azali oko twoje złośliwe jest, żem ja dobry?” Owszem, nasze oczy ludzkie są zawistne, i lubimy, by winowajca został przykładownie ukarany.

Szanujemy również i od pisarza wymagamy, by szanował rzeczywiste naturalne prawo niezniszczalności wszystkiego, co istnieje. Ta niezniszczalność powoduje nie kończące się następstwo skutków, dławiące swoim ciężarem. Złamać to prawo, unicestwić taki lub inny zły czyn wraz z całym ewentualnym dziedzictwem — może tylko Bóg. On to praktykuje codziennie w tysiącach konfesjonałów, w dialogach sam na sam ze skruszonym sercem. Ale co wolno Bogu, nie wolno pisarzowi. Operowanie elementami tak odmiennymi od zwykłego rozumowania ludzkiego, tak wyłącznie Bogu przynależnymi i właściwymi, jakimi są miłosierdzie i zgładzenie winy — kończy się często sztucznością, łatwiną i utraceniem zaufania czytelnika.

Zastrzeżenia te dotyczą, rzecz prosta, fabuły powieściowej będącej tworem artystycznej wyobraźni pisarza. Nie dotyczą dziejów prawdziwych, gdzie autor usiłuje być tylko wiernym kronikarzem, i stąd głębokie wrażenie wywierane na czytelniku przez Żywoty Świętych.

Ze świętość jednak, będąca w rzeczywistości obowiązkiem każdego chrześcijanina, uchodzi w pojęciu ogółu za rzecz wyjątkową, a ludzie, których losy przepojone były łaską, ludzie, którzy szli, „nadzieją się weselący”, uważani są za szczególnie odmiennie istoty, w niezrozumiały sposób do świętości predestynowane — ich przykłady nie są uważane za miarodajne.

Nie lada zatem gratką dla pisarza katolickiego staje się fakt autentyczny, udokumentowany, dostatecznie dawny, by wynik był już przez historię osądzony i podsumowany, fakt, którego uczestnicy nie byli świętymi bynajmniej, a w którym, jak to ma miejsce właśnie w dziejach Mikołaja Sapiehy, miłosierdzie Boże kreśliło swe ściegi nieomal widocznie na powierzchni doczesności.

Do takiego faktu pisarz podchodzi z otuchą, widząc w nim przyłapanie na gorącym uczynku nieustannie przytomnej, miłosiernej Opatrzności; stwierdzenie, że człowiek nie jest pozostawiony bez pomocy, nie walczy sam. Najmiłosierniejsza dłoń ochrania go, kieruje na właściwą ścieżkę i strzeże z takim uporem, z tak czułym oddaniem, że trzeba nie lada wysiłku złej woli, by się od niej oderwać i odbić.

Jeżeli wspomniany pisarz fakt równie przejrzysty, demaskujący, jeśli tak rzec można, politykę Bożą, opracował po raz pierwszy pobieżnie i niedołącznie, urzeczony przede wszystkim zewnętrzną stroną i kolorytem lokalnym zdarzenia, cóż dziwnego, jeżeli u schyłku swojej pracy literackiej zapragnie podjąć to samo opowiadanie na nowo, by również niedołącznie, lecz bardziej świadomie uwypuklić jego rzeczywistą treść?

Sens i piękno owej nie zmyślanej treści polega na tym, że w danym

wypadku zbrodnia świętokradztwa, zbrodnia kuszenia i przyprawienie bliźniego o śmierć — nie przerodziły się w narzędzie zguby, nie pociągnęły lawiny dalszych zbrodni (jak to bywa zazwyczaj), nie posłużyły szatanowi do ukucia nowego ogniwa kajdan, w które usiłuje spętać świat — lecz okazały się błogosławioną zbrodnią, beatum scelus, szczęśliwą winą, felix culpa, nie pociągając za sobą kary wiecznej, lecz nagrodę. A stało się tak, ponieważ winowajcy okazali dobrą wolę i skruchę w ponoszeniu skutków winy, zaś miłosierdzie Boże dopełniło reszty.

Bo choć zdradzenie tej wielkiej tajemnicy może uchodzić za mało wychowawcze lub urażać nasze ciasne pojęcie o sprawiedliwości — nie istnieje zbrodnia, która by przebaczona być nie mogła. I Judaszowi zostałaaby darowana, gdyby pełen żalu padł u stóp Krzyża. I Kain, którego posępne dziedzictwo ciąży tak strasznie nad światem, mógł otrzymać odpuszczenie, gdyby nie zwątpił, wołając: „Większa jest nieprawość moja, niżbym miłosierdzia był godzien”. Najwięksi zbrodniarze, oprawcy i kaci byliby uratowani i rozgrzeszeni, gdyby tego chcieli, gdyby sięgnęli po Łaskę, która czeka na wszystkich, która leży na ulicy, którą można zgarniać oburącz — ukląkszy.

Ze zaś naczyniem wybranym, bramą i drogą, przez którą Łaska spływa z nieba ku ziemi, jest Maryja, że od wieków nie słyszano, iżby ktokolwiek, co by się pod Jej opiekę uciekał, o Jej wstawiennictwo błagał, miał pozostać opuszczony, że Ona Matką rodzaju ludzkiego i tylko przez Jej ręce Bóg zmieni grzeszny obecny świat w Królestwo swoje — jak przed ćwierć wiekiem, tak i teraz książka ta jest Maryi poświęcona, ofiarowana w najpokorniejszym wyrazie uwielbienia i hołdu.

*Zofia Kossak*

## Rozdział pierwszy

Pan Hornowski, rękodajny (czyli nie sługa, ale przyjaciel familiant), cofnął się, ponownie zawiedziony. Po raz drugi zaglądał do alkierza, by oznajmić wojewodzie, że goście zapowiedzieli się przed wieczorem, i znowu zastawał pana śpiącego, jak gdyby nie dzień był jasny, lecz noc. Twardo spał, ani się poruszył, choć dworzanin chrząkał z szacunkiem, przecie znacząco. Puścił oponę zasłaniającą wejście do alkierza i stał medytując: budzić śpiącego czy poniechać i za godzinę powrócić? Bogiem a prawdą, nic złego się nie stanie, jeśli pan nie od razu posłyszysz nowinę. I bez rozkazów marszałek wie, co należy przygotować, które stajnie dla gościnnych koni przeznaczyć i w których stancjach napalić. Podczaszy i szafarz dali już odpowiednie dyspozycje; jeden piwniczemu, drugi kredensarzowi i kuchmistrzowi. Niech sobie panisko śpi spokojnie, skoro tak mu służy.

Odszedł, stąpając cicho po wschodnim kobiercu okrywającym gładką lipową podłogę. Podobne, choć cieńsze kobierce na przemian z miejscowymi kilimami opinały ściany. Charakterystyczne dla domów szlacheckich zamiłowanie do tych tkanin szło ze Wschodu. Każda zwycięska potrzeba wojenna z Turkiem zalewała kresowe ziemie Rzeczypospolitej bogatym łupem, w którym dywany, makaty i złociste opony grały niepoślednią rolę.

Wojewoda miński, wyciągnięty w przyciemnionym alkierzu na tapczanie przykrytym suto wilczymi skórami, odetchnął słysząc, że imć Hornowski odchodzi. Nie spał bynajmniej, rozumiał znaczące chrząkanie, z podnieconych głosów, dolatujących przed chwilą z sieni, domyślił się nowiny. Udawał twardo uspiętego, by nie potrzebował mówić, poruszać się, wydawać poleceń, symulować zadowolenia. Przekłęta niemoc, obezwładniająca go od blisko dwu lat, wywoływała ów dziwaczny i przykry wstręt do własnego głosu, głosów cudzych oraz do wszelkich przejawów życia. Jedyne, czego pragnął, to ciszy i samotności.

Nie było to jednak owo twórcze pragnienie samotni, w której człowiek dojrzewa i rośnie sam w sobie; raczej leniwa i niechętna obcość, przeradająca się w lęk. Pragnął być sam, a zarazem bał się zostać sam. Pozostawianie go w zupełnym spokoju było równie drażniące jak objawy troskliwości.

Jużci zarówno wojewodzina, jak medycy i familia domyślali się, że nie zachodzi tu wypadek zwyczajnej choroby napastującej serce, nerki,

wątrobę, szpik pacierzowy, nie są to również wilgotne humory. Pan Sapieha chorzał niewątpliwie z uroku czy zazionięcia.

Uroki bywają różne. Zwyczajne, diabelskie oraz najcięższe tatarskie albo tureckie, na które sposobu nie znano. Był środek, owszem, ale trudny do zastosowania: ucaścić tego, który urok rzucił, przywlec do chorego (zabezpieczywszy wprzód samego siebie modlitwą i relikwiami), pod groźbą śmierci zmusić do odwołania zaklęcia. Rzecz prosta, można to było stosować tylko w wyjątkowych okolicznościach, gdy wiedziano, kto jest winowajcą, i gdy ów czarownik albo czarownica dali się schwytać i obezwładnić. Pan Sapieha nie wiedział, kto mu niemoc zadał. Niewątpliwie musiało to nastąpić w tatarskich krainach, w których niemało wojował. Nie pamiętał jednak nawet, kiedy słabość się poczęła. Ogarniała go nieznacznie i powoli, prawdopodobnie dlatego, aby się tylko w porę nie spostrzegł.

Gdyby nie wojewodzina, nie wiedziałaby dłuższy czas. Ona bystrym okiem żony poznała, że z mężem niedobrze się dzieje, i usiłowała go ratować. Wezwano z Pińska sławnego znachora Knyciuka, a gdy ten nic nie pomógł, królewskiego medyka z Wilna, który choremu krew puścił i żyły nacierał. Potem sprowadzono zaklinaczkę aż z Białegostoku. Marmotała niezrozumiałe słowa niezliczoną ilość razy, nieustannie podważając szybkość recytacji, aż ozór jej i wargi przypominały wirującą frygę, przy czym rzucała za siebie węgle na wodę święconą. Ten ostatni zabieg wykazał ponad wszelką wątpliwość obecność uroku, lecz to stwierdzenie ulgi choremu nie przyniosło, przeciwnie: niemoc pogarszała się z każdym miesiącem.

— Za wcześnie mi jeszcze na starość — rozważał pan Sapieha.

Nie miał więcej nad pięćdziesiątkę, był rostry, do niedawna nad przeciętną miarę krzepki, dzielny, o głowie otwartej i bystrym myśleniu. Brał udział i wyróżniał się męstwem w tylu bitwach, że sam dziś nie potrafiłby ich jednym tchem wyliczyć. Z dawno nieżyjącym kanclerzem Zamoyskim zaczynał praktykę wojenną (brodę miał jeszcze gładką, jak dziewczyna). Walczył przeciwko Wołoszy, potem w wojnach inflanckich dobywał Wolmaru, brnął przez trzęsawiska pod Białym Kamieniem... Mimo młodego wieku wyróżnił się do tyła, że zlecono mu towarzyszenie podkomorzemu koronnemu Czyżewskiemu w poselstwie do Karola Sudermańczyka, Działyńskiego w posłowaniu do Ojca Świętego... Brał udział w wyprawie smoleńskiej, był w Borysowie, w złotogłowej Moskwie, w ostatniej potrzebie tureckiej, bił się pod Chocimiem i Żwańcem.

Niedawno to było pozornie, a jakże straszliwie już dawno. Piękne męskie czyny: odwaga i ogień, zręczność i siła należały do przeszłości bezpowrotnie przeminionej. Można było o nim mówić jak o zmarłym. Obrzydła choroba, która go chwyciła ostatnio, przygarbiła plecy rycerza, zgasiła wzrok, rozluźniła mięśnie, spowodowała drżenie rąk i odebrała sen. Z bezsenności chodził jak kołowaty, zapadając ustawicznie w drzemkę w rozmowie, przy stole, w kościele. Wszystko mu było obojętne i nie-

miłe, zarówno własne sprawy majątkowe, jak powszechnie. Do niedawna jedna z najtęższych głów w państwie, dobro publiczne stawiający ponad wszystko (według wskazań mistrza i przyjaciela, hetmana Żółkiewskiego), dziś ani pytał, co się in rebus publicis dzieje. Jeszcze jeden sejm nie doszedł do skutku, zerwany przez frakcję krzykaczy królowi przeciwną — niechta! Nowy rokosz gotują panowie opozycjoniści, nowe zamieszanie w nieszczęsnej Rzeczypospolitej — a niechta! Niech się nawet cały świat zawali, co mu o to?... Niechta!...

Był niegdyś — jak to mawiają — i do boju, i do znoju, do tańca i do różańca, umiał pić, umiał się bić, obecnie patrzył sam na siebie z obrzydzeniem, jak na zdechłe ścierwo. Bolesnie odczuwał politowanie ukryte w oczach służby, rodziny, przyjaciół, politowanie, które za jego plecami przemieniało się zapewne w pogardliwe lekceważenie.

Czasem przychodziło mu na myśl, że gdyby zdołał ukrzepić się silnie w sobie, może by przełamał zmorę uroku i stał się znów tym co dawniej. Kiedy właśnie na to skrzepienie nie mógł się zdobyć żadną miarą. Wola jego była bezwładna i chora. Skąd mu chcieć, zapragnąć żywo?

Znów kroki, szelest sajetowej jubki — wojewodzina, małżonka. Pewnym ruchem podniosła zasłonę i pojawiła się w drzwiach tak nagle, że nawet nie zdążył udać snu.

— Nie śpicie, jegomość panie mężu — stwierdziła z zadowoleniem, przysiadając na brzegu tapczana. — Ważnego mamy gościa, pana marszałka koronnego...

— Już przyjechał? — zapytał pan Sapieha prawie ze strachem.

— Zjedzie przed wieczorem... A tu dzień kosy... Że też wcześniej nie dał znać... Marszałek od zmysłów odchodzi, zwłaszcza że rozkazów od jegomości nie ma... Ichmościowie Hornowski i Moczydłowski to samo...

— Sami chyba wiedzą, co potrzeba?

— Jużci, że wiedzą. Pachołków z pochodniami pchnęli naprzeciw, by wilcy goście po drodze nie inkomodowały, wieczerzę sutą gotujem, dziewczki w izbach gościnnych pościel trzepią i w piecach palą... Słomę nawet kazałam świeżą do sienników dać...

— To i dobrze. Uprzedźcie mnie tedy, jejmość dobrodziejko, kiedy pan marszałek koronny będzie blisko...

Zamknął oczy w nadziei, że żona odejdzie, nie zmuszając go do dalszej rozmowy, lecz ona, przeciwnie, zdecydowanym ruchem poprawiła fałdy szaty, zasiadając się głębiej.

— Jak się wam widzi, jegomość — zaczęła — po co marszałek Drohojowski zjeżdża?

— Znudziło mu się pewnie doma...

— Jegomość, on przyjeżdża z synem, tym starszym, co go wołają Stanisław...

— Aha, widziałem kiedyś tego młodziaka... Niczego sobie...

— Niczego, powiadacie, oj, to dobrze! A po co go ojciec przywozi?

— Nie wiem.

— Nie sądzicie, jegomość, że o Anuszkę chodzi?

— Może...

— Toć trzeba tę sprawę zawczasu rozważyć... postanowić... Na wypadek deklaracji wiedzieć, co rzec...

— Jejmość dobrodziejka rozsądzisz...

— Nie jestem przecie wdowa, żebym sama rozsądzała. Powiedzcie swoją opinię.

— Opinię? Cóż ja mogę wiedzieć?

— Jegomość! Miarkuję dobrze, że tylko myślicie, jak się mnie pozbyć. Ani uważacie, co powiadam. Jak gdyby nie o rodzone dziecko szło!

Tyle szczerego żalu zadrgało w jej głosie, że wojewodzie zrobiło się wstyd. Otworzył oczy.

— Żle miarkujecie, jejmość dobrodziejko. Nie zabaczyłem, że o moją ulubioną idzie.

O moją ulubioną kiedyś — pomyślał. — Dziś wszystko mi jedno, nawet za kogo ona pójdzie obojętne mi też...

— ...Nie zabaczyłem — powtórzył — lecz sami widzicie, jejmość przyjaciółko moja, żem słaby i do niczego niezdatny. Ani do rady, ani do uciechy.

— Nie lepiej wam? Bo wczoraj nowennę zaczęłam do świętego Mikołaja, waszego patrona...

— Co dnia gorzej i gorzej, aż obmierźłość bierze na samego siebie, i — żeby nie strach przed karą piekielną — chybabym ze sobą koniec zrobił...

Przeżegnała się przerażona:

— Odgońcie takie myśli! Diabeł was kusi... Słuchać straszno...

— Nie bójcie się, nie uczynię tego... Jeno mnie ostawcie w spokoju.

— Byliście jegomość na pacierzach w kaplicy? — zapytała powstając.

Skinął twierdząco głową. Nie chciało mu przejść przez gardło, że na pacierzach obecny był ciałem, a daleki duchem. Że modlitwa stawała mu się obojętna i obca, na równi ze wszystkim innym.

— Więc jeśliby się deklarował o Anusię? — dopytywała jejmość już w progu.

— Za szybko idziesz, mości dobrodziejko.

— Pytam na wszelki wypadek.

— Przyjąć chyba. Zacny dom.

— Ja też tak myślałam. Dom zacny i skoligacony...

Odwróciła się zadowolona i zderzyła piersiami z Anusią, podsłuchującą za kotarą.

— Co jejmościanka tu robisz? — zapytała macierz groźnie. Groźniej, niż to mówiły jej oczy.

— Przyszłam jeno, pani matko, zapytać, zapytać... — bąkała winowajczyni zmieszana. Była taka urocza w swoim zakłopotaniu, że nawet wojewoda uśmiechnął się bez przymusu.

Zachęcona uśmiechem, przypadła do ojca. Wszak była ulubienicą, której wolno było dawniej wchodzić do komnaty rodzica o każdej porze.



Przysiadłszy na ziemi oparła łokcie na tapczanie i tchnąc świeżością wprost w twarz chorego, świergotała:

— Lepiej wam, jegomość dobrodzieju, panie ojcze? Oj, to dobrze, dobrze! Martwiłam się o was, że strach! A wiecie, jegomościu, że wiśnia mi zakwitła?! Naprawdę! Na Gody ją zerwałam w sadzie, w wodę włożyłam... Tylko patrzeć, jak się rozwinie... Obsypało ją pączuszkami, a bieluskimi! Na piecu stała, wody dolewałam... Oj, jak pięknie zakwitła! Zaraz przyniosę pokazać... A może lepiej nie trącać? Jeszcze się pączki obsypią... Powiadają, że niedobrze jest ruszać, nim rozkwitnie... Jak uważacie, jegomościu, panie ojcze dobrodzieju? Chciałabym, żebyście ją obaczyli, bo strasznie piękna... Aż się dziewczęta dziwiają, a szafarka powiedziała, że to widać omen... Co za omen? Nie rozumiem zgoła...

Splonęła i szybko przerzuciła tok słów w inną stronę:

— A ten siwy tryk, jegomościu, ten wielki, to taki się zrobił zły! Jejej! Wczoraj mnie pogonił, pewnikiem, że czerwoną katankę wdziałam... Gonił, gonił, aż na drabinę uciekłam. To on wspiał się na dwa szczeble i łbem trząśł, i nogą tupał... Taki haman! Ledwo go Marcin odgonił... Każcie zrobić co z tym trykiem, jegomościuniu dobrodzieju, bo bieda z nim... A Śpiewka oszczeniła się już, wiecie?...

Trzepała prędko, radośnie podniecona, starannie omijająca w opowiadaniu rzeczywistą przyczynę podniecenia. Chory nie przestawał się uśmiechać do tej krasy, co najpiękniejsza bywa tuż przed przemianą, która ma ją zgasić. Dźwignął nawet zżółkłą drżącą dłoń i poglądził ciemne warkocze szczebiotki. Ośmielony jej wesołym śmiechem pan Moczydłowski, który z kolei podsłuchiwał również, wsunął się ostrożnie, gotów w każdej chwili do rejterady w razie niezadowolenia pana.

— Co waś chcesz? — zapytał wojewoda z rezygnacją.

— Jakie łowy Wasza Dostojność każe przygotować dla gości?

— Łowy? — powtórzył przeciągle pan Sapieha, jak gdyby pierwszy raz słyszał to słowo.

— Jużci że łowy! Pan marszałek koronny pierwszy myśliwy na cztery powiaty! Nie pochwalim się przed nim naszą knieją? Tyle żubrów, co w naszych ostępach, Radziwiłłowie nieświescy nie mają! Pewnikiem gość liczy, że zapoluje niezgorzej, zwłaszcza że — jako słyszę — z synem zjeżdża...

Spojrzał znacząco na Anusię, która uciekła sploniona.

Łowy, oczywiście... — myślał wojewoda — Bez łowów się nie obejdzie. Moczydłowski ma słusność. Łowy, w których muszę brać udział jako gospodarz. Gdybym nie miał ręki czy nogi, mógłbym ostać. Nie, też nie! Wszakże Sulimirski podczaszy, prawej ręki od ramienia nie mając, lewą mając oszczep na niedźwiedzia chodził... W malignie gdybym był, pozwolono by mi ostać, ale maligny nie mam...

— Słusznie waś prawisz — przyznał głośno. — Cóż zatem zrobim? Pan Moczydłowski zadowolony przysiadł uważnie na zydlu.

— Ja bym radził — rzekł — knieję na brodach sieciami otoczyć, łosie

i żubry tam spędzić... Łatwo się setki doliczym... Setki! Będzie na co popatrzeć, będzie w czym wybierać... Klempy z łoszami nagonka popędzi precz, same brodacze ostaną... O, przednia będzie zabawa... Można też niedźwiedzia osobliwego, bartnika upatrzyć, psami rozcmychać, żeby wylazł z jamy... Mam nawet takiego na oku... Brytany przytrzymają go za portki, wścieknie się i pójdzie prosto na oszczep...

Nie ja będę stał z oszczepem... — pomyślał pan Sapieha i poczuł pogardliwy wstręt do samego siebie. Miłował niegdyś łowy jak każdy syn ziemi puszczańskiej stanowiącej istny ogród zwierzyny. Młodość i dojrzałe lata strawił, jeżeli nie na wojnie, to w borach, w pogoni za zwierzem. Dziś o zmierzeniu się z niedźwiedziem myślał z odrazą i strachem. Ale jak o tym powiedzieć łowczemu?

Jak przyznać komukolwiek, że jest gorzej niż chory, bo wewnątrz struchlały? O ranie nie wstyd powiedzieć, o kalectwie też, lecz jak powiadomić ludzi, że dobra rycerska krew, płynąca w żyłach, mocą nieznanego uroku zmieniła się w zgniłą wodę?... Słuchając wywodów łowczego, czuł się jak niedźwiedź, którego przemocą wyciągają z barłogu, by stanął do tańca, tylko że on nie miał nawet siły wściec się i natrętników rozpraszać.

— Można by i na wilki — ciągnął pan Moczydłowski — ale to zwyczajna hołota...

— Z powłoką myślisz waść?

— Ano, przy miesiącu. Namnożyło się tego psiarstwa, że nie daj Boże! Zdałoby się przetrzebić... W biały dzień prosto do obory leżą... Na Gozdach dwa konie zarznąły tej nocy...

Siedzieć w saniach pośrodku zbrojnych ludzi, którzy myślą, kierują — wydawało się panu Sapieże mniejszym wysiłkiem niż inne formy łowieckie.

— Rzeczywiście, zdałoby się przetrzebić — powtórzył.

— Otóż to! — zawołał łowczy uradowany z aprobaty, acz nikłej. — Kożuchy na nich grube na dwie pięście, bo mrozy były ostre przed Godami... Chłopi się ucieszą, sklamrzą ustawicznie, że wilcy im żyć nie dają... Znaczą jednego dnia na wilki, a drugiego obława z sieciami? Na niedźwiedzia wypadnie trzeci dzień.

— Rozrządaj wszystko waszmość, jak uważasz — zgodził się wojewoda i przymknął oczy niby senny.

Łowczy wyszedł na palcach, markotny. Oj, prawda, co pokojowcy gadają, że choroba całkiem pana zjadła. Nie ten człowiek! Mówi jak z łaski. Nic go nie ciekawi. Ani zapytał, gdzie za wilkami pojadą. Ano, istotnie, skąd zajmą? Najwięcej tego psiarstwa jest na brodach, ale skoro następnego dnia mają tam zaciągać sieci, to zwierza nie można płoszyć... Lepiej zatem na Gozdach... Znęciły się do końskiej padliny, to ich nie zabraknie... Wyjechać najlepiej do Młynarzowej Niwki... Droga wprawdzie wąska i kiepska, nawet jakby, nie daj Boże, woźnica nie utrzymał koni i o drzewo saniami zaczepił... Ryzyko... Lecz gdzie radość bez ryzyka?... Gdzie sytuacja bez trudu?...

„Pospolita hołota” — mówił pogardliwie pan Moczydłowski o wilkach z tym samym lekceważeniem, z jakim szlachta orężna zwykła była mówić o Tatarach. Lecz podobnie jak brudne złodziejskie i pierzchliwe ordy stanowiły ciężką klęskę Rzeczypospolitej, tak i wilk, tchórzliwy latem, pokątny rabuś, przeistaczał się co zimę w nieznośną plagę, przyczynę tysięcy szkód i nieszczęść ludzkich. Charakterystyczny, szyjowaty bury kształt o srogim, trójkątnym pysku stawał się zmorą, napelniającą ciągłym niepokojem. Gdy mrozy nastaly, od zmroku do świtu jego było panowanie w kraju. Głodne gromady podchodziły pod chaty wsiowe, usiłując podkopać się pod przyciesie. Wilki strzegły łakomie gościńców, polując na zapóźnionego wędrowca, i tylko liczny, pochodniami oświetlony tabor był przed ich napaścią bezpieczny. Wilki dniem sprawiały łowy w puszczy, pędząc na zamarzniete jezioro czy staw upatrzonogo łosia samotnika, by ślizgającego się na gładkiej tafli obskoczyć i powalić. Mniejsze, „owczarze”, zadowalały się łowami na mniejszą zwierzynę; większe, „koniarze”, zajadłe i okrutne, nie lękały się ani żubra, ani człowieka.

Pan Moczydłowski jako człek stateczny i przedni myśliwy pragnął dać gościom nie byle jaką zabawę, a zarazem okazać daleko idącą dbałość o ich zdrowie. Zamierzone polowanie przygotowywał zatem szczególnie starannie. Wielkie sanie grędzioły zaopatrzone w podwójne płozy utrudniające wywrócenie na zakrętach. Z boków sterczały osadzone na deskach ostrza kos. Czwórka koni dobrana była z woźników mocnych, lecz nie bardzo rwących, by nie poniosły przedwcześnie. W pomostach wymoszczono trzy szerokie siedzenia, na trzech ludzi każde. Z tyłu znajdowała się skrzynka, w skrzynce prosię. Na długiej linie, wlokącej się po śniegu za saniami, uwiązana była wiązka grochowin. Ciemniała na śniegu wijąc się i podskakując niby żywe stworzenie. Na saniach, przy kłonicach, stali pachołcy ze smolnymi pochodniami na wypadek walki wręcz. Jeden z nich trzymał kociołek z nakrytym żarem, bo nie wiadomo, co się zdarzyć może. Pachołcy dzierżyli się mocno kłonic, gdyż mogli wylecieć, kiedy sanie szły w zatokę. Myśliwi na pierwszym siedzeniu zwróceni byli twarzami do koni, na środkowym na boki, na tylnym ku wiązce grochowin. Mieli rusznice, pistolety, szable i noże myśliwskie podobne do mizerykordii, lecz proste i obosieczne. W nogach łowczego leżał Czart, tęgi morągowaty brytan w kolczastej stalowej obroży. Zadanie jego było zaszczytne, ale śmiertelne. W razie opresji myśliwych miał być wyrzucony z sań, by siłą kłów i kolczastą obrożą zatrzymać pewien czas natarcie zgrai na sobie. Z podobnej imprezy nigdy żaden pies nie wyszedł żywy; zdarzyło się to tylko raz temuż właśnie Czartowi zeszłego roku, gdy nadjeżdżający poczet zbrojny rozgonił stado i podniósł poszarpanego, półżywego psa. Czart doskonale

pamiętał to zdarzenie, rozumiał, co go czeka, i toczył wokoło przekrwionymi ślepiami z nieufną wrogością.

W jakiś czas po pierwszych saniach miały wyjechać drugie tak samo wyposażone, tylko bez prosięcia i wiązki grochowin, aby uderzyć od tyłu na stado atakujące pierwsze sanie. Drogą poprzedniego dnia łowczy kazał dwukrotnie przeciągnąć padlinę, by wilki znęciły się do szlaku. W saniach było dwóch woźniców i podwójne wodze, by łatwiej kierować końmi szalejącymi z trwogi za zbliżeniem się wilków.

Przemknęli przez wieś tak pokrytą śniegiem, że chaty wyglądały jak białe obłe pagórki. Spod nawisów śniegu zwisały długie, ostre sopte lodowe, podobne do zamkowej podniesionej brony. Nie świecono już nigdzie, wieś bowiem zasypiała wraz z mrokiem. Miesiąc żeglował szybko poprzez chmury i nim dojechali do lasu, wypłynął na czyste niebo. Szafirowe cienie wyrosły przy każdym krzaku, sterczącym spod śniegu badyłu, nadając mu znaczenie. Pod każdym świerkiem słał się drugi większy i ciemniejszy świerk utkany z cienia. Na lśniącej bieli drogi cienkie wstęgi kolein znaczyły ślad przetarty z rana przez ludzi łowczego. Tego śladu należało się trzymać. Wokół panowała cisza przejmująca. Myśliwi są gadatliwi dopiero w drodze powrotnej. Konie chrapały, jak gdyby przeczuwały, co nastąpi, natomiast pozbawiony tego daru wieprzak chrząkał beztrzesko, rad, że siedzi w ciepłe. Czart pomrukiwał gniewnie. Wiazka grochowin płasała jak żywa. Wojewoda w szubie niedźwiedziej narzuconej na kubrak myśliwski siedział pośrodku sań, między łowczym a marszałkiem Drohojowskim. Ewentualny jego zięć zajmował miejsce po prawej stronie, na tylnym siedzeniu. Wojewoda czuł się lepiej, niż sądził, myśląc w alkierzu o tej wyprawie. Cisza, pęd sań, mroźne powietrze, upajające jak wino, dawały poczucie zadowolenia. Gdyby to w jego mocy leżało, pragnąłby jechać w ten sposób cicho, szybko, długo, nie spotykając żadnych wilków, nie sprawiając żadnych łowów. Jechać niby we śnie, nie dbając o złe pojęcie, jakie goście wywieźliby o sapieżyńskich kniejach.

— Zwietrzyły... — szepnęła z przejęciem pan Moczydłowski, rozbijając te marzenia.

— Dobry masz waść słuch, ja jeszcze nic nie słyszę — odszepnęła marszałek, lecz po maleńkiej chwili dorzucił: — Słyszę i ja.

Jakoż daleko za nimi rozległ się przeciągły, wysoki ton, o którym lada dzieciak wiedział, że oznacza zwołanie wilczej gromady. Po chwili z prawej odpowiedział pogłos podobny, silniejszy.

— Jest tego draństwa — mruknął łowczy z ukrytym zadowoleniem. Konie poczęły się zrywać.

— Ho, ho, hooo, małe... — uspokajał Matfiej, ściągając wodze.

— Pora zagrać, naciśnij waść peda! — krzyknął Moczydłowski.

Sąsiad Kulesza, siedzący z tyłu obok młodego Drohojowskiego, nadał wieprzaka. Przerażliwy kwik rozdarł ciszę nocy.

— Popuść! — Usunął nogę. Wieprz umilkł, konie pędziły, oni słuchali.

— Jaśnie Panie! O, gdzie! O! — pisał z przejęciem pacholek Iwaśko, ukazując w bok.

— Przemyślne juchy, lasem gonią, żeby nie wychodzić na drogę!...

Jakoż liczne ruchliwe cienie biegły lasem po obu stronach drogi usiłując zrównać się z jadącymi i obskoczyć.

— Odciać grochowinę! Niech ich zobaczymy!

Lina upadła wężem na śnieg i znieruchomiła, lecz tylko kilku nastpników wyskoczyło ku niej. Reszta nie dała się zmylić, goniąc za większą zdobyczą.

— Lekko! Lekko! — ryczał łowczy do woźnicy.

Konie rwały jak szalone. Wieprzak kwiczał znów przejmująco.

— Nie strzelać za wcześniej! Nie gorącować! Ależ ich jest, do licha!

Obok zadowolenia w głosie łowczego zabrzmiało szczere zdumienie. Droga zawracała łukiem i ciemny kłęb, zwarty jak stado owiec, przerzucił się przez gościniec, by skrócić odległość. Było ich kilkaset sztuk.

— Lekko! Matfiej! Lekko! Ognia, waszmościowie!

Huknęło równocześnie osiem strzałów. Celne czy nie, wrażenia nie wywołały. Wprawdzie gromada wilków zatrzymała się przy zabitych lub postrzelonych towarzyszach, by ich dorznać i pożreć, lecz pozostałe nie wstrzymały biegu. Myśliwi śpiesznie nabijali broń. Coraz to bliższe trójkątne mordy, błyszczące ślepią. Gonią z tyłu ławą i zachodzą z boków. Konie rwą. Stary Prokop wsparł Matfieją. Obaj usiłują zachować panowanie nad końmi. Myśliwi strzelają rozważnie. Co który zwierz wysforuje się w przód, dostaje postrzał z garłacza. Zaprzestano dawać ognia salwami, po których następuje konieczna dłuższa przerwa, i celują pojedynczo, ale nieprzerwanie. Pędząca gromada jednak nie zwraca uwagi na strzały. Maruderzy zajmują się padającym ścierwem, i pierwsze szeregi atakują bez wytchnienia. Wielkie futrzaste basiory, duże jak cielaki.

— Nie mówiłem, że same koniarze! — wołał z dumą łowczy, celując do najbliższego. Nabija śpiesznie lufę, z niepokojem spoglądając na pana... Co z nim? Czy strzela? O, niedobrze. Twarz blada, pokryta potem, drżące ręce. Ruzznica sterczy między kolanami bezwładnie.

— Co Waszej Dostojności?...

— Słabo mi... — wyznaje chory — zabierzcie mnie stąd, zabierzcie mnie...

Zęby mu szczękają jak w zimnicy. Do licha! Jeszcze nieszczęście przyniesie. Dlaboga, byle nikt nie dosłyszał, nie zauważył! Lecz nikt nie patrzy. Każdy zajęty sobą i łowami. Nie przelewki. Zgrają wilków rośnie i dogania. Wilczyce wadery, najzjadlejsze, choć mniejsze od psów. W okrutnych ślepiach nienawiść i pożądlivość. Smród bucha z rozzianych paszczy. Konie niosą jak szalone. Wszystko miga w pędzie. Gałęzie uderzają głowy. Przegięci w tył, Matfiej i Prokop kładą się na wodzach. Od nich wszystko zależy. Jeżeli sanie wywrócą lub zaczepią w pędzie o drzewo, żywa noga nie wyjdzie z myśliwych. Czart stęka głucho.

— Przednia zabawa! Jak taniec z Tatory! — krzyczy wesoło młody Drohojowski. — Waszmość pan dobrodziej nie strzelasz? — pyta wojewody, a nie otrzymawszy odpowiedzi chwytą nabitą rusznicę gospodarza.

Pan Moczydłowski nie mówi nic, lecz wewnątrz zadygotał z oburzenia. Zuchwały młodzik. Bierze bez pytania rusznicę! Czy należy mu się dziwić? Stary pan podobniejszy jest już do trupa niż do żywego człowieka.

— Wilki na przodzie — woła Matfiej. W istocie, ciemny wyjący kłęb sunie z naprzeciówka. Konie, chrapiąc boleśnie, rzucają się w bok między drzewa. Nie utrzyma ich żadna ludzka siła. Jeszcze moment, a rozbiją grzędzioty o pnie.

— Odcinać! — komenderuje łowczy.

— Hospody!... — zali się Prokop. Pewnie, że szkoda koni, ale własna skóra miłsza. Błyskawicznie Matfiej przecina postronki, obaj z Prokopem odrąbują dyszel. Wyzwolone konie rzucają się w prawo jak huragan. Przednie postronki tłuką kolana dyszłowym, dyszel wlecze się po ziemi, skacząc, stając prostopadle. Lecą jak dziwaczny gomon. Nadlatujące z przodu wilki skręcają w prawo za nimi. Część ścigającego stada dołącza się do nich. To jednak, co zostaje, wystarczy.

Osadzone w miejscu sanie zmieniają się w twierdzą. Ta twierdza musi wytrzymać natarcie, dopóki drugie sanie nie nadjadą. Sąsiad Kulesza chwytą prosię z workiem, rzuca daleko, jak najdalej. Niewielka ilość wilków zatrzymuje się przy tej nikłej zdobyczy. Czart warczy głucho. Nie pozwoli wyrzucić się podobnie. Na razie jednak jeszcze na to nie pora. Pochodnie płoną. Pachołcy machają nimi zamaszycie, aż ogon skier owija myśliwych czerwonym koliskiem. Lepsza to broń niż garłacze. Młody Staszko Drohojowski chwytą pęk słomy z siedzenia, związawszy ciasno, zapala od pochodni i rzuca wprost na rozwścieczone łby. Wyją, skowyczą, cofają się. Hej, zabawa to! Zabawa! Bierz lichy rusznicę! Broń palna dobra, gdy nieprzyjaciel daleko. Masz czas nabić, wymierzyć, wypalić — ale nie wtedy, gdy błyszczące zębce, czerwone ślepia są od ciebie o długość ramienia. Toteż wszyscy niechają rusznic, pistoletów — chwytają do garści szable. Pan Moczydłowski z szablą w prawej, nożem w lewej ręce wali wszystko, co przeciśnie się przez kolisko ognia. Nacierające bestie zyskują przewagę, gdyż są coraz wyżej. Stoją na ścierwach towarzyszy. Nie myśliwi walą z góry, lecz wilki gotują się do skoku w dół. Tyle tego psiarstwa nabito! A nie znać w stadzie ubytku.

— No, piesku, na ciebie kolej... — Łowczy chwytą Czarta za obrozę, by rzucić go między wilki, a ten łap pana za dłoń, aż omdlała. O zdrayco! Poczekaj!

— Gdzie zapasowe pochodnie? — dopytują inni.

— Pod siedzeniem!

Na siedzeniu półprytomny siedzi wojewoda. Popychają go, nie zważając. Nie dziwota. Periculum jest prawdziwe. Prawdziwe, nie zełgane.

Już nie wiadomo, kto na kogo poluje. Kto zwierzyną, a kto łowczym. Wilki coraz zajadlejsze drą się zewsząd, nie dbając na ogień. A co będzie, gdy się słoma wyczerpie! Dwa siedzenia już poszły. Zostało środkowe, spod którego, nie zważając na pana, Iwaś wyciąga pochodnie.

— Uważaj waść! — wrzeszczy Kulesza. Potężny basior, przewodnik stada, skoczył wprost między myśliwych. Lecz tutaj Czart chwycił go za gardło. Poczęli walczyć między nogami ludzi. Czart był górą. Wilk usiłował wyrwać się i uciec, lecz Moczydłowski przebił go kordelasem. Teraz pies jakby oszalał. Zapał się mocno przednimi łapami w pomost, czekając, aż się który napastnik przybliży. Chwytał go wtedy za gardło i dusił, żelazną obrożą łomotał po karku.

— To ci już daruję, kiedyś taki chwata! — mruknął łowczy uspokojony. Despekt, jaki sprawił pies, zmazany. Nie trzeba się wstydzić. Czart, jucha, sam wiedział, jak najlepiej bronić. Gdybyż jeszcze i w wojewodzie ocknęła się dusza!

Pies uratował swój honor, lecz sytuacja nie przestaje być groźna, coraz to groźniejsza. Ręce mdleją od rąbania, słoma się kończy, pochodnie też dopalają się niebawem, a wilcy nie ustępują. Przyjdzie na drzewa uciekać. Lecz jakże to czynić, półtrupa mając między sobą? A zostawić go, nikt nie ostawi!

— Nasi jadą! — krzyczy nagle Matfiej. — W kotły biją!

— Jadą! Jadą! Już i światła widać!...

Jakoż istotnie gościńcem nadjeżdżają konni z pochodniami, za nimi sanie z biciem w bębny i trąby. Krzyczą przy tym „Ałła! Ałła!” jak Tatarzy. Brzękliwego dźwięku surm wilcy nie znoszą. Znikają w lesie niby szare cienie, tylko kilka najbardziej rozwścieczonych bestii atakuje nadal, nie zważając na nic.

Marny ich los. Zagrzany Czart skacze jednemu na kark. Staszek Drohojowski już się zajął dwoma innymi. Reszta ucieka, skowycząc, bo pacholcy walą ich pochodniami. Gonią aż do lasu.

— W porę nadjechaliście — wyznaje szczerze łowczy, gdy imć Hornowski zeskoczył z konia. — Myślałem, że nas to psiarstwo zmoże... A co z gniadymi? Czy doszły?

— Gniade zdrowe, choć schlastane, tylko Lalka ma nogi dyszlem pobite... Dobrze zjeżdżona czwórka... Aż na podwórze wpadły niby jeden... Myślałem, że tuż za podwórzem się urwały... A gdzie jegomość pan wojewoda?

O, prawda! Zapomniano o nim całkowicie. Leży w saniach prawie bez czucia, z zastygłym wyrazem przerażenia na twarzy. Gdy panowie Moczydłowski i Hornowski cucają go, kożuchami okrywają, wódkę do gęby leją, pacholcy układają na śniegu pobite wilcze ścierwa, Staszek Drohojowski, wesoły jak dziecko, chodzi i liczy. Ależ jest tego, jest! Sto dwanaście sztuk... nie, sto czternaście, bo tu i tu leżą po dwa na kupie... Piękne łowy!

— Łowy piękne, tylko z gospodarzem nietęgo... — mruczy pan Kulesza, sąsiad.

— Wieźcie mnie do domu, wieźcie mnie do domu... — bełkocze w saniach wojewoda, gdy wódka wróciła mu nieco przytomności.

Pan Moczydłowski drapie się za uchem. Iwaś świeci pochodnią, przyglądając się żółtawej twarzy pana.

— Ledwo dycha — zwierza się łowczy Moczydłowskiemu — boję się, że nie dojedzie. Przecie kawał drogi do zamku... Żeby gdzie blisko chałupa była, smolarzy czy bobrowników, tobym go tam w ciepłe położył, żeby odpoczął. Przyjechałbym po niego z kolebką z futrami...

— Pyłypowa chałupa niedale...! — wykrzykuje usłużnie Iwaś i milknie w pół słowa pod surowym wzrokiem Prokopa.

— Durny ty, durny... — mruczy stary woźnica. Lecz pan Moczydłowski nie zwraca na niego uwagi.

— Gdzie ta chałupa? Znasz drogę?

Iwaś milczy zakłopotany, spozierając to na łowczego, to na Prokopa.

— Ogłuchłeś? Prowadź zaraz!...

— Wasza Wielmożność — przedkłada rozważnie Prokop. — Do tej chałupy aż wstyd pana wnosić... Brudno, ciemno... dym...

— W każdej chałupie brudno i ciemno... Byłe było ciepło, żeby się pan rozgrzał...

— Musi tam pieca nie ma, tylko palenisko na ziemi.

— Mniejsza o to. Poniesiemy pana na baranicy ostrożnie... No, dalej! Ja podejmuję głowę...

Zajął się układaniem chorego, znów nieprzytomnego. Hornowski dopomagał mu gorliwie. Prokop niemrawo i niechętnie. Iwaś stał z boku zmieszany, spoglądając z obawą na Prokopa, który dwa razy wymownie splunął w jego stronę i pogroził mu nieznacznie pięścią. Marszałek koronny z synem oraz imć Kulesza, którzy poszli drogą nazad, szukając pobitych wilków, wracali tryumfująco. Pacholcy z tyłu ciągnęli za kity jeszcze siedem sztuk.

— Sto dwadzieścia jeden! — obwieszczał Staszko radośnie.

— Co z chorym? — pytał, zniżając głos, marszałek koronny. Pochwalił zamiar złożenia go na chwilę w chacie, a żeby przyszedł do siebie, poradził wezwać kanonika Boćkowskiego, a że jak raz nadjechały sanie po panów, drugie po zwierzynę, odjechał z synem i sąsiadami.

— Uprzedzę jejmość wojewodzinę, żeby się nie zalterowała! — rzucił panu Moczydłowskiemu już z sań.

Łowczy skinął głową... Jużci, co się jejmość zalteruje. Dopiero gdy posłyszysz, jak się rzecz miała! Jej małżonek nie poniósł szwanku przez wypadnięcie z sań, ani go wilki poszarpały, ani się czym przesilił. Po prostu zaśłabł z niczego, straszno powiedzieć: ze strachu. Czyż on, łowczy, nie widział jego przerażonych oczu? Jeśli się ta rzecz rozniesie, hańba padnie na cały ród...

— Prowadź! — burknął szturchając Iwasia. — Gdzie Prokop?

Cały czas obecny Prokop nagle zapodział się nie wiedzieć kiedy. Pan Moczydłowski łajał i kłął, bo brakło czwartego do niesienia, po chwili jednak woźnica nadbiegł zadyszany.



— Poleciałem przodem nakazać, żeby ogień rozpalili i ziół nagrziali...  
Acz zły, łowczy musiał pochwalić troskliwość.

— Ten Pyłyp, co on? Smolar? Bobrownik? — zapytał, gdy brnęli trzymając mocno końce baranicy.

— Znachor! — wyrwał się znowu Iwaśko i zamilkł, jakby przerażony, że coś nie w porę powiedział.

Pan Moczydłowski wyjaśniał... Znachor? To przednio. Znachor bywa często sposobniejszy od medyka...

Umilkli, cali pochłonięci ostrożnym dźwiganiem. Unosili zaimprovizowane nosze do góry, przenosząc je nad kępami przywalonymi śniegiem, chylili się nisko pod nawisłymi gałęziami, oddalając się coraz bardziej od drogi.

— Daleko jeszcze? — zapytał łowczy, ocierając pot z czoła. — Bo jakby, nie daj Boże, wilcy wrócili...

— A ot, my już są — odparł woźnica ukazując ręką przed siebie. Śnieżny pagórek porośnięty krzami, wznoszący się tuż przed nimi, widocznie był chatą, gdyż u dołu czerniał brodaty chłop i kłaniał się nisko do ziemi.

— Pyłyp... — szepnęli równocześnie woźnica i pacholek.

Dwaj towarzysze zbyt byli zajęci, by zauważyć głęboki szacunek drgający w głosach służby. Ostrożnie przenosili słabego pana przez ciasne i niskie wejście. Pyłyp pomagał usłużnie, chociaż bez pośpiechu. Nareszcie wnieśli, złożyli chorego na tapczanie, dopiero mogli wyprostować się i rozejrzeć.

Izba, niska i bezokienna, była większa niż zwyczajne chłopskie pomieszczenie, czysto zamieciona. Pośrodku na palenisku ułożonym z kamienia płonął ogień. Dym kołował pod pułapem, szczelinami wydobywał się na zewnątrz. Wszędzie wisiały pęki ziół suszonych. Pyłypycha, siwa, milcząca kobieta, krzątała się koło ognia.

— Znacie się na leczeniu? — zapytał łowczy starego.

— Ludzie do mnie przychodzą, Jaśnie Panie.

— Poradźcie co Jaśnie Wielmożnemu Panu Wojewodzie!

Stary poskrobał się w głowę, zamruczał coś niewyraźnie, podszedł do łóżka i nachylił się nad chorym. Dotknął ostrożnie dłoni, powiek.

— Dawno go naszło? — zapytał ściszym głosem.

— Jaśnie Wielmożny Pan Wojewoda chorzeje już przeszło rok.

— Rok?

Stary Pyłyp strzepnął palcami w sposób mówiący, że tak zadawnionej słabości leczyć nie będzie, i odstąpił.

— Wieźcie go, panoczku, do zamku — zauważył.

— Juźci, co w tym smrodzie nie będzie leżał. Pójdziem, jeno z kolosą przyjadą...

— Przed ranem nie przyjadą, bo zamieć na dworze.

— Nie ma zamieci. Miesięczna noc.

— Wyjrzyjcie, panie.

Pan Moczydłowski uchylił skrzypiące drzwi i cofnął się osowiały.

Księżyc znikł rzeczywiście za chmurami. Górą drzewa szumiały targane przez wiatr. W polu musi być zamieć jak licho.

— Nie wiedzie się — mruknął. — Wypadnie czekać do rana.

Stara Pyłypycha odstawiła od ognia garnczek z ziołami. Ulała do kubka i studziła, dmuchając na gorący płyn. Widząc, że podchodzi do chorego, łowczy zaniepokoił się.

— Co dajecie Jaśnie Wielmożnemu Panu Wojewodzie?

— Nie bójcie się, panoczku. To dobre ziółka. Będzie spał i wzmocnieje.

Chory pił, nie otwierając oczu. Stara poila go jak dziecko. Pyłyp tymczasem ścielił w kącie izby skóry wilcze i kozuchy na posłanie.

— Spijcie, panoczkowie — zachęcał. — Jaśnie Panu Wojewodzie nic nie będzie. Ja dogładnę.

Pan Hornowski ziewnął i usiadł na skórach. Pan Moczydłowski po-medytował i poszedł za jego przykładem... Cóż im pozostało? Chory śpi. Spotniał, widno po ziółkach, lżej oddycha. Zmęczeni są setnie, głodni i źli. Takie udane łowy, a niefortunny koniec. W zamku siedli wszyscy do wieczery. Ciepło, gwar. Cóż miłszego nad posiłek po łowach? Jest o czym gadać, jest z czego się cieszyć, zwłaszcza gdy zabawa nie była zabawą, a śmierć przemknęła blisko rozochoconych. W szklanicach wino i miód. Zamiast żeby wilki ludzkie kości chrupały, baranie gnaty trzeszczą w zębach biesiadników. Spierają się o to, kto najwięcej nabił. Czupryny dymią, ogień na wielkim kominie strzela iskrami. Ej, miło!... Właściwy bohater dzisiejszego wieczoru, łowczy, siedzi wraz z przyjacielem w ciemnej i dusznej Pyłypowej chacie, nie mając nawet kawałka chleba, by na ząb położyć. Najlepiej zasnąć...

Jakoż po chwili zgodne chrapanie obu szlachciców wypełniło izbę.

## Rozdział trzeci

Pan Sapieha, otworzywszy oczy, nie mógł zrazu rozpoznać, gdzie się znajduje i jaka jest pora. Patrzył na niski pułap z wielkich bierwion, o szparach utkanych mchem, na przykrywający go kozuch. Wszystko to było obce. Obcą również wydawała mu się własna dłoń, którą z wysiłkiem podniósł, by odgarnąć kosmyk włosów z czoła. Kim był? Przy-mknął oczy nie starając się dociekać. Mniejsza o to. Wokoło panowała najgłębsza, jaką wyśnić można, cisza. Zapewne dlatego, że na dworze (wojewoda nie mógł o tym wiedzieć) padał śnieg. Śnieg, jedyna rzecz na świecie, która padając sprawia nie hałas, lecz ciszę. Jest cicho, a ruch śniegu jeszcze uciszenie wzmacnia. W ciszy zdawało się panu Sapieże, że nieznajoma chata, barłóg, na którym leżał, są korabiem żeglującym nie wiedzieć gdzie, nie wiedzieć dokąd. Ten stan niewiedzy był błogim stanem i lubo było unosić się z korabiem i opadać na niewidzialnych falach czasu i przestrzeni.

Poczucie odpiływania w dalekość potęgował dym snujący się wokół chorego. Zrazu wojewoda myślał, że to dym z ogniska żarzącego się pośrodku izby. Niebawem rozeznał omyłkę. Był to nie zwyczajny dym. Szczególnie wonny i lekki. Wdychał go prawie z rozkoszą. Niby kadzidłany, lecz leśny, jakby palono zioła rosnące na uroczyskach o silnej, rzeźwiącej woni. Co dziwniejsze, dym nie ciągnął od izby, lecz od ściany, a przecież za węglem ziemnej, bezokiennej chaty nie mogło znajdować się nic innego, jak ziemia lub śnieg. Jednakże dym wyraźnie pochodził stamtąd. Oddychać nim było tak miło, że pan Sapieha zdobył się na wysiłek i palcami rozskubał mech w szparze, by go wetchnąć więcej. Szpara znajdowała się tuż na wysokości jego oczu. Wiedziony dawno nie odczuwaną ciekawością spojrział w ten otwór, mały, dymem przysłonięty, i ogarnęło go ponownie przekonanie, że śni. Tylko we śnie bowiem można ujrzeć podobną izbę-pieczarę. Posłyszał szepty miarowe. Nie były to głosy rozmowy, lecz modlitwy lub zaklęcia w dziwnej, niezrozumiałej mowie. Co robili ci ludzie, kim byli — nie wiedział. Małeńkie okienko utworzone przez otwór w mchu, podobne do oka lunety, nie pozwalało ogarnąć całości. Zdawało mu się wprawdzie, że rozpoznaje głowy Prokopa, Iwasia, ale czyż we śnie nie bywa najdziwaczniejszych skojarzeń? W polu jego widzenia znajdowało się palenisko odmiennego niż zwyczajne kształtu, rozłożone nie na polepie, a na czworokątnym chropawym kamieniu, nieckowato wydrążonym. Płonęły na nim nie drwa, lecz zioła, dokładane co chwila drżącą ręką niewidocznej postaci. Ręka wydała się znajoma. Czy nie podawała mu picia, kiedyś, gdy leżał półżywy, a półumarły? Szeptane zaklęcia ucichły. Cichość aż dzwoniła w uszach. Dym woniał. W kręgu widzenia chorego ukazała się ta sama drżąca kobieca dłoń, trzymając miseczkę z mlekiem. Inna dłoń, mocno, żylasta, przejęła ją od poprzedniej i postawiła na półce kamiennej, wyżłobionej w głazie tuż poniżej ognia. Rozległo się ciche gwizdnięcie. Spod głazu niby z wielowiekowej pieczary wypełził szarozielony wąż wodny i oplótnięty wokół dłoni zanurzył płaski łeb w mleku. Cisza trwała. Zdawać się mogło, że wszyscy obecni powstrzymali dech. Płonące zioła leciutko trzeszczały.

Wojewoda patrzył znieruchomiały. Zdawało mu się, że leci gdzieś w otchłań. Doznany wstrząs był tak silny, że przywrócił mu świadomość samego siebie, otoczenia i oglądanego widoku. To nie sen. To nie widziadło. To on, Mikołaj Sapieha, wojewoda i senator, fundator kościołów, opiekun klasztorów, patrzył swoimi oczami, jak o parę mil od jego rodzowego zamku w pogańskim obrzędzie karmiono węża! Karmiono węża! Jak gdyby ta połać boru nie leżała w biskupim władaniu, jak gdyby nie było kolegiat i dzwonnów, jak gdyby Chrystus Pan nie królował w tym kraju od dwustu lat z górą!

Ogarnięty przerażeniem bał się poruszyć, aby nie ściągnąć na siebie uroku. Bał się oddychać, by zdradziecko wonnego dymu w płuca nie wciągać. Bał się okrutnie, ale nie mógł przestać patrzeć. Patrząc różnił coraz to nowe szczegóły. Izba podziemna, której wycinek oglą-

dał, była widocznie starożytną kęciną pogańską, głaz, na którym płonęły ziola — ołtarzem. Kłoc stojący poza nim, którego tylko podstawę oglądał, był zapewne posągiem Światowida albo Swarozycza, syna słonecznego Dadźboga. Wzrok patrzącego dokładnie rozróżniał na kłocu zarys niezdarnie wyrzeźbionych stóp. Z dawna, zda się, obalony, zapomniany i wygnany pogański bóg żył tutaj w puszczy i cześć odbierał jak niegdys.

Pałacy wstyd zagórował nad uczuciem lęku. Któż winien, któż odpowiada za podobny stan rzeczy? Czyż nie on, z dziada pradziada dziedzic i pan tej ziemi, obowiązany dbać o dusze i ciała poddanych? Jakżeż znał tę własną dziedzinę, skoro podobne odkrycie było możliwe?! I jakże straszna jest rzeczywistość, gdy w nią głębiej wzrok zapuścić!

Drzwi od dworu skrzypnęły. Rozległy się kroki paru ludzi. Nim wojewoda właściwym sobie manewrem zamknął oczy udając śpiącego, zdążył spostrzec, że za ścianą wąż znikł bezszelestnie, a żyłasta ręka nakryła ogień opalką plecioną z łyka. Do izby wtoczyli się obaj rękodajni oraz kanonik Boćkowski. Zniżyli głosy, widząc, że pan śpi.

— Apage satanas, apage satanas! — mruzczał kanonik, żegnając się raz po raz. — Nie mieliście go kędy złożyć, jeno akuratnie tu.

— Pacholek chatę wskazał... Bałem się, że na rękach skapieje...

— Tego pacholka warto wywyższyć aż na szybienicę. Albo dureń skończony, albo z diabłem w zмовie. Macie waszmościowie dzięgiel?... Wziąłem ze sobą, bo od uroku chroni... Zabierajmyż pana i uchodźmy stąd co szybciej, nim się nas paskudztwo czepi...

Kanonik widocznie wie... — przemknęło panu Sapieże przez głowę. Otworzył oczy. Łowczy pochylił się nad nim.

— Wasza Dostojność. Zadymka ustała. Śnieg wali, ale sanie z ludźmi pójdą przodem przetrzeć drogę. Nosze wysłaliśmy grzecznie kozuchem. Z noszami wniesiem Waszą Dostojność do karety... Prokop! Iwaś! Gdzież wy?!

Obaj wezwani zjawili się natychmiast, przecierając oczy i wyjaśniając, że ułożywszy się w chlewie przy krowie zaspali.

A przecie widziałem ich przy ogniu... — myślał wojewoda. Nie mówił nic, pozwalając biernie przenosić się, układać, okrywać. Spieszyli wszyscy — kanonik Boćkowski zalecał pośpiech, pozorując jego potrzebę względem na zdrowie i wygodę pana.

Boi się gorzej ode mnie... — snuł swe rozważania wojewoda. — Boi się, choć kapłan i Chrystusowe Ciało w ręce bierze... Boi się... Jakże to może być?... Czyjeż tu panowanie? Boga czy pogańskiego bałwana?

Niepokój go nie opuszczał i gdy w parę godzin później spoczął we własnym alkierzu na miękkim posłaniu, ciepło przykryty i napojony grzanym winem (zaprawionym przez kapelana wodą święconą), zapomniał o zwykłym wstępie do rozmowy, pytając obcesowo kanonika:

— Co zacz ów Pyłyp, w którego chacie leżałem?

Kanonik Boćkowski odruchowo przeżegnał się i splunął.

— Szkoda gadać o tym odmieńcu — zapewnił.

— Rad bym przecie wiedział.

— Charakternik... Ludzi do złego przynęca...

— Nic o tym dotąd nie wiedziałem! Wygonić go trza z chałupy!

— Kto go wygoni, Wasza Dostojność?! Starego Pyłypa boją się wszyscy, i ja też... Zazionie człowieka, jak zechce... Kto wie — zniżył głos — czy choroba Waszej Dostojności nie stamtąd wzięła początek.

— Należało mnie uprzedzić dawniej, jeszcze gdym był zdrów...

Kanonik strzepnął palcami.

— Wstyd nawet mówić o tych sprawach, Wasza Dostojność! Wiele ja się o to nagryzę, natrapię... Wiele razy słyszę na spowiedzi wyznanie, że za innymi do boru poszedł pogańskie obiady święcić!... Bogu świeczkę, a diabłu ogarek! Mnie dziesiątą kopę, Pyłypowi piątą! Cóż na to mogę poradzić? Cudu z nieba pokornie dopraszam, gromu czekam...

— Czemu tak się dzieje, skoro nie mamy ni jednego siola, z którego by w dzień drogi do kościoła nie doszedł?

Kanonik westchnął i zamyślił się.

— Tuszę — rzekł uczenie — iż przyczyna leży w braku dostatecznie mocnych relikwii. Tam gdzie pogaństwo silnie zakorzenione i nie wygładzone do szczytu, jak tu, nie lada trzeba patronów. Cóż my mamy w naszym kościele? Żal powiedzieć. Partykuła szaty świętej Eustachii wdowy... Nie ujmuję ja szacunku świętej Eustachii, co razem ze świętą Paulą w Betlejem pobożny żywot pędziła, ale gdzie delikatnej rzymskiej pani (bo ze szlachetnego rodu pochodziła) brać za łeb polskiego czorta? Nie takiej potencji tu trzeba.

— Powinienem był o tym wiedzieć — upierał się wojewoda.

— Nic byś, Wasza Dostojność, nie poradził — westchnął z rezygnacją kanonik.

Z ulgą powitał nadejście jejmość wojewodziny, która przysła ze słoikiem maści nacierać piersi i kark chorego. Maść była to bezcenna, prawdziwa driakiew wenecka, uchodząca za panaceum na wszystkie choroby, a także uroki. Nie dziw, że była kosztowna, gdyż w skład jej wchodziły korale i perły tłuczone, alkiermes mający cnotę czynienia człowieka wesółym, balsam zamorski, przede wszystkim jednak odrobina proszku, pochodząca ze startej głowy węża tego samego plemienia co wąż, który w rajku kusił Ewę. Wprawdzie cudowny ten lek kilkakrotnie już aplikowany wojewodzie skutku, jak dotąd, nie odnosił; należało jednak nie tracić nadziei, że z czasem moc swoją okaże.

Głęboki frasunek malował się na obliczu pani, gdy pieczołowicie nacierała męża. Trudny do podźwignięcia ciężar spadł na jej niewieście barki, nie mogła się z nim uporać. Przyjęłaby z poddaniem jako wolę Boską — czy urok zwyczajny, czy chorobę z tych, co to chodzą po ludziach. Lecz słabość męża była czymś zupełnie innym. Ta dziwna niemoc stanowiła sprawę hańbiącą, wstydliwą, o której nijako było opowiadać. Ludzie nie rozumieli choroby, przy której ciało pozostaje zdrowe, a tylko duch wiotczeje, i zachowanie chorego interpretowali jako niedołęstwo. Ba, czyż tylko niedołęstwo? Z przenikliwością właściwą

niewiastom jejmość wojewodzina wyczuła, że aktualny gość Kodnia, marszałek koronny, którego przed dwoma dniami syna jej prezentował, z naciskiem podnosząc jego stateczność i rozum, ostatnio jak gdyby ostygł, przestał mówić owe rzeczy pozornie nic nie znaczące, wszakże dla ucha matki brzmiące aż nadto wyraźnie. Dotychczas jejmość nie przejmowała się tym zbytnio, sądząc, iż gość czeka okazji do rozmowy z samym wojewodą, lecz oto przed chwilą zastała Anusią tonącą we łzach. Przyparta do muru dziewczyna wyznała, iż podsłuchiwała rozmowę dwóch dworzan, z marszałkiem koronnym przybyłych. Jeden mówił: „Miękkie gniazdo...” Drugi: „Urodzi syna, co się będzie wilka bał...” Ten pierwszy: „Powiadają tutejsi, że nieznana choroba... My ją znamy: zajęcze serce...” Znow ten drugi: „W saniach mało nie umarł ze strachu...”

Wojewodzinę jak gdyby war oblał. Nie pokazała wprawdzie nic po sobie i ostro skrzyzczała dziewczynę, że słucha, co obce sługi pomiędzy sobą gadają... Nie rozumie i powtarza byle co... Kogo to miało dotyczyć? Kogo?... — Lecz przyszedłszy do swojej komnaty, padła na klęcznik cała rozslochana. Nie wątpiła ani chwili, że Anusia właściwie zrozumiała i powtórzyła. Czyż nie to samo wyrażały zakłopotane niedomówienia łowczego? Męża jej miano za tchórza! Dobrze imię domu, rzecz ważniejsza niżli żywot, było narażone na osławę. Postanowiła nie oszczędzać chorego i powiedzieć mu wszystko bez ogródki... Powiem mu, choćby miał z tego umrzeć — myślała — powiem!

Wcierając drogocenną driakiew, namyślała się, jak zacząć, gdy on sam ułatwił jej zadanie, pytając, co goście robią i czy nie są krzywi, że ich należycie nie przyjmuje.

— Pan Moczydłowski powiózł ich dziś na niedźwiedzia.

— Weseli są? Zadowoleni?

— Bynajmniej — odparła. — Frasują się waszym, jegomość, zdrowiem, a i dziwują się także.

— Czemu?

Zacisnęła wargi. Żal jej było straszliwie. Zmogła się jednak, gdyż uważała za swój obowiązek powiedzieć.

— Dziwują się waszej słabości. Powiadają, że was odmieniła, że dawniej byliście mężnym rycerzem, a dzisiaj zgoła kim innym.

— Słusznie powiadają — przyznał.

— Powiadają jeszcze — głos jej drżał i ręce drżały — że na onegdajszych łowach małoście nie umarli... ze strachu!

Przeraziła się sama tego słowa. Dygocącymi dłońmi obracała słoik z driakwią. Lecz mąż nie rozgniewał się wcale. Zamknął oczy i nic nie odpowiadał... Cóż miał rzec? To była prawda. Do tej chwili jeszcze słabo mu się robiło na wspomnienie rozszartych ziejących paszczy i biejących kłów. Bał się wówczas, bał. A zarazem pojmował, co znaczyło przyznanie się do uczucia lęku. Boi się — znaczy, że tchórz. A tchórz to gorzej niż zbrodniarz...

— Poczytuja mnie za tchórza? — zapytał.

Skinęła głową twierdząco i niezdolna pohamować się dłużej, wybuchnęła płaczem.

— Wstrzymajcie ślony, jejmość. Obojętne mi, co o mnie gadają.

Zaniosła się jeszcze głośniej.

— Nie tylko o was przecie chodzi, ale o Anusię, o chłopców...

Prawda! Ma dzieci, na które spadnie wstyd ojca. Pan Sapięha zdziwił się w duchu, że jego chora głowa wytrzyma jeszcze ten nieoczekiwany cios. Jedyne, czego na tej ziemi pożądał, to spokoju, zamiast zaś spokoju, dowiadywał się kolejno, że pogaństwo lęgnie się w jego włościach, jak przed wiekami, i że własne jego dzieci mogą być wytykane palcami jako dzieci tchórze. Darmo przez kilkadziesiąt lat nadstawiał głowy w każdej potrzebie wojennej. Ludzie łąco zapominają tego, co było. W oczach ich wagę posiada jeno to, co jest.

Foczuł się niby w potrzasku śmiertelnym, z którego ucieczki nie ma. Czyż większa niedola może spaść na człowieka? Wobec niezawinionej hańby czymże byłyby żaloba, strata doczesnych dóbr, zaszczytów, cielesnego zdrowia?... Wszystko tamto mógłby znieść, mógłby przyjmować z pogodną twarzą jako dopust Boży. Na obecną swą niedolę nie miał rady. Przyczyna leżała w nim samym, lecz wymykała się spod działania chorej woli. Ani ratunku, ani ucieczki. Do niedawna pragnął śmierci: śmierć uważał za wyzwolenie. Dziś ta nadzieja była mu odjęta. Jaki sąd spotka go po tamtej stronie, zadufańca, co nosił przydomek Pobożny, a w rzeczywistości był niedbałym i złym stróżem wiary? I jakie dziedzictwo pozostawi po sobie na ziemi? Jaką sławę?

— Boże, ratuj mnie! — szepnął.

Jejmość ocierała oczy.

— Bo żebyście, jegomość, zmoogli się i przyodzielili, do ludzi wyszli, pogadali, zaraz stałoby się wam lżej...

— Do ludzi? — powtórzył z przestraczem.

— Przecie to nie obcy, a swoi, życzliwi... Niech obaczą, żeście chorzy i nic innego jak tylko chorzy!

Patrzyła na męża błagalnie, z taką alteracją na twarzy, że poczuł znów przyływ litości. Postanowił uczynić, o co prosiła, choć nie wyobrażał sobie, by ten wysiłek mógł być na cokolwiek pomocny.

— Zwlokę się, jejmość dobrodziejko moja — rzekł. — Kaźcie mi dać przyodziewek.

## Rozdział czwarty

Niewieścia strategia kazała wojewodzinie rzec mężowi, że goście przykrzą sobie pobyt w Kodniu i utyskują. W rzeczywistości zażywali oni chętnie łowów, wczasów i sławnego sapiężyńskiego węgrzyna. Wrócali

z kniei podnieceni, syci łowieckiej uciechy, z wilczym apetytem siadając do stołu. Nieobecność gospodarza nie nękała ich bynajmniej. Natomiast prawdą było, że naśmiewali się z niego po kątach, twierdząc, iż na starość obabiał, zaś pan marszałek odkładał deklarację w sprawie syna do czasu wyjaśnienia owej dziwnej niemocy przyjaciela.

Życzliwym jednak druhem będąc, ucieszył się szczerze, ujrawszy go wchodzącego do sali jadalnej. On jeden. Reszta biesiadników bowiem pomyślała, że ten cień człowieka osmęci im radość jedzenia.

— Szanuję nieboszczyków, przecie wieczerzać wolę bez nich — zauważył półgłosem Kulesza, wypowiadając tymi słowy opinię ogólną.

Marszałek wypytywał troskliwie chorego o przebieg niemocy i starania włożone już w jej leczenie. Kanonik Boćkowski wyręczył wojewodę w odpowiedzi.

— Medyków sprowadzaliśmy niemało — zapewnił — z prawdziwą szkodą substancji, jako że od razu jawnym było, że nic nie pomogą. Urok jest oczywisty, na który medykamenta nie skutkują.

— Na urok też są sposoby mnogie i doświadczone...

— Urok urokowi nierówny. Bywają, które lada baba łatwo odczyni. Inne potrzebują egzorcyzmów, inne zaś, cięższe — znachora. A bywają i takie, na które sposobu nie ma, chyba żeby Bóg cud zesłał!...

— Dziw! Dziw! Słyszałem o takich urokach, ale trafiających się tylko w krainach pogańskich... Skąd by się wzięły u nas?...

— Pogaństwo łęgnie się wszędy... — zauważył wojewoda.

— Ale nie tutaj! Wolne żarty, gospodarzu dobrodziej!

— Jużci co żarty — powtórzył skwapliwie kanonik. — Musiała wiedźma tatarska naszego pana zasionać, na co, moim zdaniem, jedyne remedium: pać. Z pielgrzymki wróciłbyś, Wasza Dostojność, jak nowo narodzony...

— Pielgrzymki są bardzo skuteczne — potwierdził marszałek.

— Jeździłem do Poczajowa — zauważył wojewoda niechętnie. (Podróż? Za nic!)

— Co tam Poczajów! Na pospolite demony może być pomocny. Z dawna mojego pana na prawdziwą pielgrzymkę namawiam... Pozwolą Wasze Dostojności, że diagnozę pokrótce wywiode: piorun w najwyższe drzewa uderza, Belzebub najprzedniejsze dusze usiłuje niemocą poniżyć i ugiąć... Któż zaś w tej krainie przedniejszym niżli wojewoda, który Cyncynata wzorem, przykładem jest cnót wszelkich, a przydomek Pius zasłużenie nosi? Nie dziw więc, że szatan ześrodkował wszystkie moce, by tak doskonałego męża, instar Hioba złamać. Taka diagnoza. A remedium: wszystkie moce niebieskie w sukurs wezwać, by księciu ciemności satysfakcji nie zezwolić...

— Słusznie prawicie, mości kanoniku!

— Zawsze to prawilem i pielgrzymkę doradzałem, jeno Jego Dostojność Pan Wojewoda od podróży stronił...

— Mnie się też widzi, że to lek jedyne, lecz dokąd jechać?

— Dokąd? Tam, gdzie świętości największe... Do Ziemi Świętej.



— Nie na moje siły podobna peregrynacja — westchnął wojewoda.  
— Przypominam sobie, że mówiono w Warszawie, jako Turcy znów pielgrzymów chrześcijańskich nie puszczają!... Zastępcy tylko chodzą, bo mają tam znajomków... Może by zastępcę wziąć?

— Na taką słabość trzeba samemu pąć odbyć...

— Niektórzy mile odliczają i w swoim obejściu pielgrzymki dokonywają... — wmieszał się pan Kulesza do rozmowy.

— Nie wiem, jak mężom, ale niewiastom taki manier bardzo sprzyja! — podpowiedział pan Zawada. — Exemplum wojewodzina siewierska...

Biesiadnicy gruchnęli śmiechem, przygoda wymienionej pani głośna była bowiem w całej Rzeczypospolitej. Udręczona niepłodnością, młoda małżonka sędziwego senatora ślubowała pielgrzymkę do Ziemi Świętej, by potomka uprosić. Małżonek, lękając się słusznie niepewnych ewenementów podróży w tak dalekie strony, wyprosił u jegomości biskupa przyjęcie na zamianę pielgrzymki podróży odbytej we dworze. Droga obliczona została na pięć miesięcy. Przez pięć miesięcy wojewodzina obowiązana była codziennie sto razy przejść tam i z powrotem wirydarz. Młody braciszek zakonny został przydzielony, by pilnować, czy nie ma wykrętów, i pobożnymi egzortacjami ducha strudzonej niewieście dodawać. Skutek był rychły. Jeszcze pielgrzymka nie dobiegła końca, a już wojewodzina poczuła się w błogosławionym stanie. Pąci wszelako uczciwie dopełniła. Zdumiewali się wszyscy, choć nie brakło złośliwych suspicjów. Te niezyczliwe gadki wywołały obecną salwę śmiechu.

— Uczście się, waszmościowie — zgromił marszałek — nie nowinkarze my, by naśmiewać się z pobożnej intencji... Tandem, jeśli do Ziemi Świętej jechać nieporęcznie, zastępcy sam bym nie radził, pozostaje Rzym... Nie mogąc klęknąć przed grobem Pana naszego, padnij waść przed grobem Jego następcy...

— A relikwie w Rzymie potężne, ba, ba...

— Znam Rzym, dwukrotnie tam posłowałem... — wyznał półgłosem gospodarz. — Iście, kościołów tyle w nim, a cudnych, że zliczyć się nie da...

— Byłem i ja kiedyś... Kościoły, relikwiarze, martyria... Roku nie starczy, żeby je obejść, żadnego nie omijając... A przede wszystkim obecność Namiestnika Chrystusowego! Gdy Ojciec Święty narady trzyma, Duch Święty przewodniczy, powiadają niektórzy, że widomie...

— Błogosławieństwo Ojca Świętego ma taką samą władzę, jaką miał Chrystus Pan...

— Tak jest. Otóż posłuchaj, Wasza Miłość, przyjaciół, coć dobrze radzą. Gdyby Pan nasz chodził jak niegdyś po świecie, szedłbyś do Niego po zdrowie. Skoro Go na ziemi nie ma, idziesz do Jego zastępcy.

— Marszałek słusznie prawi! Jedź, Wasza Dostojność, do Rzymu!

— Do Rzymu! Do Ojca Świętego po zdrowie!

— Pijmy na ozdrowienie gospodarza, za drogę i szczęśliwy powrót!

— Pijmy!

— Nie trać, Wasza Miłość, czasu — pouczał marszałek. — Wybieraj się w drogę rychło, póki mrozy trzymają... Kiedy nadejdą roztopy, będziesz już na Węgrzech...

— Nie mogę postanowić tak od razu... — usiłował bronić się chory.

— My postanawiamy za ciebie... Zali ci życie miemię?

I dobre imię... — dopowiedział sobie w duszy pan Sapieha. Lęk go zdejmował przed projektowaną podróżą, a równocześnie czuł, że jechać trzeba, że jechać powinien i musi.

## Rozdział piąty

Słońce skryło się już do połowy za szczyty, gdy tabor wojewodziński spuszczał się z przełęczy Breneru. Piękna Italia powitała jadących ciepłym grzanym tchnieniem, zapowiadającym wiosnę. Ludzie kodeńscy, zwyczajni nadbużańskich nizin, patrzyli na otaczające przełęcz góry z podziwem bliskim przerażenia i poganiali konie, tęskniąc do noclegu. Idący tuż za kolasą starszy kozak łogoszowy, bywalec, bo już dwa razy z panem podróż do Rzymu odbywał, opowiadał półgłosem towarzyszowi o wielkoludach, mieszkających na tych graniach, strącających łąwy śnieżne na każdego, kto im sen zakłóci. Wielkoludy te nie znoszą wrzawy, śpiewu, hałasu. W górach musi być cisza. W przepaściach znowu lęgną się karły złośliwsze od dziwożon lub wił. Tutejsi ludzie mają na nie sposobne zaklęcia, ale skąd je znać obcemu?... Powiadają też, że w którejś przepaści, jeno nie wiadomo której, znajduje się zejście do piekła i diabły wychodzą stamtąd w piątki wieczorem na kuszenie dusz.

Młody Podlasiak, słuchając tych opowiadań, zęgnął się raz po raz, a obaj oglądali się trwożnie za siebie, radzi, że tabor nadąza tuż blisko.

Jakoż o pół stajania ledwo, za kolasą dwóch jezdnych wiodło na rozpiętych wodzach pańskiego ogiera z buczackiego stada, od Fandali po Sulmecie, wielkiej urody i cnoty. Żrebiec zwany Casus Belli (z racji, iż między dwoma znacnymi rodami z jego przyczyny o włos nie doszło do zwady i szabli) przykrzył sobie powolną drogę, puszył się i rwał. Za dzianetem dwa krępe kasztany ciągnęły małą teleżkę, na której sterczał drewniany kozioł, a na koźle paradny pana rząd i siodło. Rząd był pozłocisty, sadzony obficie drogimi kamieniami. Dla ochrony w drodze kosztowny ten aparat opięty był w szarą kitajkę i płótno żaglowe napuszczone smołą.

Tuż za teleżką na obszernej bernardyńskiej bryce (cztery konie w poręcz) drzemał kanonik Boćkowski. Za bryką sześć skarbowych wozów wiozło służbę i sprzęt potrzebny w podróży. Wieziono zatem, spakowane w łuby, bogate przyodziewy pańskie, kontusze aksamitne, delie karmazynowe podbijane złotogłowiem, żupany i pasy lite. Wieziono kapy herbowe na konie, płaty aksamitne, kobierce, liberie, puzdra ze srebrnym

naczymi, kuchenne przyrządy i kotły, szkatułę z korzeniami, aptekę pełną ingrediencji, zapas muszkietów, łóżko i wzorzysty namiot. Wieziono również soroki soboli przeznaczone na podarki dla zacniejszych person, baryki wina, miodu i gorzałki żytniej. Nie brakło podręcznego kowadła, obręczy, szprych i kół zapaśnych. Na osobnym wozie, pod pieczę skarbnika, leżały mieszki z pieniędzmi.

Konie przy bryce i wozach pochodziły z własnego stada sapieżyńskiego, po matkach drobnych kudłatych żmudzinkach i pięknych tureckich ogierach. Ta krzyżówka dawała podjezdki dość rosłe, o suchej pęcinie, mocnym, niskim kolanie, maści brudnobałanej, z ciemną pręgą wzdłuż krzyża. Wytrzymałość ich była znana w całej Litwie, a lekkość chodu porównywano do kroku wilka w kniei, łosia po bagnie, dziewczyny w tańcu. I teraz szły rażno po alpejskiej stromej drodze, stukając kopytami miarowo w stary rzymski szlak. Za wozami w tumanie złocistej poświaty majaczyły postaci kilkunastu jezdnych w sapieżyńską barwę przyodzianych. Jadąc śpiewali dla skrócenia czasu litewskie pieśni zwane dajnamy, stare, pogańskie, których znaczenia sami już nie rozumieli.

Zgrzyt zakładanych hamulców obudził wojewodę ze snu. Odsunął skórzaną firankę, wyjrzał. Góry stały przed nim, za nim i ponad nim, rozgorzałe w purpurze i złocie. Barwy kwitnące na bieli złocistego śniegu miały blaski i siłę w dolinach nie znane. Szczyty pozornie bliskie, w rzeczywistości dalekie i niedostępne, zdały się żyć własnym bytem, obojętne wszystkiemu dokoła, obce drobiazgowi ludzkiemu mrowiącemu się u ich stóp. Czymże były w ich obliczu niegdysiejsze zwycięskie pochody zdobywcze, ów wielki szlak rzymski, cesarski? Ścieżyną mrówek, dążących od mrowiska do mrowiska...

Droga kręciła się wężem i pan Sapieha wytknąwszy głowę z kolasy mógł widzieć cały swój tabor spuszcający się z przełęczy. Ludzie, konie, wozy zdawały się stąd drobnicą, niepozorniejszą istotnie od mrówek.

Zmęczony opuścił firankę. Nie chciało mu się patrzeć. Dwa miesiące i pół mijało, jak wyjechał z Kodnia, ustępując namowom żony i przyjaciół. Żarliwość ich nalegań zbudziła w nim nieśmiałą wiarę, że zbawczy cel pielgrzymki może być osiągnięty, i gotował się do drogi z dawno nie zaznaną ochotą, zdającą się być już zapowiedzią zdrowia. Był to jednak błysk nietrwały, który rychło zgasł. Jeszcze nie zdążył wyjechać z granic Rzeczypospolitej, gdy owe strzępy wiary i nadziei odpadły, jak psy domowe odprowadzające pana tylko do granicznej miedzy. Znow po dawnemu nie spodziewał się niczego, nie pragnął niczego, czuł wzrastającą głuchą niechęć do wszystkiego.

Czasem pieśni śpiewane przez służbę, dolatujące od końca taboru, stare litewskie pieśni, nasuwały przypomnienie Pyłypowej chaty, w której święty wąż pojony był mlekiem. Naówczas chory fundator wielu kościołów, noszący przydomek Pius, cierpiał ze wstydu i grozy, kajał się Bogu i pragnął coś przeciwdziałać, naprawiać... Lecz pieśń milkła, a wy-

rzuty sumienia tonęły w poprzedniej apatii. To znów niebaczone słowo któregoś z rękodajnych przypominało nieszczęsne łowy na wilki, dziewczosłoby Drohojowszczaka wstrzymane w pół kroku, i fala gniewu biła rumieńcem wychudłe policzki. Rumieniec gasł jednak prędko, fala opadała, upokorzenie traciło swą ostrość pozostawiając tylko uczucie dojmującego ciężaru.

Mrok zapadał, kiedy tabor wojewodziński wjeżdżał do Breneru, gdzie pan Hornowski, jadący o pół dnia przodem, przygotował w oberży niezgorszą kwaterę. Hajducy w barwie trzymali wysoko pochodnie, gospodarz na progu zginał się w niskim ukłonie, w głębi zaś izby ciemnolicy biskup wykrzykiwał pozdrowienia z żywością italską. Był to monsignore Cesarini z Rieti, wysłany z Rzymu do legata na dworze cesarskim, a znajomy pana Sapiehy z czasów ostatniego posłowania.

— Otóż fortunny zbieg okoliczności, otóż szczęśliwy eventus! — wołał biskup, witając pana Sapiehę kordialnie. — Zateśkniłeś, Wasza Miłość, za naszą Italią?! Wieleż to lat?! O łaskawe nieba! Czternaście lat, jak oglądaliśmy cię ostatni raz!... Na świętego Eupsymiusa! Czas leci, jakby był orłem, nie starcem... Gdzie jedziesz, Wasza Dostojność? Niezmienna nasza fortuna zapewnia mnie, że do Rzymu?

— Fortuny ja dziś jestem szczęśliwym wybrańcem — odparł wojewoda dwornie. — Pod szczęśliwymi auspicjami wjeżdżam do Italii, skoro na progu wita mnie serdeczny afekt przyjaciela, z tyłu cnót i głębokiej wiedzy znakomitego. Jadę zaś istotnie do Rzymu z supliką do Ojca Świętego.

— O, będziesz przyjęty jak najmilszy syn! Jego Świątobliwość w niezmiennej estymie chowa was Sarmatów, i nie odmówi niczego! — wykrzyknął biskup z zapalem, wchodząc z wojewodą do głównej izby, otwartej szeroko na przyjęcie gości. — Ojciec Święty miłuje wielce waszą nację... Ho ho! Nie to, co Jego Cesarska Mość!... Pomnisz, Mości Palatynie, jako trwaliliśmy zawsze w stałym do Wiednia dyzguście? Ale cóż? Polityka jest kapryśną kochanką, tedy i papież musi ulegać jej zmiennym dezyderatom... Przyznam się nawet, że jadę teraz do cesarza z epistołami brzmiącymi wcale uprzejmie...

Monsignore przymknął znacząco oko, gotów do niedyskrecji dla ciekawego słuchacza, lecz wojewoda nie przejawiał zainteresowania zapytując natomiast o zdrowie Ojca Świętego.

— Znakomite! Znakomite! — odparł Cesarini, jakby zawiedziony. — Jego Świątobliwość trzyma się zawsze dobrze. Nadto dobrze dla niektórych kardynałów, którym najpiękniejsze lata mijają bez nowego conclave. Boże, miej w opiece Ojca Świętego! Na koniu siedzi jak młody, a kardynałów lży sromotnie po dawnemu.

— Wolne żarty... — uśmiechnął się wojewoda z przymusem.

— Żarty?! — zaperzył się biskup. — Ależ bynajmniej, bynajmniej! Sam słyszałem wiele razy... Krewki jest nasz Ojciec Święty, o, krewki nad wszelką imaginację... Co słyhać więcej, pytasz, Wasza Miłość? — (Zwrot retoryczny, gdyż wojewoda nie pytał wcale.) — Czterej Barbe-

rini rządzą po dawnemu, jeno nierówne ich w rządzie zdolności. Bo kardynał padrone to człek zgoła niepospolity, Antonio senior jest po-  
śledniejszy, zaś Antonio junior i Taddeo... O, lepiej nie mówić... Po-  
dobnie ze wszystkimi... Po dawnemu, po dawnemu! Patrzymy życzliwie  
na Gustawa Adolfa i wielkie sobie z popierania protestantów obiecuje-  
my dla wiary świętej profity... Byłe cesarzowi dokuczyć... Cóż dalej?  
Nasz prześwietny Galileo pisze nowe Dialogi „del flusso e refluxo”, co  
sprowadzi niewątpliwie nowe refluxo: uwagi Sancti Officii w jego kie-  
runku. Uparty to stary i przepowiadam mu, że źle skończy. Boski Ber-  
nini rzeźbi dwudziestą fontannę; chleba w Rzymie niebawem zabraknie,  
ale wody będzie pod dostatkiem. Miodu zapewne też, bo na każdej  
budowli roi się od pszczoł, herb Berberinich znaczących. Cóż, kiedy po-  
spółstwo, z uporem ciemnemu tłumowi właściwym, nie chce się tym  
zadowolić i woła coraz głośniej, że wolałoby mniej rzeźb, ale za to  
mniej podatków... Bryganty wyroiły się niezwykle w tym roku i zbytniej  
zażywają swobody. Z przyjemnością też widzę, że Wasza Miłość masz  
ze sobą przystojny poczet zbrojnych...

Monsignore Cesarini zamilkł, patrząc wahająco na pana Sapięę.  
W bystrych jego oczach płonęła ciekawość, w jakiej misji palatyn polski  
udawał się do Watykanu? Na poselstwo oficjalne orszak był za szczupły;  
na podróż dla kształcenia, z ciekawości, on sam zbyt wiekowy... Siedzieli  
w małym alkierzu przy stole, z którego służba tylko co zebrała resztki  
wieczery. W sąsiedniej wielkiej izbie wieczerali towarzyszący bisku-  
powi księży, kanonik Boćkowski i starsi dworzanie.

— Wybacz mi, Mości Palatynie — rzekł monsignore po chwili — że  
folguję niestosownej i zbyt ciekawości. Niemależ to muszą być  
importancji sprawy, które skłoniły Waszą Dostojność do puszczenia się  
w podróż tak daleką, nie bacząc na wiek i nadwątlone, jak uważam,  
zdrowie.

— Interesa zgoła prywatne, personalne, i dalibóg smutne — odrzekł  
wojewoda. — Siły moje bardziej są nadwątlone, niż Wasza Eksceleńcja  
przyпуска, bo już parę lat chorzeję bez przerwy. Podróż przedsię-  
brałem z pozwoleniem Króla Jegomości, gwoli odzyskania zdrowia,  
i jadę jako człowiek prywatny, nie jako poseł, starać się osiągnąć uzdro-  
wienie, czego nie mogłem otrzymać w kraju.

— Na Boga! Wiedziałem, że szczęśliwy nas zetknął trafunek! Tedy  
nie do Rzymu trzeba jechać, ale do Padwy, co i drogę znacznie skróci.  
W Rzymie nie mamy teraz dobrych medyków.

— Jaż medyków nie szukam — odparł pan Sapięha — bo u nich  
leków na moją słabość nie znajdzie. Do Rzymu chcę jechać, do relikwii  
potężnych, do tronu Namiestnika Chrystusowego. O cud chcę błagać,  
lubom niegodny. A gdzież, suponuję, Bóg prędzej wysłucha modlitw  
grzesznika, jak nie w stolicy zastępcy swojego?...

— Zapewne, zapewne — odrzekł monsignore, patrząc na wojewodę  
z nie ukrywaniem zdziwieniem. — Zapewne. O, jakąż wiarę macie, wy,  
Sarmaci!... Zapewne. Cuda dzieją się u nas, owszem, niewątpliwie... ale

raczej między pospółstwem... Coraz słyszymy, że ktoś z owych dalekich pielgrzymów cudownie uzdrowiony został. Zawsze spomiędzy prostaczków, Rzymu ani żadnych spraw jego nie znających. Wasza Miłość wybaczy, że mówię tak szczerze, ośmielony dawną naszą konfidencją. Do Rzymu jedzie się z poselstwem i obediencją do Ojca Świętego, dla zbudowania ducha pięknością Wiecznego Miasta i potęgą Kościoła — po cuda sztuki i wiedzy, ale nie po cuda mistyczne! Na wszystkie bogi Grecji! Cud na Watykanie! Nie umiem sobie tego wyobrazić... Raczej u grobu świętej Katarzyny, dziewicy ze Sieny, albo w Padwie, gdzie Antoni cudami słynie, w Asyżu lub Porcjunkuli franciszkańskiej... Bo ja wiem zresztą, gdzie... Wiele jest świętych miejsc, tylko nie Rzym... Mamy swoje specyficzne cuda: jak wyciągnąć pieniądze z hołoty, z której już nikt nic nie wycisnie... Cud! Skłonić pysznego rzymskiego barona, by szedł potulnie w orszaku Jego Świątobliwości... Cud! Natchnąć artystę nową rzeźbą, piękniejszą niż wszystkie na świecie... Zawstydić starożytność nowym cudem. Rozwiązać dietne małżeństwo, ogłaszając niewiastę dziewicą... Nie sąż to cuda oczywiste?... Rzymskie cuda, a raczej cudeńka... Nie dziwi to chyba Waszej Dostojności, bo choć z daleka przybywasz, nie nowicjuszem jesteś, a dawnym naszym bywalcem... Znasz te sprawy...

Biskup przerwał opowiadanie, by zażądać od oberżysty najlepszego wina.

— Dobre tu mają wino — zapewnił (głos jego nabrał powagi). — Dałbym tej gospodzie trzy krzyże nad drzwiami...

— Trzy krzyże?... — zdziwił się wojewoda.

— O, tak! Nie słyszałeś, Wasza Miłość, tej historii? Powszechnie znana... Jeden z naszych purpuratów lubował się w winie jak nikt i kiepski trunek miał w abominacji... Z rozkazu Ojca Świętego wypadło mu kiedyś jechać do Neapolu. W obawie, że popasając na cienkusz trafi, posłał przodem kapelana, żeby w każdej gospodzie wina próbował i gdzie dobre znajdzie, rysował krzyż na ścianie... Tym znakiem kierowany, kardynał zatrzymywał się tylko tam, gdzie podawano dobry trunek. Raz przecie zobaczył na ścianie kapelańską ręką wyrysowane trzy krzyże... Trzy! Zaiste, wino, które tam podawano, warte było tej odznaki! Kardynał tak się w nim rozlubował, że pozostał w tej miejscowości na stałe... Nigdzie już stamtąd nie wyjechał do końca życia. Pił wino i chwalił Bacchusa... Przednia historia, nieprawdaż?

Roześmiał się głośno, bynajmniej nie urażony, że wojewoda jego wesołości nie dzielił.

— Wspomniałeś, Ekscelencjo, że Ojciec Święty wspomaga Gustawa Adolfa? Za żart biorę to, bo przecież...

— Heretyk?... Ba! Cesarza trzeba osłabić i to uważamy za pierwsze zadanie... W polityce nie ma wstrętów... Polityka to gra. Dziś z tym, jutro z tamtym... Byle dać szacha innym, a samemu mata nie dostać...

— Chyba nie z wrogami wiary świętej?

— Wasza Dostojność chcesz mnie na hak wywieść, zadając pytania

nie licujące z umysłem tak znamienitego statysty. Rozumiem! Mamli wyłożyć arkana gry? Chętnie to uczynię, wiedząc, z kim fortuna pozwoliła mi obcować... Jużci wobec plebsu o żadnych sojuszach z poganami czy innowiercami mowy być nie może, ale... Powiadają, że Innocenty VIII brał pieniądze od sułtana Bajazeta za to, że w kasztelu Świętego Anioła, więził jego brata Dżema. Pieniądze te obracał na korzyść wiary świętej... Rozumnie robił. Te syny diabelskie byłyby się i tak same wytepiły... Polityka! W polityce to dobre, co jest korzystne. Gdyby Ojciec Święty nie politykował — Państwo Kościelne dawno by przestało istnieć, a wówczas...

— Panowanie jest wielkim ciężarem...

— Tak każdy powiada, przecie nie widziałem jeszcze władacza, co by się z dobrowoli panowania rzekał. Władza lubuje każdemu... nie gardź, Wasza Miłość, tym winem!

— Nie gardzę, bynajmniej. Warte jest trzech krzyży... Więc Ojca Świętego zastanę w Rzymie? Na Watykanie?

— Powiadałem już, że w Rzymie, pewnie jednak nie na Watykanie, a w kasztelu, bo parobcy będą ściągali wiosenne podatki. Ze ścisłością mistrza Kopernika przewidzieć można, iż w ślad za tym wybuchną ruchy i Jego Świątobliwość przejdzie do zamku, gdyż rozkrzyczanego motłochu pod oknami nie lubi... Kto by lubił? Śmierdzi to i hałasuje...

— Z jakiego powodu?

— No, o podatki... Że za ciężkie, że poborcy żyć nie dają... Prawdę powiedziawszy, nic się głodnemu pospółstwu nie dziwię. Krzyczałbym jeszcze głośniej na ich miejscu. Nigdzie poddani takiej daniny nie płacą jak w Państwie Kościelnym... A skarb mimo to zawsze pusty... Wszystko przez nepotów. Salomonowe zasoby nie starczyłyby na tych chciwców... Co nowy papież, to nowa czereda zgłasza się po zaszczyty i pożyczki... A kto ma koszta pokrywać? Poddani...

— Nie ma na to sposobu?

— Widno nie ma, skoro go dotąd nie znaleziono. Każdy kandydat na stolec Piotrowy zarecza, że familiantów popierać nie będzie, ba, przysięga, że w ogóle rodziny żadnej nie posiada... A potem... Cóż ma robić? „Gdzie ścierwo, tam się i sępy zbiorą” — mówi Ewangelia. Jest władza, jest państwo, są rabusie i zazdrośniki!... Kto będzie bronił papieża, jak nie jego krewni? Musi ich sobie przyskarbić, bo go drudzy inaczej zadziobią.

— Zmęczonym setnie — wyznał wojewoda — i choć za osobliwy fawor poczytywałbym kontynuację zajmującego dyskursu, pójdę spocząć, sumitując się najgoręcej.

— Nie sumituj się, Wasza Miłość! Iście, zmizerowanyś srodze. Dobrego snu i szczęśliwej podróży... Modlić się będę za pomyślny skutek peregrynacji... Przepraszam najpokorniej, jak imię Waszej Miłości, żebym mógł do właściwego patrona kołatać?

— Imię mam Mikołaj, a przydomek Pius...

— Piękny przydomek... Na czyją intencję?

— Nie rozumiem?...

— Bo papież Pius II, chwalony, że przybrał imię świętego poprzednika, Piusa I, prostował z gniewem, iż jako dobry humanista uczynił to na cześć Wergilego i *Eneidy*...

— *Eneidy*?

— Pius Aeneas... Pamiętasz, Wasza Miłość?

— Rzeczywiście. Nie, ja nie... pamięć zawodzi ze słabości. Ekscelencja raczy pozwolić, że go pożegnam...

— Żegnam, żegnam, błogosławię i jeszcze raz radzę nie w Rzymie zabiegać o cud... Ha, ha... Powiadał niedawno jeden bluźnierca, wart stosu, że w Rzymie można nabyć wszystko prócz cudu, bo cudami Bóg dysponuje. On zaś, jedyny, przekupić się nie da... Tak powiedział... Śmiało się całe kolegium... Dobrego zdrowia i łaski Bożej życzę Waszej Miłości...

„W Rzymie można nabyć wszystko prócz cudu...” brzęczało nieznośnie w uszach. „W Rzymie można nabyć wszystko prócz cudu...” Słowa nie były nowe, nie były nieznane. Wiek, w którym żył Mikołaj Sapieha, był — podobnie jak poprzedni — wiekiem fermentu, buntowniczych myśli. Nowinkarze z upodobaniem wywlekali na jaw wstydlive sprawy Kościoła, kładąc je w uszy każdemu. W niezliczonych paszkwilach lżyli papieństwo, nazywając Watykan wielką wszetecznicą, tronem Belzebuba, a Namiestnika Chrystusowego namiestnikiem Antychrysta. Dawniej wojewoda odpychał podobne oszczerstwa z gniewem i wstrętem jako bluźniercze potwarze, nie pozwalając myślom zatrzymywać się przy nich. Teraz, gdy legł na spoczynek i marzył o śnie, zjawiły się wszystkie przy jego wezglowiu. Natrzęsały się, przypominały. Taki jest Rzym, takie jest papieństwo, ty prostoduszny, podlaski Sarmato... Po co tam jedziesz? Żeby się na drwiny narazić?... Słyszałeś, co mówił biskup Cesarini... Zawracaj, zawracaj co prędzej... Nie ośmieszaj się w oczach prałatów... Zawracaj!

Siadł na postaniu, by wezwać pana Hornowskiego i powiadomić o zmianie kierunku podróży. Nie jadą dalej. Wracają. Uprzytomnienie jednak niezbędnych po tym rozkazie wyjaśnień, konieczność sprostania ogólnemu zdumionemu zgorszeniu — wydały mu się ponad siły. Trudno. Dalsza jazda wymaga w danej chwili mniejszego wysiłku niż zaprzestanie jej, będzie więc jechać dalej. Zbyty wszelkiej nadziei, gruntownie otrzeźwiony, doskonale świadomy bezcelowości podróży, pojedzie i niech się z nim dzieje, co chce. Niech kieruje nim Bóg, ludzie, wypadki i rzeczy. On jest niczym. Strzępem bez wiary i woli.

Jechali zatem. Tabor zatrzymywał się dla popasów, dworzanie i hajducy pili wino w gospodach. Kanonik nie gardził nim również. Wojewoda drzemał czujnie i bezsennie w kolasie bujającej go lekko jak chore dziecko kołyska. Mijali Bozen, Trydent, Rovereto, Serravalle. Niebawem dotrą do Rzymu i co wtedy będzie? Dworzanie oczekiwali niecierpliwie tego momentu, lecz kanonik odsuwał wino i wzdychał.

Z racji dawniejszych poselskich podróży, z racji dwóch znamienitych



krewniaków, Lwa kanclerza i Jana Piotra, klejnot i nazwanie Sapiehów nie były obce w Italii. Witano zatem wojewodę uroczyście w Ferrarze, podejmowano gościnnie w Bolonii, a we Florencji książe Ferdynand II Medyceusz wysłał naprzeciw miejskich dostojników, by gościa polskiego wprowadzili w asyście do grodu. Choć zdązał jako człowiek prywatny, hołdami tymi wyrażali podziw i szacunek dla Rzeczypospolitej, krainy wielkiej, nie znanej im, pełnej przeciwieństw, o której żyjący jeszcze starzy dworzanie księżnej Bari, królowej polskiej Bony, opowiadali z taką lubością i tęsknotą, jak gdyby tam była ich rodzona ojczyzna, nie tutaj.

Wojewoda poddawał się z rezygnacją powitalnym ceremoniom, których uniknąć nie mógł. Na przemówienie odpowiadał piękną łaciną, zadziwiał gospodarzy bogactwem stroju, obejściem, a równocześnie zgaszoną twarzą, drzeniem rąk i martwym głosem.

W tym stanie zdrowia co go skłoniło do dalekiej podróży? Pytano nieraz o to mniej lub więcej obcesowo. Pan Sapieha odpowiadał wykrętnie, albo nie odpowiadał wcale. Nie byłby się już za nic przyznał komukolwiek, że wyruszył z dalekich okolic nadbużańskich, by tutaj wyblagać — cud.

## Rozdział szósty

Schody były szerokie, kręcone. Obiegały kilkakrotnie potężną budowlę. Opowiadano, i rzecz mogła być prawdziwa, że kiedyś jeden z papieży wjechał po nich konno aż na sam szczyt, by wygnać antypapieża. Na każdym zakręcie schodów stał pokojowiec w barwach papieskich, z herbem Barberinich wyszytym na piersiach, unosząc wysoko płonąca pochodnię. Kasztel, zwany Zamkiem Świętego Anioła, wzniesiony był niegdyś jako grobowiec cesarza Hadriana, z murów jego jednak zdawała się sączyć nie cisza wiecznego spokoju, lecz groza. Przekraczający wrota zamku wzdrygali się mimo woli, niepewni, zali przestąpią je ponownie, wychodząc wolno na świat. Dla niejednego przecucie to okazywało się rzeczywistością.

Pan Sapieha wchodził po schodach pomału, wsparty na ramionach obu dworzan, z nieodstępnym kanonikiem Boćkowskim u boku. Jak słusznie przewidywał gadatliwy biskup włoski, w Rzymie panowały rozruchy i Urban VIII przeniósł się z częścią kardynałów do Zamku Świętego Anioła. Tu zatem miał być przyjęty gość polski: przez Ojca Świętego nazajutrz, obecnie przez wszechwładnego brata papieża, kardynała padrone, oraz kardynała de Torres, protektora Rzeczypospolitej przy Watykanie.

Gromadce polskiej towarzyszyło dwóch rzymskich prałatów i trzech

pomniejszych nepotów, krewniaków papieskich, wysłanych naprzeciw gości. Usiłowali zabawić wojewodę rozmową, umilkli jednak wprędce, nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Nie wiadomo, czy gość słyszał w ogóle ich słowa. Kroczyli przeto w męczącym milczeniu, a schody zdawały się rozciągać przed nimi w nieskończoność. Jeszcze jeden zakręt, nowa postać z pochodnią wylania się z cienia: poblask płasający wysoko na murze zwiastuje zakręt następny, za którym wyłoni się jeszcze jedna i jeszcze następna... Aż pogrążonemu w myślach panu Sapieże wydało się, że weszli w zaklęty kołowrót bez początku i końca, którym wypadnie iść bez odpoczynku i nadziei do skończenia świata. A może już umarł, sam nie wiedząc kiedy, i duszy jego Bóg taką karę naznaczył?

Nie dziw, że ogarnięty tymi myślami nie słyszał, co doń mówili pracownicy. Zdumiał się, gdy schody wywiodły ich nagle z mroku murów na taras zalany słońcem. Kardynał padrone szedł już na spotkanie. Należało wziąć się w kupę i bez błędu wypowiedzieć przygotowaną orację.

Kardynał de Torres był starcem zgrzybiałym, kardynał Francesco Barberini mężem w sile wieku, zaledwie siwiejącym. Pozostawiając orszak w pierwszej sali, obaj dostojnicy przeszli z gościem do niewielkiego studio obwieszzonego arrasami. Wzdłuż ścian stały półki pełne ksiąg i zwiniętych pergaminów.

— Doszły nas prawdziwie budujące wieści o przyczynie przyjazdu waszmości... — zagaił uprzejmie kardynał padrone, gdy zasiedli w głębokich poręczowych krzesłach.

Wojewoda nie odpowiedział. Ogarnęło go rozdrażnienie właściwe ludziom zmęczonym i chorym. Nagromadzone ostatnio urazy do Stolicy Apostolskiej stanęły jaskrawo w pamięci.

— Wiemy, że przywiodła waści podziwu godna wiara — podjął znów kardynał sądząc, że gość nie dosłyszał.

Pan Sapieha podniósł nań zmęczone oczy.

— Ani budująca, ani podziwu godna — zaprzeczył.

— Nie przyjechałeś waść jako pielgrzym cudu łaknący?

— Nie spodziewam się nijakiego cudu.

Kardynał urażony zamilkł. Pan Sapieha dodał:

— To, co Waszej Eminencji powiadano, dotyczy intencji, z jaką wyjechałem z domu, będzie temu nazad piętnaście niedziel z okładem... Sądziłem wówczas rzeczywiście, iż uproszę łaskę uzdrowienia z choroby, na którą w ludzkiej mocy lekarstwa nie masz... Lecz ta wiara mnie odpadła... Gdyby nie wstyd przed ludźmi, zawróciłbym z drogi...

— Dlaczego? — zapytał kardynał zdziwiony.

Pan Sapieha zacisnął zęby z gniewem. Dlaczego?! Pytający powinien sam wiedzieć.

— Z dala wszystko wydaje się lepsze niż z bliska — objaśnił. — Z Polski jadę. My, Polacy, silnie wierzym... Ojca Świętego czcimy jak samego Chrystusa Pana... Powiadają u nas, że kiedy Kolegium Kardynalskie trzyma narady, Duch Święty jako biała gołąbka unosi się nad głowami... Tak u nas wierzą... Tymczasem...

— Tymczasem co? Powiadaj waść otwarcie!

Pan Sapięha spojrział na kardynałów spode łba. Otwarcie? Powie, owszem, wszystko. Niech się dowiedzą, niech słyszą...

Rozdrażnienie odebrało mu zwykły umiar. Jął mówić zrazu ostrożnie, dobierając słowa, potem coraz prędzej, gwałtowniej, bezwzględniej. Mówił o zarzutach stawianych papięstwu przez dysydentów. O nazwie wszetecznicy nadawanej Watykanowi — o zdzierstwie a rozpuszcie mni-chów — o powszechnym przekupstwie, o groźnym kasztelu, tym właśnie, w którym się znajdowali, o setkach więźniów gnijących pono w jego lochach — o głodującej ludności, o nepotyzmie — o szerzeniu się herezji.

Co jest pod wzrost kaccerstwa nawozem? — wołał. — Zaiste, tylko zgoršenje!

Zadyszał się, poczerwieniał z emocji. Kardynał padrone patrzył na niego uważnie i przenikliwie.

— To wszystko? — zapytał.

— Wszystko? Chyba tak... (Rąbnał, co myślał, po szlachecku. Jakby nie był chory.)

— Z animuszu waścinej filipiki wnoszę — podjął kardynał — że waszec sam w trosce o dobro wiary i Kościoła nie dajesz się wyprzedzać nikomu?...

Pan Sapięha rzucił głową, gotów przytwierdzić, że w Polsce, owszem, wiara jest dla każdego najdroższym klejnotem, lecz nagle, nie wiedzieć skąd, przypomniała mu się Pyłypowa chata i zamilkł.

— A więc to wszystko — powtórzył po chwili kardynał. — Tyle powiadają o nas polscy panowie dysydenci, których waszmość posłusznie przytaczasz? Prawdę rzekłszy, my sami oskarżamy się zawsze o wiele więcej.

— Wasza Eminencja przyznajesz zatem, że te zarzuty są słuszne?! — wykrzyknął zapalczywie wojewoda.

— Niestety, tak. Nie było dotychczas na świecie władzy, która by nie popełniła nadużyć. Władza papieska popełnia ich mniej niż jakakolwiek inna, przecie wolna od zarzutów nie jest... Liczne są błędy Namiestników Chrystusowych i nie może być inaczej... Tam, gdzie ludzie służbę pełnią, błędy ludzkie są nieuniknione. Chrystus Pan zlecił swe następstwo ludziom, nie aniołom... Ludziom ułomnym i grzesznym... Najcięższe jednak przewiny Namiestników Chrystusowych obciążają odpowiedzialnością jedynie ich samych i nie mają wpływu na losy Kościoła. Święty apostolski Kościół odmienny jest od ludzkich instytucji. Jego głową jest sam Chrystus Pan. On sprawuje swe rządy działaniem Ducha Świętego, którego słusznie w kraju waściny sądzą być na nara-dach obecnym. Niewidzialnie, bo czyjeż oczy godne są, by Go zobaczyć, lecz jawnie manifestującym się w skutkach... Toteż, nawet gdy zwierzchnicy Kościoła, ludźmi ułomnymi będąc, popełniają błędy, postępują, chcąc czy nie chcąc, zgodnie z wolą Bożą. Wady i błędy tych ludzi, obłożonych krewkością na równi z każdym śmiertelnikiem, stanowią,

równie jak cnoty, materiał, którego Duch Święty użyje dla skutków dobrych i świętych. Toteż wiedzą serca wierne, że wszelka ułomność w ramach Kościoła Chrystusowego służy nieomylnie woli Bożej...

Wojewoda nie zamierzał dać się rozbroić.

— Eminencjo! W ostatnim stuleciu Kościół utracił wiele dusz, ba, narodów, których odstępstwo zostało wywołane zgorszeniem... Czy i to można uważać za skutek owocny?...

— Wszystkim kieruje Opatrzność, zatem wszystko jest opatrnościowe.

— Nawet zło?!

— Czyż Bóg nie panuje i nad złem? Skoryguję też afirmację waści, jakoby odstępstwa spowodowane były przez zgorszenie... Marny to chyba chrześcijanin, co nie zna pozaziemskiej hierarchii Kościoła i gotów odwrócić się od Boga na skutek grzechów swoich bliźnich...

— Nie rozumiem Eminencjo! Sądzę, że szlachetne w swej istocie oburzenie jest potrzebne...

— Źle sądzisz waść. Chrześcijanin nie ma potrzeby rozsądzać, czy Ojciec Święty myli się lub nie. Ojciec Święty odpowiada za swe czyny tylko przed Bogiem i przed nikim więcej. Chrześcijanin winien być posłuszny i ufać, że Chrystus nie dopuści, by Jego wikariusz domagał się rzeczy złej...

Pojęcie posłuszeństwa było tak przykre polskiej krwi szlacheckiej, że wojewoda poruszył się żywo.

— Wasza Eminencjo, sam raczyłeś przyznać, że bywały nadużycia. Czyż chrześcijaninowi nie przystoi oburzenie, w razie gdyby Ojciec Święty kazał popełnić rzecz niegodziwą?

— To się nie zdarzyło nigdy i zdarzyć się nie może — zaprzeczył Barberini z przekonaniem. — Zasiadali wielcy grzesznicy na tronie Piotrowym, przecie żaden z nich nie nazwał zła dobrem i nie kazał wyznawcom naśladować swoich błędów... Wymień mi choćby jeden takowy dekret, bullę, pismo... Nuże! Sięgnij do pism heretyckich, którym tak chętnie ucha użyczasz, i dokument ów przytocz... Nie wątpisz chyba, że opublikowano by go dawno, gdyby egzystował! Ale nie opublikują, bo go nie masz. Rejestr prywatnych błędów papieży jest długi i ciężki. Rejestr ich błędów jako kierowników Kościoła — nie istnieje... Ślepy chyba nie dojrzy w tym fakcie Bożej ingerencji. Bez niej, jakżeby się ta nawa Piotrowa ostała? Jakżeby nie zginęła? Tymczasem ona wciąż rośnie i trwa... Inne państwa giną, trony się walą — ona stoi... Ta niewzruszoność mimo oplakanej niedoskonałości duchowieństwa nie jest — jednym z dowodów Boskiej natury Kościoła, najczcigodniejszej Matki naszej?

— A gdyby jednak Bóg dopuścił zło? — upierał się wojewoda.

— Gdyby dekret papieski — odpowiedział Barberini uroczyście — był przeciwny nauce Chrystusowej i dobru wiary, znaczyłoby to, że bramy piekielne przemogły opokę, zaś my, chrześcijanie, wiemy, że podobna rzecz jest niemożliwa. Niemożliwa, gdyż musiałyby się wprzód odmienić słowa Boże, które są nieodwołalne...

Spojrzał przenikliwie na gościa i dodał:

— Jakże wam niezdolny, świerzbiący uszy, ów z najprzedniejszych przedni nakaz posłuszeństwa! Świętego posłuszeństwa, bez którego ni kroku w przód postąpić nie można! Znamy was, Polacy, znamy! Każdy legat jednak brzmiałe raporty przysyła: Gorące serca, lotne umysły, szalone głowy i nad sobą ni żadnego pana! Wszystko po swojemu... Jak się komu widzi... Własnym sądem... A ja waści powiadam, że jeśli tej cnoty nie nabierzecie, obróci się wniwecz wasz naród. A ja waści powiadam, że jeśli posłuszeństwa za hasło nie przyjmiecie, wiara wasza was nie zbawi! Jeśli chrześcijanin, otrzymawszy rozkaz swojej duchownej zwierzchności, zastanawia się nad słusnością zlecenia — grzeszy... Tak! Grzeszy!... Kto sądzi bowiem, uważa się tym samym za lepszego, rozumniejszego niż sądzony... Święty Jakub powiada: „Roztrząsający słusność prawa — nie spełnia prawa...”. Powodem takich rozsądzań rzadko bywa rzetelna troska o dobro wiary, zazwyczaj zaś wulgarna pycha, ta najszkaradniejsza z przywar! Pycha leży u progu każdej herezji, pycha powoduje odszczepieństwa, bolesne rany Kościoła, pycha jak złe ziele wciska się wszędzie, sięga nieraz po najlepszych, zawraca ich z drogi świętości i rzuca w służbę szatana... Święty Augustyn powiada, że chrześcijanina obowiązuje posłuszeństwo, nie tylko gdy żywi przekonanie o słusności nakazu przełożonego, lecz gdy ma co do tego wątpliwości... W razie niepewności bowiem obowiązuje go pójście za zdaniem przełożonego, nie za swoim...

— Nikt u nas nie zwolniłby narzucać sobie obcej woli...

— Kto wierzga przeciw jarzmu Bożemu, będzie przymuszony iść pod ciężkim batem... Nie neguję zresztą, że to niełatwo... Moje zdanie, mój pogląd — są cenne każdemu człowiekowi. Z tej postaci miłości własnej najtrudniej nam zrezygnować... Wiem to, wiem...

Wojewoda nie odpowiedział. Nie zgadzał się, a przedłużać dyskusji nie pragnął.

Francesco Barberini odczuł zobojętnienie gościa.

— Niechajmy te sprawy — rzekł. — Mówmy raczej o waścinyim zdrowiu.

— Szkoda mówić, Eminencjo... Ze wstydem i skruchą rewokuję wszystko, com się tutaj ośmielił prostacko naopowiadać... To choroba winna, nie ja... Wasze Eminencje raczą mi wybaczyć... Suplikuję o to pokornie... Najgorszego jednak pono jeszcze nie wyjawilem... Wyznam jak na spowiedzi... Przestałem wierzyć w cuda... Nie dla głupstw, które biskup Cesarini plótł, lecz sam z siebie... Przestałem w nie wierzyć całkiem... Cuda widzą mi się dziś bajką albo przywidzeniem... Bo gdzie Bóg — gdzie ja? Jakże dalekie światy między Nim a mną! Kto ustanowił prawa natury, prawa przyrodzone? Bóg. Jakżeby więc Bóg swoje własne prawa burzył przez cud, który jest ich pogwałceniem? Myślałem dawniej, że to od choroby wysechł rozum mój, niegdyś żarliwy i ufny... Mówilem sobie: nie wierzę, bom pod złym urokiem, ale wiem, że chromam i ślepnę, gdy drzewiej chodziłem prosto i widziałem jasno... Ninie

zaś zda mi się, że wtedy był w błędzie, nie teraz... Nie wiem, co mi podobne myśli w podróży nawiało... Pokusa diabelska?... Może. Ale nie wierzę... Więc się i nie spodziewam, bo jakoż czekać rzeczy, której istnienie neguję?... Nie spodziewam się. Ani cudu, ani żadnej łaski szczególnej... Do kraju nie wrócę, by rodziny nie osmęcać i swoją nędzę nie dawać przyczyny do uwłaczających pogwarek... O przytułek w jakim klasztorze tutejszym poproszę i tam będę czekał końca...

— Każdy zakon poczuje się zaszczycony posiadaniem takiego domownika, przedwczesne to jednak zamysły... Nie wiadomo, jaka przystań jest waści z wyroku Bożego pisana. Ta czy inną... Zresztą, co waść poczujesz, to sprawa poślednia... W co wierzysz — pryncypialna... Rad bym pokonferował nieco o cudach, jeśli zmęczenie waści nie przeszkadza...

— Wytrzymam, byłem za cenę zmęczenia pozbył się rozterki dusznej.

— Tuszę, że tak będzie, i zacznę od fundamentu: Kto nie uznaje cudów, przestaje być chrześcijaninem... O, nie obrażaj się, waść! Co mówię, jest ściśle. Przestaje być chrześcijaninem, kto mniema, że Bóg jest ograniczony w swoich zamierzeniach, że czegoś nie może zrobić... Czegoś nie zna, o czymś nie wie, że gdziekolwiek nie dociera... A czyż prawda objawiona nie opiera się na cudach?... Niepojęty cud Wcielenia, cud Zmartwychwstania, cud Wniebowstąpienia, cud Zielonych Świątek, niezliczone cuda, które Chrystus Pan czynił na świecie sam, lub przez apostołów.

— Jaż nie neguję! — zakrzyknął wojewoda strwożony.

— Czemu zatem mniemasz, że brama cudów została przed wiekami zamknięta, źródło wyczerpane? Na czym polega cud, zdaniem waszmości?

— Nie zastanawiałem się nad tym — wyznał wojewoda. — Kapelan mój jednak, człek świątły, któren wraz ze mną przyjechał, powiadał kiedyś, że cudem nazywamy ewenement w skutkach dobry i zbawienny, a przeciwny porządkowi przyrodzonemu rzeczy...

— Kapelan waści użył określenia świętego Bonawentury: „Cud — fakt sprawiony przez Boga, przeciw naturze”. Natura mogłaby, jego zdaniem, dokonać tego samego, lecz w inny, mniej nagły sposób. Święty Tomasz uzupełnia te słowa, stwierdzając, że Bóg może działać poza porządkiem rzeczy. Porządek rzeczy wypływa bowiem z przyczyn pochodnych, którym Bóg nie podlega.

— Eminencja wybaczy... Jakich przyczyn?...

— Pochodnych... Kamień toczy się z góry. Bieg jest coraz śpieszniejszy jest pochodną wagi kamienia, prawa ciężkości i siły przyciągania ziemi... Lecz oto człowiek rzuca w górę kamień i kamień leci wbrew obu wymienionym prawom... Pchnęła go wola silniejsza od nich... Podobnie skrzypek, dotykając strun, wydobywa tony piękniejsze niż głos, jaki instrument mógłby wydać sam z siebie... Według świętego Tomasza cuda dzieją się *supra naturam*, podczas gdy zdarzenia są *secundum naturam*... Wydaje mi się też, że cud stanowi *probab-*

tę Boga... Ten sam głos wszechmogący, który odpowiedział Chrystusowi Panu z nieba: „Uwielbiłem i jeszcze uwielbię...” rozbrzmiewa na wołanie najlichszego z ziemskich synów, gdy z wiarą i miłością woła: „Przyświadc mi!”... A tak owe facta divina wyrażają zarówno mądrość, jak i miłosierdzie Boże.

— Czemuż Bóg przyświadcza tak rzadko?...

— Przeciwnie, przyświadcza ciągle, niestrudzenie, lecz ludzie nie chcą czekać na odpowiedź lub nie rozumieją jej. Gdy rozległ się wspaniały głos z nieba, gdy sam Stwórca przemówił — rzesza otaczająca Chrystusa powiedziała, że zagrzmiało... Zdarzeń często zachodzących ludzie nie uważają za cud, choćby były najbardziej niezwykle. Toteż święty Augustyn określa wszystkie drobne fakta codzienne jako „miracula quotidiana”. Grzegorz Wielki powiadał, że narodziny, czyli powstanie człowieka z niczego jest większym cudem niż przywrócenie życia umarłemu. Rozmnożenie chlebów na puszczy nie dorównuje w dziwności plonowi ziarnka pszenicy... Zdarzenia naturalne są według niego cudowne, cud jest naturalny... To umysły ludzkie bywają poruszone cudem wtedy tylko, gdy jest niepowszedni, gdy staje jako znak przeciwieństwa wobec ich oczekiwania...

— Czym można taki znak uprosić?

— Dwa są tylko nieodzowne warunki: miłość i wiara.

Milczący staruszek, kardynał de Torres, poruszył się żywo i zacytował skandując dobitnie wyrazy:

— „Gdybyście mieli wiarę jako ziarno gorczyczne, rzeklibyście temu drzewu morwowemu: wykorzeń się, a przesadz się w morze — a usłuchałoby was...”

— Usłuchałoby! — podchwycił kardynał padrone. — Usłuchałoby, byle ten, co rozkaz wydał, posiadał tyle wiary, ile zaważy ziarno gorczyczne. Bodaj tyle, a cuda działyby się na jego skinienie i żądanie... Gdybym miał dość mocną wiarę, mógłbym rozkazać górze palatyńskiej, by się rozpostarła jak łąka... Chrystus Pan sam powiedział, że tak będzie, więc to jest p r a w d a... I tylko wiary nam brak... A waść wątpisz w cuda?

— Grzesznym... wyznają... I niegodnym nadziei cudu... Bo ani wiary dostatecznej nie mam, ani zasługi...

Kardynał de Torres uprzedził znów odpowiedź Barberiniego.

— A któż jest godzien, synu mój? — zapytał. — Kto zasługuje? Nawet święci otrzymują Łaskę jako dar niezasłużony... Jeszcze nikt spośród śmiertelnych na Łaskę nie zasługiwał... Bóg nas miłuje i dlatego zsyła cuda...

Wojewoda nie odpowiedział. Był u kresu sił. Od dawna, jeszcze za zdrowych lat, nie zdobył się na podobny myślowy wysiłek. Dziedzina duchowych rozważań była dla niego, polskiego pana, ziemią całkowicie nową, terra incognita... Mimo to zdołał za myślą interlokutora nadążyć.

— Dla samej tej rozmowy opłaciło się sownie podróż odbyć — rzekł najszczerzej. — Będę zmiłowania prosił, a Bóg uczyni, jak zechce... Co-

kolwiek ześle, niech imię Jego będzie uwielbione! Do którego ze świętych patronów Wasze Eminencje radzą mi zwrócić się o pośrednictwo?...

— Tylko do Maryi! — wykrzyknął Francesco Barberini. — Któż bliższy, przychylniejszy niż Ona! Kto w pośrednictwie możniejszy? Od Niej każdą modlitwę zaczynać należy, bo za Jej wstawiennictwem każdy cud się dzieje...

— Gdzież jest wizerunek Najświętszej Paniarki, do którego najłatwiej prośby zwrócić można? — spytał pan Sapieha.

— Madonny Gregoriańskiej, zwanej też di Guadelupe. Przedziwny to konterfekt, któremu równego nie masz. Bo zauważ waść tylko, że gdy najpiękniejsze wielkich naszych mistrzów obrazy, acz pod natchnieniem Bożym malowane, są raczej tworem fantazji — niejednokrotnie wprost z żywego człowieka rysy i postawę biorąc — ów jedyny rytrykt na świecie przedstawia Matkę Bożą taką, jaka była w istocie, jest do Niej z lic podobny...

— Tak jest, tak jest — przytwierdził kardynał de Torres.

— Jakoż to być może? — zapytał wojewoda ze zdumieniem.

— Historia to długa, która by niejedno folium zajęła. Zbyt waść dziś jesteś sfatygowany, bym cię tak długą narracją chciał nużyć. Treściwie tylko powiem, że wizerunek ów jest wierną kopią dzieła rąk świętego Łukasza Ewangelisty. Ostały się wprawdzie jeszcze inne obrazy tego artysty Bożego, z których jeden na Jasnej Górze u was się znajduje... (Jeśli pomnę, z Bizancjum do Polski został przywieziony). Od długiego wieku jednak drzewo bardzo pociemniało i podobieństwo stracił. Mówili mi, którzy Jasnogórski obraz oglądali, że przez ciemną brunatność twarzy mało rysów już rozpoznać można. Podobnie statua Gwadelupeńska twarz do murzyńskiej raczej zbliżoną przedstawia. Los ochronił na płótnie malowany obraz Gregoriański i Matka Boska, w królewskim na nim wyrażona paludamencie, zachowała kolory i rysy właściwe. Posłuchaj na dowód opisanie Matki Bożej, jakie się zachowało od świętego Epifaniusza, ucznia, którego Bogarodnicę znalazł i swoimi oczami oglądał, a gdy zobaczysz obraz odsłonięty, sam uznasz, zali nie jest słowo w słowo z opisem tym wierny.

Wziął w rękę księgę leżącą na stole, przewrócił parę kartek i czytał:

— „Była Maryja we wszystkich rzeczach uczciwa, mało bardzo i tylko potrzebne rzeczy mówiąca — skłonna i bardzo przyjemna, cześć i poszanowanie wzbudzająca... Koloru była pszenicy jasnej podobnego, włosów złotawego, oczu bystrych i przyżółtawych i jakby oliwkowego koloru źrenice w nich mająca. Brwi jej były powiesiście i czarniawe. Nos cienki, przydługi. Wargi kwitnące i słów słodkości pełne. Twarz nie okrągła, ani kończasta, ale pociągła. Ręce drobne i palce długie. Była na ostatek pychy żadnej nie mająca, szczerą, twarzy nie zmyślającą, na szatach, które nosiła, przyrodzonego koloru, przestawająca. (Co i teraz święte głowy Jej nakrycie pokazuje.) A że krótko powiem, we wszystkich Jej rzeczach była od Boga dana wdzięczność...”

— Tak jest — przytwierdził ponownie kardynał de Torres.



— Jakoż być może — zauważył pan Sapieha — że będąc dwakroć w Rzymie, nic o tak znakomitym i cudownym wizerunku nie słyszałem?

— Bo w prywatnym on oratorium papieskim na Watykanie się znajduje, gdzie rzadko kto z obcych ma dostęp. Dawniej był w kościele Panny Maryi Większej. Madonna Gregoriańska specjalną jest patronką papieży i nikt inny, jeno Ojciec Święty mszę przed Nią odprawia.

— Mam listy polecające do Ojca Świętego od Króla Jegomości i może Jego Świątobliwość raczy...

— O, nie obawiaj się waść! Nawet bez listów instancjalnych Jego Świątobliwość uczyni niewątpliwie wszystko, czego pragniesz. Nie poskąpi w niczym. Da Bóg nie wyjedziesz od nas bez pokrzepienia na ciele i duchu...

Wojewoda żegnał obu dostojników. Kardynał de Torres uściśnął go serdecznie za głowę:

— Idź w pokoju, mój synu, a pamiętaj to jedno: że to Matka nasza... Matka...

## Rozdział siódmy

Kanonik Boćkowski mylił się w pacierzach, spoglądając z rosnącym niepokojem na pochylone plecy klęczącego w pierwszej ławce wojewody. Cicha msza papieska dawno się skończyła. Ojciec Święty odszedł, udzieliwszy błogosławieństwa obecnym, kościelny gasił świece i tylko dym z kadzielnicy snuł się błękitnie pod stropem. Chory pan nie ruszał się z miejsca. Czy nie zasłabł, Boże broń?! Gdy tu szli, był bardzo kiepski. Musieli go we dwóch z panem Hornowskim wysadzać z lektyki i nieść raczej do kaplicy niż prowadzić... Matko Najświętsza, broń nie-szczęścia! Należy chyba podejść, ocucić... Ba, a jeżeli nie zasłabł, tylko się modli? Grzech byłoby przerywać... Modliłby się jednak tyle czasu?... To u rycerzy nie w zwyczaju... Na pewno omdlał... Panno cudowna, Lekarko chrześcijańska! Ratuj!

Pan Sapieha nie omdlał przecież, choć działy się w nim dziwne rzeczy. Od chwili, w której przy akompaniamencie prześlicznych chórów chłopięcych i dźwięku fletów podniosła się złocista zasłona odsłaniając oblicze Bożej Rodzicielki, stracił poczucie czasu, rzeczywistości i samego siebie. Patrzył w ołtarz niby urzeczony, oczu nie mogąc od niego oderwać. Juźci nie pierwszy raz modlił się przed obrazem Najświętszej Panny. Cześć Dziewicy była w Polsce od wieków powszechna i żywa. Nie było zamku, dworu, dworku, chaty, gdzie by na poczesnym miejscu nie wisiał Jej wizerunek. Powszechnie też panował zwyczaj, że gospodyni codziennie wieczorem gromadziła domowników przed tym obra-

zem dla wspólnego odmawiania pacierzy. Prócz tych domowych wizerunków, na szkłe przez miejscowego artystę malowanych lub w drzewie rzezanych, znał wojewoda obraz Jasnogórski, cudowną Matkę Boską Poczajowską, cudowną Matkę Boską z Podkamienia, cudowną Matkę Boską od Karmelitów w Warszawie i przez całą Litwę uwielbianą Matkę Bożą z Ostrej Bramy. Tak się składało jednak, że — ilekroć znajdował się w tych Maryjnych sanktuariach — czuł się bardziej senatorem niż zwykłym pokornym czcicielem. Głowę miewał zaprzątniętą politycznymi kabałami, świeżymi nominacjami, grożącymi powikłaniami znacznie więcej niż nabożeństwem. Uwaga jego nierówno obdzielała sprawy wieczne i sprawy doczesne. Dziś było całkiem inaczej. Chore ciało, chora dusza nie znajdowały dawnych upodobań i jedyną rzeczą, której mogły się uczepić, było miłosierdzie Boże. Piękny i starożytny obraz, jaki miał obecnie przed sobą, w połączeniu z wczorajszą rozmową, kazał mu czuć żywiej, myśleć o Tej, która jest Orędowniczką ludzkości. „Pamiętaj synu, że to Matka nasza...” powiedział kardynał de Torres. Pamiętał o tym. Z ufnością i wzruszeniem nazywał Ją teraz Matką najczystszą, Matką najśliczniejszą, Matką niepokalaną, Matką nienaruszoną, Matką najmiłszą i Matką przedziwną... Sławił jako Pannę możną, Pannę czcigodną, Pannę roztropną, Pannę łaskawą i Pannę wierną. Uznawał w Niej Zwierciadło Sprawiedliwości, Stolicę Mądrości, Dom złoty i Wieżę z kości słoniowej. Gorącym szeptem przytwierdzał, że Ona Uzdrowieniem chorych, Ucieczką grzesznych, Pocieszycielką strapionych. Z kolei, gdy począł wymieniać Jej Królewskiemu Majestatowi poddanych, Aniołów, Apostołów, Proroków i Świętych, ogarnęło go zdumienie nad zasięgiem tego władztwa i pierwszy raz bodaj w życiu jął się zastanawiać nad tym, kim była, a raczej, kim jest Maryja. Skąd wzięła tę dziwną moc Panienczka z Nazaretu, że na Jej wstawiennictwo Bóg odmienia przedwieczne wyroki i sprawiedliwość zastępuje miłosierdziem? Czemu się to dzieje, że groźna piekłu jak obóz warowny, jak wojsko w szyku porządnym, ma zarazem w sercu tyle miłości i wyrozumienia dla każdego, choćby najwstrętniejszego grzesznika?

Skoro, zapomniawszy o własnych sprawach i sobie, pogrążył się w te rozmysły, wydało mu się, że wkracza w nieznaną głąb bez dna i bez kresu. Podobnego uczucia doznawał wczoraj wchodząc po schodach Zamku Świętego Anioła, lecz wtedy ogarniał go nużący strach, teraz zaśię zachwycenie. Szedł myślami niby przez mroczny, lecz pełen woni ogród, na końcu którego skroś zieleni przebijało światło. Tym światłem była Ona, Maryja, i biegł ku Niej. Odnajdował ją, poznawał, zrodzoną wcześniej niż powstały światy, wdzięcznego świadka wytyczania granic morzu i określania przepaści. Jawiła mu się kolejno w postaciach tęczy — znaku przymierza pomiędzy niebem i ziemią, gołębiccy pokój zwiastującej, Ruth pokłóśnej, Judyty nieustraszonej, drabiny Jakubowej, obłoku Eliaszewego spuszczonego rośne dżdże na spragnioną glebę. Ona była furtą jasności niebieskiej, jedyną bramą, przez którą ród ludzki może wspiąć się do stóp Chrystusowych, bo za Jej pośredni-

ctwem Chrystus zstąpił ku nam. I jak gdyby sama myśl o Niej dodawała skrzydeł, prosty, nie ćwiczony umysł pana Sapiehy począł szybować tak śmieie, że w olśnieniu pojał nagle, skąd bierze się ten blask otaczający Najświętszą. Tak wielką i piękną, a równocześnie każdemu człowiekowi tak bliską. Mieszkanke ziemi i władczynię nieba.

Zrozumiał niezbicie, że stało się tak, ponieważ była nie tknięta przez grzech. Najczystsza, niepokalanie poczęta. Nie obciążał jej błąd próznej, pożądlivej Ewy. Wolna od zmayı, zachowała piękność i moc, jakie były udziałem ludzi przed upadkiem. W Niej skażone, zbląkanе stworzenie ogląda samo siebie w pierwotnej postaci. Gdyby nie grzech, każdy śmiertelnik posiadałby cnoty Maryi... Każda dusza została stworzona, aby być taką jak Maryja... Lecz wszyscy upadli, Ona jedyna została. Wartki nurt grzechu, porywający pokolenie za pokoleniem, zatrzymał się przed wybranką Bożą, cofnął i minął, zostawiając Ją nietkniętą. Dlatego każdy, świadomie czy nieświadomie, Maryję czci, za Maryją tęskni, do Maryi z ufnością się zwraca... Maryję za matkę uważa...

Matkę... Pan Sapieha spojrział na obraz i boleśnie odczuł smutek tchnący ze świętego oblicza. Uprzytomnił sobie, że nigdy nie spotkał obrazu, na którym artysta ośmieliłby się przedstawić Matkę Bożą wesolą. Uśmiechają się wprawdzie Madonny, lecz tylko wtedy, gdy wpatrzone są w Dzieciątko. Znajdują szczęście w adoracji Zbawiciela. Ilekroć Matka Boża spojrzy na śmiertelnych, wzrok Jej zaćmiewa się łzami. Tych łez złość ludzka przyczyną, przyczyną niedocena ofiary. Wszak, by naprawić błąd tamtej niewiasty, matki rodzaju ludzkiego, co stojąc pod drzewem dała posłuch wężowi, Maryja także stanęła pod drzewem, lecz Krzyża, ofiarowując za winy człowiecze najdroższego swego Syna; stabał Mater dolorosa, by kosztem Jej bólu ludzkość mogła podźwignąć się z prochu. Teraz płacze, widząc, że świat nadal grzęźnie w grzechach, nie pragnąc wiedzieć nic o odkupieniu...

Matka jeszcze się nie zraża. Powstrzymuje z wysiłkiem ramię Boga podniesione w gniewie. Wzywa wszystkich ludzi, by ich z Synem swoim pojednać, Synowi swojemu ich polecić, swemu najmilszemu Synowi ich oddawać. Pomna, że od wieków nie słyszano, aby ktokolwiek, co się pod Jej obronę uciekał, o Jej wstawiennictwo błagał, miał być od Niej opuszczony, zstępuje z niebios, by ratować dusze. Kłocze do naszego serca, wyciąga ręce pełne łask. Ludzie kołatania nie słyszą, dłoni podawanych nie widzą, łask zbawczych nie potrzebują...

— Matko! Przebacz! — jęknął wojewoda, bijąc się potężnie w piersi. Ogarnęły go żal, wstyd, skrucha i gorące pragnienie jakiegoś zadośćuczynienia. Zapragnął oddać z radością życie, ciało, duszę, by tą daniną pocieszyć Matkę Bolesną, rozścielić się u Jej stóp przebłagalnie...

Ocknął się niby ze snu pod dotknięciem dłoni. Zatroskany kanonik Boćkowski stał nad nim. Zachodził już kilkakrotnie z boku i cofał się onieśmielony na widok twarzy pana przemienionej, zalanej łzami. Narreszcie nie wytrzymał i przemówił:

— Południe dawno minęło. Wasza Dostojność jeszcze na czczo... To niezdrowo...

Południe dawno minęło... Pan Sapieha przetaił oczy. Poszukał wzrokiem oblicza Maryi i zdumiał się. Obraz był zasłonięty, prawdopodobnie od dawna. Widział Ją więc przez zasłonę, a może Ona wyszła z ram i stanęła przed nim? Chwiejąc się jak pijany, wstał z klęczek i ruszył ku drzwiom. Kanonik dreptał za nim. W progu kościelny, chudy, zgarbiony człowieczyna, ziewał i podzwaniał znacząco.

— Dajcie mu, Wasza Wielbność, talara... — mruknął pan Sapieha. Sam szybkim, mocnym krokiem ruszył naprzód przez długie krużganki, komnaty, aż wyszedł na dziedziniec, gdzie stali jego ludzie z lektyką. Patrzył na nich nie widząc, olśniony niewiarygodną, a niezbitą świadomością. Zawrócił nagle i pędem pobiegł, skąd przyszedł. Potrącony kanonik zatoczył się aż pod ścianę.

O Boże miłosierny! Zwariował! — jęknął w myśli, puszczając się w pogoń.

— Wasza Dostojność zapomniał czego w kaplicy?! — wołał. — Co ostało?!

— Co ostało? — zagrzmiął pełną pierś wojewoda, przystając. — Choroba ostała!... Do nóg Panience Przenajświętszej chcę paść!... Ja zdrów!...

## Rozdział ósmy

Zręcznym ruchem wojewoda zeskoczył z ogiera i rzucił wodze luzakowi. Popołudniowe słońce zalewało blaskiem dziedziniec kardynalskiego pałacu i zapalało błyski w klejnotach zdobiących rząd przybyłego. Stojący przy bramie strażnicy drzemali oparci na halabardach, a psy gończe snuły się z kąta w kąt, szukając jakiegoś cienia.

W cieniu również, pod głębokimi arkadami, stanęli dworzanie wojewody: panowie Hornowski, Drojewski, Kiersnowski i paru innych. Spoglądali za uzdrowionym panem wzrokiem ludzi, którzy z niezwykłym zdarzeniem nie zdążyli się jeszcze oswoić. Aczkolwiek wyjechali z Kordnia, by towarzyszyć choremu w podróży mającej na celu wymodlenie zdrowia — gdy cudowne uleczenie nastąpiło, poczuli się zaskoczeni, zaniepokojeni. Tak szybko, tak łatwo, od razu?... Mniej by się dziwili, gdyby choroba ustąpiła pod zabiegami czarownika lub znachora... Jużci, jako dobrzy katolicy wierzyli w cuda. Wierzyli. Niemniej patrzyli na uleczonego nieufnie.

Pan Sapieha tymczasem zdążył samojeden na rozmowę z kardynałem padrone. Komnata, w której zasiedli, była równie jak studio w kasztelu założona księgami od pawimentu do stropu. Wojewoda przechodząc nie

mógł się wstrzymać od myśli, że takie nagromadzenie jest dużą przesadą.

Francesco Barberini, spoglądając z nie ukrywanym zajęciem na gościa, o którym cały Rzym od tygodnia prawił, zapytał go, jak długo polski palatyn zamierza pozostać jeszcze w Wiecznym Mieście i zali mu śpieszno do domu?

— Właśnie w tej sprawie prosiłem o audiencję Waszej Eminencji — objaśnił pan Sapieha. — Niepokój mam w sercu i rozterkę duszną, na które potrzeba mi rady...

— Sądziłem, że waścine agitacje i obawy rozwiały się pod dotknięciem Łaski?

— Oczywiście, Eminencjo! Głupstwa, którem kiedyś bredził, są dziś ode mnie dalekie. O co innego chodzi... Śpieszno mi wracać do domu, do zaniedbanych chorobą obowiązków, do służby publicznej, tym bardziej śpieszno, że nie tylko zdrowie odzyskałem, ale i siły młodzieńcze...

— Bo Bóg, gdy daje, to z pełną daje, nie jakby skąpy dawał — zauważył Barberini.

— Tak, Eminencjo! Jeno że równocześnie wyjechać z Rzymu nie mogę i na samą myśl o wyjeździe dusza się we mnie rozdziera. Nie byłbym w stanie żyć bez widoku Matki Bożej i bez opieki jej oczu... Wolej bym zdrowia nie odzyskał, niż, ujrawszy Ją, odjechał i stracił! Otworzyście powiem: z dala od Niej nie masz dla mnie snu spokojnego ni życia...

— Tedy zostań — odparł kardynał z prostotą. — Powiadałeś waść przyjechawszy, że zamierzasz ukrywać swą słabość i niedołęstwo w klasztorze... Co miało być melancholijną ucieczką, niech się zamieni w radosny zamysł pozostania na służbie Najświętszej Pani. Niejeden czuł podobnie, aż wyrzekł się majątności, rodziny i kraju, by w Rzymie spokojnego końca doczekać... Nie słyszałem, by który tego chwalebnego zamiaru żałował...

— Myślałem już o tym — przyznał wojewoda. — Myślałem, że należy śluby złożyć i w klasztorze pozostać. Jakowys głos wewnętrzny powiada mi jednak uparcie, że nie. Ja w kraju potrzebny. Siły, które mi Bóg wrócił, ojczyźnie chcę oddać. Wracać do domu muszę, ale nie daj Boże, abym miał powracać próżno...

— Co waść rozumiesz przez te słowa? — zapytał kardynał zdziwiony.

— Wyznam myśl całą, jak ojcu. Sam dostąpiwszy tak wielkiego dobrodziejstwa, rad bym je podzielić z innymi. Ujrawszy przenajświętsze oblicze nie zaznam spokoju, póki nie zdołam ukazać go innym, których przyrodzonym jestem opiekunem. Do nóg Jego Świątobliwości chcę paść i póty miłosierdzia żebrać, aż mi okaże swą łaskę i pozwoli zabrać do kraju wizerunek...

Kardynał mrugał oczami.

— Wizerunek?

— Ów jedyny, za sprawą którego cudowniem zdrowie odzyskał... Madonny Gregoriańskiej z papieskiego oratorium...

— Jezus Maryja! — krzyknął Barberini.

— Eminencjo, daruj i wysłuchaj! Na zbawienie duszy klnę się, że nie zarozumiałość mówi przeze mnie, nie chciwość, jeno szczerza ku Matce Boskiej miłość i pobożność. Nie chcę złotych szat i wotów, które na Niej błyszczą, jeno o sam obraz błagam jako o fawor najwyższy...

— Słowa te godne szaleńca — przerwał kardynał surowo. — Powstań waść z kolan natychmiast! Nie neguję, iż mówi przez ciebie pobożność, lecz pobożność dzika, nieposkromiona, sarmackim zajątrzona animuszem, z żadnymi względami się nie licząca! Wszystkiego raczej byłbym się spodziewał niżli tak zuchwałej prośby!

— Eminencjo! — zawołał wojewoda błagalnie. — Rzym w depozyta Bożej Łaski hojnie jest uposażony! Nie zuboży Wiecznego Miasta wspa-  
niałomyślne jednego skarbu, bodaj tak cennego, oddanie!

— Nigdy! A waść nie obrażaj Matki Bożej samą chęcią zabrania Jej z miejsca, które sobie za siedzibę obrała.

— Obrażam?! Ja bym za Nią życie chętnie dał! Ja proszę nie z samolubnego zachcenia, ale dla pożytku wiary... Eminencjo! Ziemia, gdzie mieszkam, ochrzczona jest dopiero od dwustu lat... Kościołów skąpo, dzwonoń mało... Wokoło puszcze, w puszczech trzęsawiska. Ostępy, które dotąd znaku krzyża nie widziały! Roi się tam od demonów. Żywią bezpiecznie, czekając odpowiedniego momentu, aby wychynąć wśród ludzi... Jest ich niezliczona mnogość! Zielonawe wiję, ludzi w bagno wciągające; małe, spod progów wypędzone rogoboje; kudłate beznańce, wilkołakom podobne, szpetne waruki. To nie wszystko, Eminencjo! Jest ich jeszcze więcej! Żywie na mym dworze człowiek, co własnymi oczami oglądał gomon szatański, pędzący mór przed sobą! Składał się ów orszak diabelski ze stu pięćdziesięciu dwóch demonów, a działo się to w roku śmierci Miłościwego Pana Zygmunta Augusta... W głębokich lasach chowają się te odmieńce, nocami, gdy miesiąc sprzyja, nachodzą chaty, krowom odbierają mleko, zboże psują po zaświrkach, kobiety rozkoszami nęcą, ludzi co słabszych kuszą i do grzechu ciągną... To znów w biały dzień z drzew nawołują, samotnie idącym na kark skaczą i jak upiór krew piją...

— Demonów wszędzie pełno — zauważył kardynał. — W jednym kraju są te, w drugim inne... Nawet i tu... Lecz póki w ludziach nie ma skłonności ku nim, wiele złego uczynić nie mogą.

Wojewoda zaczerwienił się i spuścił głowę.

— Eminencjo! Opowiem rzecz, której wstydzilem się wyjawić komukolwiek. Mam wśród swoich przydomek Pius albo Fundator, bo — nie chwalać się — jedenaście kościołów z własnej substancji wystawiłem... I myślałem, że moją ziemię uczyniłem chrześcijańską. Myślałem, że gdzie jak gdzie, ale na kodeńskich włościach nie ma już śladu pogaństwa... Że wszędzie panuje Chrystus... Żle myślałem. Zdarzyło się tego roku, zaraz po Godach, żem zasłabł na łowach... Służba wniosła mnie półżywego do chaty znachora, która podle stała... Tam leżałem, zanim konie sprowadzono... Myśleli wszyscy, że śpię... Nie spałem... I wtedy

widziałem przez szparę pogański obrządek... Nie znachor to był, a żerec. Widziałem, jak ogień palili i węża karmili, a ludzi było kupa...

— Cóżes waść zrobić?

— Nic nie zrobiłem! Raz, że byłem słaby... Po drugie, choćbym był zdrow, niewiele bym mógł poradzić... Sam takiego paskudnika nie będę zabijał, a z moich ludzi żaden podobnego nakazu nie wykona, bojąc się czarów. Nawet kanonik, któren tu ze mną przyjechał, bał się... Nie dziwota. Zabijesz odmienca, a on tylko ducha w sobie przytai i znów jak padalec odżyje... Wasza Eminencja najsluszniej prawisz, że trzeba w ludziach wytracić chęć ku pogaństwu... Wolę ku Bogu obrócić... Na to innej mocy potrzeba niż ziemską! Na to trzeba wielkich świętości, co by dusze w jasyr wzięły... I dlatego moją suplikę ponawiam... Ileż błogosławieństw, ileż dusz wyrwanych potępieniu zyskałby Ojciec Święty w zamian za okazaną nam szczodrość! Gdyby wizerunek cudowny stanął w kościele kodeńskim, zmieniłby swoje oblicze cały kraj... Bo lud jest dobry i wierny, tylko brak mu Matki... Matki miłosierdzia, Bramy niebieskiej... Jakie potężne relikwie posiada Rzym, ile świętości, a wszakże i bez nich szatan nie poważyłby się tu wejść... Zali nie jest wolą Bożą rozesać część tych skarbów po świecie, tam gdzie obecność ich będzie najbardziej owocna?

— Świętości i relikwii udzielimy waści najchętniej...

— Ja chcę Madonnę Gregoriańską! Ja proszę! Ja błagam!

— Porzuc waść mrzonkę, którą z niewłaściwym uporem powtarzasz i posłuchaj! Sądzisz, że w Rzymie nie ma szatanów na pokuszenie wiódących? Otóż wiedz — tu kardynał zniżył głos do szeptu — że nigdzie, nawet na greckim Olimpie, nie ma ich tyle co tu! Nie są to wasze niezdarne leśne bożęta, na które, jak tuszę, dźwięk dzwonu wystarczy, ale potężne bogi pychy i korupcji, ze wszystkich demonów najzłośliwsze i do zwalczania najtrudniejsze. Tu, w starożytnym Rzymie, było ich siedlisko, tu władza ich wrosła najgłębiej... Jak wiadomo waści, nie było bóstwa, które by tu nie miało swojego ołtarza. Każda piędź ziemi przesiąknięta jest kultem pogańskim... Dlatego Piotr wybrał to miejsce, by wroga zdusić w jego własnym gnieździe... Od półtora tysiąca lat nie ustaje walka... Prostaczkowie pierwszych wieków wzięli pogańskie kolumny do świątyń chrześcijańskich... Ba, nierzadko pogański przybytek zamienili na dom Boga prawdziwego! Wbrew swym zamiarom wzmocnili w ten sposób szatana... Zaklęty w kolumnie, wmurowany w łuk, obezwładniony święceniami, ofiarą, odżywa przy każdym dotknięciu ręki złej, sprośnej, każdej myśli świętokradzkiej... Odżywa i kusii... Rzuca cień na ludzi i wypadki... Nieustające zmagania trwają wokół papieskiego tronu... Jak możesz waść porównywać wasze słabe szatanki pogańskie z gigantycznymi duchami ciemności, którym święci podolać nie mogą?!

— Są tu groby apostołów, groby męczenników... — upierał się wojewoda.

— Wszystko mało! Pomimo to szczodrość i wspaniałomyślność Ojca

Świętego w stosunku do waści przechodzi wszelką imaginację. Waść pragniesz go inkomodować niedorzeczną prośbą, mogącą tylko wywołać słuszny gniew, a sam nie wiesz, jak hojnie będziesz obdarzony! Byłem przytomny, gdy kardynał sekretarz układał listę relikwii, którymi Ojciec Święty pragnie cię uradować, by świątynie, któreś wznosił, wywyższyć nad inne... Na rany Chrystusa! Od dawna żaden król tyłu i tak wielkich świętości nie dostał! Masz bowiem waść otrzymać szczątki świętej Cecylii panny i męczenniczki, świętego Tomasza z Akwinu palec, świętej Łucji panny i męczenniczki z ramienia kostkę, świętego Wincentego zęby, świętego Kasprycjusza cząstkę głowy i goleń, świętego Piusa papieża strzep habitu, świętej Inkulenty panny prochy z autentykiem, na koniec całkowite ciało świętego Juliusza męczennika, senatora rzymskiego, z inskrypcją i lampką, którą przy modłach ten wielki święty zapalał... Na koniec ciało świętej Kandydy męczenniczki, z garnuszkiem, w którym strawę gotowała, i lampą...

— Serce moje pełne jest wdzięczności dla Ojca Świętego. Prawdziwie nie mogę pojąć, czym sobie na tyle łaski zasłużyłem... Nie taję jednakże, że wszystkie one relikwie oddam i jeszcze całą fortunę dołożę, byle ów jedyny Najświętszej Panienci wizerunek móc otrzymać...

— Szaleństwo! Szaleństwo! Zrozum waść, że żądanie to zgoła dziecinne! — syknął kardynał, zaciskając gniewnie wargi. Był zniecierpliwiony na dobre. Co uczynić z tym natrętem, szaleńcem, barbarzyńcą? Zachciało mu się najcenniejszego obrazu i nie chce ustąpić... Równie dobrze mógłby nagle zażądać tiary albo papieskiego tronu, albo relikwii świętego Piotra! Zaprawdę, słusznie nuncjusz mówił o Polakach, że nie istnieje dla nich nic niemożliwego. Jak zakończyć tę rozmowę? Wyjść samemu lub kazać służbie wyprowadzić natręta — nie sposób. Nie tylko jest to senator potężnego państwa, lecz człowiek, na którym spoczęła widoma Łaska... Człowiek będący obiektem wielkiego cudu... Trzeba go za wszelką cenę uspokoić, ale jak?

Milczeli obaj. Myśli ich pracowały gorączkowo, acz w różnych kierunkach. Słońce zniżyło się i cienie wydłużyły za oknami. Na kościele Świętego Piotra uderzyły dzwony nieszporne, natychmiast odpowiedziały im inne i przez pewien czas muzyka dzwonów wypełniała Wieczne Miasto, wstrząsając powietrzem.

Nim dzwony zamilkły, kardynał rozjaśnił zasępioną twarz. Znalazł wyjście mogące zadowolić obie strony.

— Z Bożego natchnienia chyba — rzekł — przyszła mi w tej chwili koncepcja, dająca waści całkowite zadowolenie. Zanim ją jednak wyłuszczę, poznać musisz historię świętego obrazu. Maszli czas wolny, by długiemu dyskursu wysłuchać?

— Z radością, chciwym uchem przyjmę każde słowo Waszej Eminencji!

Kardynał odetchnął z ulgą i oparł się wygodnie o poręcz rzeźbionego krzesła.

— Zatem, jak wiadomo już waści, święty Łukasz Ewangelista, kun-



sztem malarskim i rzeźbiarskim od Boga obdarzony, pozostawił kilka wyobrażeń Najświętszej Panny Maryi, z którą przez ostatnie lata Jej ziemskiego bytowania pod jednym dachem zamieszkiwał. Wszystkie one dzieła istnieją dotychczas, cudami w różnych krajach słynące. Ostatnim wizerunkiem była duża, ludzkiej wielkości statua. Bogarodzicę przedstawiająca a tak niewymownie podobna, iż — jak stare kroniki podają — zdarzało się, że uczniowie do Matki Bożej po błogosławieństwo idący przed posągiem klękali, biorąc go za żywą postać.

...Statua została odnaleziona i do Carogrodu uroczyście przewieziona przez cesarza Konstancjusza, jak twierdzą jedni historycy, przez Konstantyna Wielkiego, jak powiadają inni. Ścisła historia poczyna się od września 446 roku, gdy za panowania cesarza Teodozjusza Młodszego państwo wschodnie nawiedziło okrutne trzęsienie ziemi. W samym Carogrodzie runęło wówczas przeszło pięćdziesiąt wież warownych, całe mury zewnętrzne, niezliczona ilość domów i pałaców. Przez siedem dni ziemia drżała, otwierając się w długie szczeliny, z których buchał dym i smród siarczany. W te szczeliny waliły się całe osady. Morze wystąpiło z brzegów, zalało pobrzeżne wsie. Nad głowami wisały chmury popiołu. Ludzie szaleli ze strachu, krzyczeli jak obłąkani. Grzesznicy wyznawali publicznie swe winy, a gniew Boży nie ustawał.

...Na koniec, siódmego dnia klęski, za radą pobożnej siostry cesarza Pulcherii patriarcha Eudoksy zarządził uroczystą procesję. Niesiono przed nim statwę Łukaszową i szły tysiące wystraszonych ludzi. Ziemia dygotała. Nagle na połowie drogi zerwał się przed procesją słup piasku i popiołu i ogarnął pochód gęstą chmurą, że człowiek człowieka nie widział. Pęd wichru porwał małego chłopca, który trzymał kadzielnicę, i uniósł gdzieś w ośmę. Wszyscy upadli na ziemię, stał tylko patriarcha obejmując oburącz statwę.

...W huczącym tumanie usłyszał naraz Eudoksy głosy, niby świergot ptaka. Chłopczyk, który przed chwilą porwany był w górę, stał przed nim i śpiewał: „Hagios ho Theos, hagios ischyros, hagios athanatos!...” Nie śpiewał sam. Jakieś niewidzialne głosy wtórowały: „Hagios ho Theos, hagios ischyros!...” Pojął Eudoksy, że Niebo śpieszy mu w pomoc, i przyłączył się do chóru; za nim podjęły śpiew bliższe szeregi, podnosząc się z ziemi, za nimi dalsze, niebawem cały tłum wołał do Boga wezwaniem, które od tego czasu w całym świecie chrześcijańskim jest śpiewane pod nazwą suplikacji: „Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny! — Zmiłuj się nad nami!”

— I u nas śpiewają to, zawdy gdy jakowaś klęska grozi, głód, powietrze albo wojna... — zauważył wojewoda.

— Ledwo pieśń zagrzmiała, ziemia przestała dygotać. Stała się nieruchoma jak zwykle. Zza popielnych chmur wyjrzało słońce. Ptaki, kołujące od tygodnia w powietrzu, sfrunęły na dachy i na ramiona stojących. Ludzie płakali z radości. Śpiewając nieustannie ową pieśń zesła-

ną z nieba, procesja wróciła ze statua do kościoła, a cesarz Teodozjusz sprawił dla niej kosztowny ołtarz i suknię...

...Nie był to niewątpliwie pierwszy cud dokonany za sprawą Łukasowego posągu, lecz pierwszy, o którym historycy zostawili dokładną relację. Pominę dalsze cuda, przechodząc do przybycia świętości w progi Rzymu. Było to roku Pańskiego 581. Patriarcha carogrodzki Eutychiusz, zarazy herezją, opublikował wówczas dzieło przeciwne zmartwychwstaniu ciała i papież Pelagiusz II wysłał do niego opata z Monte Celio, Grzegorza (mającego zostać w przyszłości papieżem i świętym), by patriarchę o błędzie przekonał. W Carogrodzie Grzegorz zastał biskupa hiszpańskiego Leandra, przysłanego w delegacji do cesarza carogrodzkiego, Tyberiusza.

...Niezwyczajny i rzadko na ziemi spotykany afekt złączył tych obu świątobliwych mężów. Zdarza się czasem między wybranymi duchami takowa sympatia i myśli wspólnota, mogąca być zadatkami wiecznej przyjaźni, w niebie między zbawionymi panującej. Przyjaźń opata Grzegorza z Leandrem arcybiskupem była tak wielka, że zdali się posiadać jedną duszę, serce, żadną miejsca dystancją nierozdzielne.

...Krótko przebywali razem (myślę o życiu doczesnym), lecz zawsze jeden znał myśli drugiego. Ludzie powiadali, że w nocie pogodne wychodzili w domach swych na dachy, ten w Sewilli, ów w Rzymie, a wtedy ze świętych ich głów tryskały promienie, które wędrowały w ciemności, szukały się wzajemnie, a odnalazszy — płonęły spolem ku górze. Mówiono też, że posiadali na swoje usługi białego gołębia, który nieustannie z Italii do Hiszpanii latał i listy przyjaciół prznosił.

...Bóg błogosławił legacji Grzegorza. Patriarcha Eutychiusz pod wpływem jego wymowy błędy swoje rewokował i dzieło heretyckie spalił. Powracającemu opatowi ofiarował Łukasową statua, by ją papieżowi w dowód obediencji zawiózł. Tak statua przybyła do Rzymu.

...Wawrzyniec Maselli, historyk życia Najświętszej Maryi Panny, powiada, iż było to w roku 585. Zgadza się z nim Ludwik Nonnius. Wszystkie fakta, które cytowałem, jako też te, jakie w toku narracji cytować będę, potwierdzają Szentywani i Antoni Belingbem. Wspomina o nich również Jan Maricetta, a obszernie i dokładnie opisuje znany kronikarz, Fryderyk Henriquez de Ribeira. Za nim powtarza Jan Nadaszy, autor *Roku niebieskiego*. Wymieniam dla przykładu tych starych autorów, byś wiedział waść, że nie baśnie opowiadam...

— Nigdy bym nie wątpił w autentyczność słów Waszej Eminencji, wydziwić się nie mogąc tej erudycji i niepowszechnej nauce, a słuchać pragnąłbym nawet do rana.

— To dobrze, bo historia jeszcze długa... Po śmierci papieża Pelagiusza opat z Monte Celio, Grzegorz, został jednomyślnie obrany na Stolicę Apostolską i przemocą na niej osadzony. Były to czasy, gdy świątobliwi wybrańcy kładli tyleż wysiłków, by się od godności uchylić, ile kładą ich dzisiejsi następcy w jej uzyskanie. O pełnych chwały rządach Grzegorzowych nie będę mówił, gdyż muszą być waści znane. On Kościół

dźwignął i uporządkował, z Chrystusem Panem i Jego Matką rozmawiał, on pozostawił liczne księgi, z których dotychczas mędracy pomoc czerpią, on liturgię Kościoła wzbogacił... ale nie w tym rzecz. Trzy lata już Grzegorz panował, gdy urwała się jego duchowa komunikacja z Leandrem sewilskim. Gołąb latał, ale odpowiedzi nie przynosił. Promienie z głowy Grzegorza szły w świat, nie napotykając braterskich promieni po drodze. Przybyły z obediencją i darami od króla Wizygotów biskup Probin potwierdził przeczuwaną złą nowinę. Arcybiskup Leander chorzał śmiertelnie na ciele i duszy. Stracił władzę w członkach, a co gorsza modlić się przestał i o miłosierdziu Bożym wątpił... Odłożę na chwilę narrację, by napomknąć, iż słabość Leandra przypominać musiała słabość, na którąś waść cierpiał... Ten sam też uleczył ją lekarz...

Wojewoda przytaknął zasluchany.

— Zmartwiony tą wieścią papież Grzegorz Wielki myślał i myślał, czym przyjaciela podźwignąć. Wspomnił na Łukaszową statwę, u stóp której niegdyś w Carogrodzie ślubowali sobie wzajemnie miłość braterską w służbie Bożej i świętość tę postanowił wysłać choremu. By jednak Rzymu nie skrzywdzić utratą cennego skarbu, kazał wymalować najwierniejszą kopię posągu i tę na miejscu ostawić...

...Komu powierzyć wykonanie kopii? Nie brakło artystów uznanych za biegłych, choć dziś dzieła ich wydają się nam wielce nieudolne. Jednakże Grzegorz pod natchnieniem Bożym powierzył tę pracę opatowi benedyktynów, świętemu Augustynowi, późniejszemu apostołowi Brytanii. (Nie konfunduj go waść ze świętym Augustynem, biskupem Kartaginy, wypłakanym synem świętej Moniki!) Święty Augustyn nie był malarzem, słynął tylko z ozdabiania psalterzy braci pięknymi miniaturami. Zlecenie przyjął przez posłuszeństwo i gorąco się modlił o umiejętność. Papież modlił się z nim razem. Gdy święty Augustyn zasiadał przed płótnem, papież modlił się nadal. Czas mijał, mrok zapadał, a oni tego nie spostrzegli i nie przerywali zajęcia. Świadkowie opowiadali, że święty Augustyn, malując, miał oczy zamknięte, a jakaś niewidzialna siła posuwała dłoń jego po płótnie. W ten nadprzyrodzony sposób w ekstraordynaryjnie krótkim czasie powstał przedziwny obraz Madonny, od papieża Gregoriańską zwanej, ten sam, który ci zdrowie przywrócił.

...Obraz umieszczono u Najświętszej Panny Maryi zwanej Większą, a statwę powierzył papież biskupowi Probinowi, by ją Leandrowi zawiózł.

...Dzieje statuy są nadal niezwykle i opowiadanie ich zajęłoby wiele godzin. Powiem tylko krótko, że posąg cudownie burzę szalejącą na morzu uśmierzył. Leandrowi zdrowie przywrócił i niezliczonych cudów dokonał. Do dziś dnia nie ma za Pirenejami świętości bardziej czczonej niż owa statua Łukaszowa, obecnie Gwadelupeńską zwana. Bóg nie zwlekał z okazaniem, że łaski przywiązane do posągu przelał na obraz według niego malowany.

...Roku Pańskiego 601 wybuchła w Rzymie zaraza morowa, złośliwsza niż wszystkie, jakie pamiętano. Wymarła więcej niżli połowa ludności miasta. Trupy walały się po ulicach. W studniach woda była zatruta i cuchnąca. Od ukąszenia much siadających na trupach powstawały na ciele obrzydliwe i śmiertelne wrzody. Kto bogatszy, uciekał w góry. W owym czasie bardzo już sędziwy papież Grzegorz Wielki przypomniał sobie procesję, o której opowiadano mu niegdyś w Carogrodzie, i z obrazem Madonny ruszył procesjonalnie wokół zapowietrzonego miasta. Jak wówczas w Bizancjum, kto żyw, szedł za Matką Bożą. I pieśń śpiewano tę samą co wtedy. Gdy procesja dosięgła grobowca Hadriana, ujrzeli wszyscy obecni Anioła stojącego na szczycie i miecz ognisty, miecz gniewu Bożego, chowającego do pochwy. Od tej godziny ani jeden człowiek nie padł od zarazy, Moles Hadriani lud zaczął nazywać kasztelem Świętego Anioła.

...Od tej pory cud za cudem szły przez wieki całe. Nie sposób wymienić wszystkich. W siedemset lat z górą później, za papiestwa Klemensa VI, pozostającego w Awinionie, Rzym znów nawiedziła zaraza trwająca trzy lata. Dziesiątkowała ludzi, dopóki na rozkaz przysłany przez Ojca Świętego nie obniesiono ponownie Matki Bożej Gregoriańskiej. A któż by zliczył pojedyncze uzdrowienia, waścinemu podobne, modły wysłuchane, fawory specjalne za Jej wstawiennictwem uzyskane! Kosztowne wota, którymi obwieszony jest ołtarz, dowodnie o tym świadczą.

...Oto pokrótce dzieje wizerunku. Zrozumiałeś chyba waść, iż o zabranii go z Rzymu nie może być mowy, natomiast Łaska, jakiej Bóg udzielił kopii pierwowzoru, stanowi rękojmię, że analogiczny cud może się powtórzyć...

— Nie rozumiem...

— Ze względu na cudowne uzdrowienie za instancją wizerunku, ze względu również na waści pobożność, nieco barbarzyńską, ale szczerą, podejmę się uprosić Ojca Świętego, by zlecił któremu z naszych najbogiejszych mistrzów malarzy wykonanie dokładnej kopii...

— Ojciec Święty zgodzi się zatrzymać kopię, oddając mi wizerunek?

Kardynał uderzył pięścią w stół, wyprowadzony z równowagi.

— Nie! Po raz setny powtarzam, że nie! Jakże waść możesz przypuszczać, by na szalone cudzoziemca obligacje Rzym z takowej starożytności, Senat i Lud z tak wielkiego skarbu, Watykan z takiego zaszczytu wyzuc pozwolono, i to za osobistym Ojca Świętego konsensem! Madonna Gregoriańska di Guadelupe w Rzymie od tysiąca lat z górą stoi i wieki jeszcze stać będzie. Żadna moc ludzka stąd Jej nie zabierze! Jedyne, co waść możesz żądać, to kopii, której, tuszę, Ojciec Święty zgodzi się udzielić. Będziesz i tak usatysfakcjonowany ponad miarę.

— Eminencjo! Ludzie nie mogą przewidzieć dróg Bożych. Duch tchnie, kędy chce, a nie gdzie mu nasze chęci wskazują... Skąd pewnoś, że kopia na życzenie Jego Świątobliwości zdziałana otrzyma dary niebieskie oryginałowi przyznane?... Wasza Eminencja sam raczyłeś opowia-

dać że konterfekt Madonny Gregoriańskiej jest owocem żarliwej modlitwy. Powstał ze współpracy dwóch wielkich świętych. Co za dziw zatem, że moc cudowną otrzymał! Wszakże to artysta wyprasza u Boga przychylność dla swojego dzieła. Ono żyje tym, co on w nim Bogu złożył. Nie widzę dziś nikogo, co by to był zdolen uczynić. Będąc poprzednio w Rzymie odwiedziłem pracownię tutejszych mistrzów. Nabyłem nawet niejedyn obraz dla Kodnia. Ależ to całkiem świecka sztuka i targowałem one obrazki, jak gdybym targował konia. Dzisiejsi malarze według tej samej dziewczki malują Najświętszą Pannę i sprośną boginię, z gołym — uczciwszy uszy Waszej Eminencji — zadkiem. Pobok sąsiadują na płótnach pogańskie monstra w gzlach i święci z palmami. Każdy może wybierać, co chce... Tak było lat temu dziesięć... Dziś pono jest jeszcze gorzej...

— Nie możesz waść o tym sądzić. Jestem pewien, że znajdziemy artystę wyróżniającego się prawdziwą pobożnością...

— Daj Boże. Wasza Eminencja raczy jednak przebaczyć moje zuchwałstwo: ja kopii nie chcę...

Kardynał zerwał się z miejsca. Miał dość.

— Z dzieckiem mam rzecz, nie z dojrzałym mężem! — zawołał. — Dzieckiem, które doprasza się gwiazdy z nieba! Bo do czego innego dezyderatów waści porównać nie mogę!

— I gwiazdę można uprosić, jeśli Bóg pozwoli.

— Nie zezwoli bez zgody swego Namiestnika! Nie życzę sobie dłużej mówić z waścią. Zabraniam poruszać ze mną więcej tę sprawę. Zabraniam również niedorzecznymi prośbami atakować Ojca Świętego. Ojciec Święty jest popędliwy i upór waści może zmienić jego życzliwe nastawienie ku całej nacji polskiej z prawdziwą szkodą dla ojczyzny waści...

Spojrzał surowo na wojewodę, który zdał mu się myślami nieobecny.

— Słyszałeś waść, com powiedział? — zapytał ostro.

— Słyszałem — odparł wojewoda — i nikogo więcej moją supliką inkomodować nie będę.

Ucałował, klęcząc, dłoń kardynała padrone i wyszedł krokiem wcale nie zrezygnowanym. Tak się przynajmniej Barberiniemu zdawało. Spojrzał za odchodzącym z mimowolną obawą. Czuł niejasno, że odwłókł tylko kłopotliwą sprawę, nie załatwił jej bynajmniej. Umie chcieć ten uparty Sarmata! Rzadko można spotkać dziś ludzi, pragnących równie gwałtownie czegoś innego niż złota... Bo z pewnością przez petenta nie mówiła chciwość. Przy tym niegłupi, skoro się na kopię nie zgodził...

Francesco Barberini uśmiechnął się mimo woli na myśl o porównaniu któregośkolwiek ze znanych mu obecnych świetnych rzymskich malarzy ze świętym Augustynem.

„Kto chce mocno — snuł dalej swoje rozważania — osiąga zazwyczaj cel upragniony. Kołaczcie, a będzie wam otworzone. Matka Boża wyróżniła tego człowieka w sposób niewątpliwy i niezwykły... Kto wie?...”

Kardynał postanowił w duchu pomówić z Urbanem VIII o prośbie natrętnego gościa i nakłonić go w kierunku przychylnego załatwienia.

Naturalnie, jeśli polski pan okaże, że jego chęć nie jest przelotną zachcianką, i nowy szturm o wizerunek przypuści.

Lecz wojewoda dotrzymał obietnicy i do tego tematu więcej nie powrócił.

## Rozdział dziewiąty

Messer Baptysta Corbino był długoletnim zakrystianem papieskim, a zarazem zapamiętałym graczem. Od lat hołdował demonowi gry. Ten ostatni nie był łaskawy dla swego wyznawcy i za Baptystą wlokła się nieustannie zła karta. Toteż pomimo lukratywnego stanowiska pozostawał w nędzy. Miał gdzieś po świecie dorosłe dzieci, o które się nie troszczył, a one nie troszczyły się również o niego. Pozostała mu tylko żona, stara, wysuszona jędza, która nie szczędziła mu przy każdej sposobności razów, a nie nazywała inaczej jak synem osła i świni, pokurczem diabelskim i hańbą całego miasta. Spokojny z natury Baptysta uciekał od wybuchów żoniny, na które zresztą rzadko się narażał. Służba kościelna i kości pochłaniały jego czas.

Był pobożny, ale miał żal do Madonny i świętych za stały brak szczęścia w grze. Modlił się żarliwie, całował relikwie, ocierał o nie brudne chusty i ręce, po czym szedł do szynku „Pod Zieloną Gwiazdą” pełen nadziei, która zawodziła go zawsze. Ważną rolę w jego życiu odegrał sławny astrolog Lamponi, który potrzebował pewnego razu śliny Urbana VIII dla jakichś podejrzanych praktyk. Baptysta mógł mu jej dostarczyć, gdyż papież tego dnia splunął siarczyście na posadzkę oratorium w stronę znieawidzonego posła carskiego. Astrolog przez wdzięczność postawił mu horoskop. Jak na dłoni okazało się wtedy, że Baptysta oddaje się szlachetnej namiętności hazardu, gdyż narodziny jego wypadły w chwili, gdy Ziemia wchodziła w znak Saturna i Merkurego zarazem. Wytrwałe zaś niepowodzenia spowodowane były nieprzyjawnymi wpływami Skorpiona i Wagi. Zła dola miała zmienić się dopiero, gdy Baptysta rzuci na szalę szczęścia nie mniej niż sto dukatów. Od tej chwili Fortuna będzie biegła w jego ślady i umrze bogatym człowiekiem.

Po tym horoskopie Baptysta, który pił często, upił się z rozpaczą podwójnie. Przez całe życie nie przeszło mu przez ręce sto dukatów, on zaś miałby mieć taką sumę od razu na stawkę? Nie ocierał się już o relikwie, ale zabierał je ze sobą, wyjmując ostrożnie z relikwiarzy i odnosząc rano nieznacznie z powrotem. Stale nosił przy sobie krew świętego Hipolita w ampułce, świętego męczennika Antonina kostkę, świętej Weroniki ząb trzonowy. Prócz tego nosił także wysuszony grzebień czarnego koguta, szczękę nietoperza i skarabeusza wyrżniętego

w karbunkule, który to kamień oddalać miał złe uroki. Wszystko to jednak nie pomagało. Powodzenie było mu stale przeciwnie, choć okręcał się z krzesłem trzy razy, pluł do sufitu i dwoma palcami strząsał urok na podłogę.

Towarzysze spod „Zielonej Gwiazdy” nie chcieli z nim grywać, odkąd nie miał czym płacić, i witali obelżywymi krzykami podobnymi do żoninych. Baptysta stracił zdrowie ze zmartwienia, zżółkł, wysechł i poważnie zaczynał rozmyślać, czy nie lepiej poszukać opieki diabła, skoro wszyscy święci razem pomóc mu nie mogą.

Wiadomość, że go wzywa dostojny pan cudzoziemski, który w kaplicy cudownego uzdrowienia doznał — (Jednemu szydła gołą, drugim brzytwy nie chcą; przyjechał, raz się pomodlił i cud wyprosił, podczas gdy on, Baptysta, od tyłu lat o skraweczek cudu zabiega!) — spadła na zakrystiana niespodziewanie. Pierwszym jego uczuciem był strach. Nie wróżył sobie nic dobrego po tym wezwaniu. Dawnymi czasy wzywali go nieraz panowie cudzoziemscy, żądni dowiedzieć się czegoś z poufnych słów papieża. Ale Baptysta pochłonięty swoim nałogiem nie wiedział nigdy nic. Nie posiadał zmysłu intryg politycznych, w których celowała większość jego ziomeków. Nie miał za obola wyobraźni. Nie potrafił do jednego podsłuchanego słowa dodać dziesięciu i takowych jedenastu drogo sprzedać. Toteż ciekawsi, którzy liczyli, że za jego pomocą chwyć naci sekretnych zamiarów papieża, rozczarowani odprawiali go z niczym, nierzadko z nawiązką szturchańców. Od paru lat nie wzywał go nikt. Miał już ustaloną powszechnie opinię niedorozwiniętego głupca, myślącego jedynie o kościach. Być może, że dlatego właśnie trzymał go Ojciec Święty, zamykając oczy na nałóg swego zakrystiana.

Teraz Baptysta szedł niepewnym krokiem tuż za tęgim kozakiem Demianem, walcząc między ciekawością a chętką zbiegnięcia w którykolwiek z zaułków poprzecznych. Doszli do gospody na ulicy del Popolo położonej. Kozak pchnął go do izby na pół mrocznej, na pół pustej — gdzie Baptysta stanął coraz więcej zdziwiony.

W izbie na stoliku palił się mały kaganek słabo oświetlający wnętrze, a przy kaganku leżał pękaty skórzany mieszek. Jak gdyby zaklęta była w nim dziwna moc, ten mieszek zwrócił przede wszystkim uwagę zakrystiana. Ujrzał go natychmiast, prędzej niż cokolwiek innego — prędzej niż pana Sapię, który, widząc wchodzącego, wstał z ławy i drzwi starannie zarygłował.

Ten worek zawierał niewątpliwie pieniądze... o, tak...

Czuł to i wiedział, jak gdyby obmacywał go już w rękach, słysząc rozkoszny chrzęst i wążąc ciężar w dłoni...

Ten worek był może dla niego...

Czy są w nim srebrne pieniądze, czy złote?... Gdyby złote...

Kolana ugięły się pod zakrystianem.

Jeśli srebrne, mogłoby tam być pięćdziesiąt dukatów... Może sześćdziesiąt dukatów! Jeśli złote...

Ślina zaschła mu w gardle, że słowa nie mógł przemówić.

W izbie panowała cisza tak głęboka, że słycać było przyspieszony oddech Włocha i kołatanie serca wojewody.

— Ty jesteś Baptysta Corbino, zakrystian oratorium Jego Świętobliwości? — przemówił pan Sapieha na koniec.

— Ja, Wasza Łaskawość.

— Możesz oddać mi wielką przysługę, messer Baptysta, dlatego cię tu wzywałem... Przysługę, którą wynagrodzę dobrze.

Oczy obu spoczęły na worku.

— Jestem cały do usług Waszej Łaskawości — wyjąkał Baptysta, nie mogąc wzroku oderwać od stołu.

— Kto ma w nocy klucz od oratorium?

— Ja, Wasza Łaskawość.

— A klucz od drzwi bocznych, z galerii, na plac?

— U mnie także.

— Możesz wejść, kiedy chcesz, do kaplicy?

— Tak jest, Wasza Łaskawość, o każdej porze.

— Zatem słuchaj, messer Baptysta! — Wojewoda zaczerpnął głęboko powietrza. — W ołtarzu jest obraz Madonny... Madonny Gregoriańskiej... wiesz?... rzadko odsłaniany... tylko w święta. Ten obraz jest mi potrzebny.

— Wasza Łaskawość życzy sobie, bym ją zaprowadził do kaplicy?

— Nie... ja chcę... byś mi ten obraz tutaj przyniósł.

— Tu? To niemożliwe, Wasza Łaskawość! Obraz jest oprawiony w ołtarzu...

— Słuchaj. Obraz jest na płótnie. Wytniesz go ostrożnie nożem, tuż przy samej ramie...

— Na święte relikwie! — zakrzyknął Baptysta, cofając się o krok w tył.

— Suknię zdejmiesz i wota... mnie sam obraz... zwiniesz na wałek... przyniesiesz... Sam obraz...

— Na Boga!

— To jedno... tylko to jedno... nic więcej.

— Nie! Wasza Łaskawość, nie!

— Milcz! Ciszej! Nikt nie ma wiedzieć, że tu byłeś... Milcz i słuchaj!

— Nie, nie, nie mogę...

— Nagrodzę cię dobrze...

— Spalą mnie... nie chcę, nie mogę...

— Schowasz się, będziesz bogaty...

— O bogaty!... Ale znajdą mnie... tu mnie znają wszyscy.

— Obraz nie będzie odsłonięty aż za dwie niedziele, wiem dobrze... Zdązysz się ukryć...

— Wszystko jedno, Wasza Łaskawość, nie mogę!

— Więc otwórz bramę, zapomnij klucza, sam wezmę...

— Nie, Wasza Łaskawość, nie! To niemożliwe!

— Dam ci złota, ile zechcesz.

— Boję się...



— Dam ci dużo złota...

— Boję się...

— Dam ci sto dukatów.

— Sto dukatów! Wasza Łaskawość, ja się narażam na śmierć.

— Dam ci dwieście.

— Wasza Łaskawość, nie mogę!... spalać... Chyba że mnie weźmiecie ze sobą... Wasza Łaskawość, trzysta dukatów i miejsce na waszym dworze...

— Dam ci trzysta dukatów i miejsce na moim dworze. Chodź do światła!... W tym worku jest więcej niż trzysta dukatów...

Wojewoda rozsunął z lekka sznurki worek zaciągające i błysnął migotliwym złotem. Baptysta pobladł jak ściana. Zaciskając szczękające zęby, wysunął kurczowo rękę.

— Przyniesź wprzód obraz! — syknął wojewoda.

— Słucham, Wasza Łaskawość... przyniosę.

— Masz zadatek! — rzucił mu kilka dukatów. — Kiedy przyniesiesz?

— Jutro, to jest — dziś o świcie...

— O świcie dostaniesz to i jeszcze więcej. Zastukasz w to okno... Ja spać nie będę. Obraz wezmę, pieniądze dam.

— Słucham, Wasza Łaskawość... I pojedę?

— Pojedziesz. Ale uważaj no, messer Baptysta. Jutro załatwiwszy się z tobą pojedę do Castel Gandolfo na łowy z Jego Świątobliwością, na trzy dni, dla niepoznaki... Dziś jest poniedziałek. W piątek wieczorem wrócę do gospody, a w sobotę zapewne wyjadę. Tedy w nocy z piątku na sobotę możesz się tu zgłosić. Wcześniej do gospody nie zachodź, ludziom moim na oczy się nie nawijaj, by podejrzeń nie było...

— Słusznie, Wasza Wysokość. Do nóg się ścielę Waszej Łaskawości. Bogu polecam Waszą Dostojność...

— Idź, gadzie obrzydły! — mruknął wojewoda po polsku.

— A któredy mam wyjść, Wasza Łaskawość?

— Tędy — ręką wskazał okno. — A przed świtem czekam.

Baptysta zgiał się do ziemi, chciwym wejrzeniem ogarnął jeszcze raz worek i znikł w ciemnościach jak widmo.

Pan Sapieha drzwi otworzył.

— Światła! — zawołał. — Czy jest imé Hornowski?

— Jestem, Wasza Dostojność.

— Pójdź tu, wasze... A, jest ksiądz kanonik... Proszę bardzo... Panie Hornowski, mówiłem wczoraj, by wszystko było do wyjazdu gotowe.

— Jest gotowe, Wasza Dostojność.

— Wozy nasmarowane?

— Tak jest, Wasza Dostojność, nasmarowane. Łuby spakowane. Na dwa koła u wozu Matfieja, które mi się nieco wydały sfatygowane, nałożone są nowe obody. Kasztan spod Hawryły Dubacza, który był odsepniony, już zdrow. Dla pewności dam go do wozu, zaś Hawryło pojedzie na lewym szpaku z pary Onysiuka. Grudy ni żadnego defektu na zdrowiu konie nie mają: podkute są dziś wszystkie.

- Ale na ostro, waszeć? Na ostro?
- Tak jest, na ostro, Wasza Dostojność.
- Tedy o świcie dobrze konie wyobroczyć, ludziom śniadanie i wódki... Gdy tylko rozednieje, ruszamy... Dobranoc. Możesz waść iść spocząć.
- Wasza Dostojność raczy wybaczyć mą śmiałość... Dokąd ruszamy?
- Do Castel Gandolfo, rezydencji Jego Świątobliwości, na łowy. Możesz to waszeć powiedzieć w gospodzie i służbie; w piątek wieczorem wracamy do Rzymu... Teraz zaś słuchaj, panie Hornowski. Jesteś waść roztropny i oddany człowiek, tedy ci rzeknę jednemu, pod najtajniejszą dyskresją: jedziemy jutro z powrotem do kraju...
- Z powrotem, Wasza Dostojność?... Do Kodnia?
- Zamilknij i uważaj. Mówię to tobie jednemu! Dla wszystkich do Castel Gandolfo... Gardłowa to sprawa, pamiętaj!
- Tedy już?... — szepnął poblady kanonik, gdy dworzanin, skłoniwszy się głęboko, wyszedł.
- Już! Już! — odparł pan Sapieha, przechadzając się szybko po izbie. — Dziś przed świtem Baptysta zastuka w to okno i odda mi Matkę Bożą w zamian za ten mieszek...
- Straszne rzeczy! — jęknął ksiądz.
- Straszne, zaiste! Dla tych marnych trzystu dukatów.
- Nie baźże się ten nędznik odpowiedzialności, kary?
- Obiecałem mu, że pojedzie z nami.
- Przysłał prędko?
- Pan Sapieha machnął ręką.
- Znasz wszak, księżu, rymy franciszkańskiego braciszka:

Nie trzeba tam wymowy żadnej Cycerona,  
Gdzie perorę zaczyna potężna Mamona!

Sam widok tego worka wystarczył — aż mnie obrzydliwość zdjęła. Powiem ci, księżu, że dłuższy by o konia, muła, owszem, o osła był targ niżli o skarb tak nieoszacowany, od tyłu wieków walor mający!

— Straszne, niebywałe rzeczy...

Kanonik Boćkowski zgarbił się na krześle, pocziwymi zatroskanymi oczyma wodząc za wojewodą.

— Boże wielki! — szepnął po chwili. — Mniejsza o tego sprzedawcę... ale co Wasza Dostojność robisz? Toż to grzech! Straszliwy grzech!

— Grzech — powtórzył spokojnie pan Sapieha.

— Świątokradztwo... symonia... obraza papieskiego majestatu, grzech śmiertelny, odpuszczenia nie mający...

— Tak jest, grzech śmiertelny — powtórzył pan Sapieha.

— Wasza Dostojność! Na miłosierdzie Boga! Jeszcze czas! Dogonię Włocha! Jeszcze nie spełniona zbrodnia, jeszcze można cofnąć; ja zatrzymam...

— Ja zaś mówię ci, księżu, że z tej izby nie wyjdiesz. I powiem ci więcej. Gdyby sam Lucyfer w tej chwili stanął przede mną i powie-

dział, iż za ten postępek potępiony będę, jeszcze bym się od tego nie cofnął.

— Jezus Maryja! — jęknął kanonik, żegnając się z trwogą.

Ale wojewoda nie zwracał już nań uwagi. Otworzył okno i zapatrzył się w gwiazdziste niebo.

— Ej, Kodniu mój, Kodniu! — zawołał z tęsknotą. — Zali wiesz, jakie szczęście rychło ciebie spotka?!

I łzy stanęły mu w oczach.

Perłowy świt ledwie rozpędził mrok nocy; świat wyglądał niby mleczna bania ze szkła czarodziejskiego z Murano, przesiewająca tęczowe blaski przez matową białość. Wśród mgły porannej i nalotu srebrzystego rosy ludzie ruszali się cicho i miękko jak widma. Powietrze było rzeźwe, lecz dzień zapowiadał się gorący.

Mimo wczesnego ranka tabor wojewody był już gotowy do drogi. Pachołkowie kręcili się jeszcze przy wozach, układając łuby i dociągając sznury. Wielka karoca poszóstna, przednią skórą wyłożona i pokryta, pozostać miała w gospodzie, gdyż pan Sapieha nie chciał brać ze sobą na łowy sprzętu wymagającego szerokich dróg. Piękna szóstka bułanych szła przyczepiona luzem za wozami.

Z zalem spoglądał pan Hornowski na karocę, na wielki kocioł miedziany i dwie beczki z winem, których również do Castel Gandolfo nie chciał wojewoda po próznicy wozić. Stroskany kanonik zajął już miejsce na swej wielkiej bryce i milcząc przesuwiał różaniec. Od stajni szedł przez hajduków prowadzony Casus Belli pod prózną, wygodną kulbaką. Parsknął radośnie na widok pana stojącego we drzwiach gospody. Pan odwzajemnił się czułą pieśczołą. Przyglądając się rumakowi, stwierdził z radością jego doskonałą urodę, ród dostojny, znaki szczególne zwane palcami Mahometa, znamionujące męstwo, ścigłość i wierność.

— Godnyś nieść — szepnął, gładząc jedwabistą grzywę.

Cofnął się w głąb izby i wyniósł z niej niewielką tuleję, półtrzecia łokcia długą, nie więcej niż sześć cali szeroką, w miękką skórę oszytą. Drżącymi rękoma przytroczył ją do łęku. Ogier wachał jego dłoń i twarz, po czym rozparłszy się szeroko zarżał donośnie, przeciągle.

— Dobry znak — ucieszył się imć Hornowski, szczególnie że reszta koni zaczęła również parskać i rzeć. Hajducy klepali je po szyjach, powtarzając: — Zdrowe! zdrowe! Łoś, loś!...

— W drogę! — krzyknął wojewoda i skoczył na siodło, zanim pachołek zdążył mu podtrzymać strzemię.

Pan Sapieha obejrzał się z góry na opuszczony przed godziną Rzym, wynurzający swe wieże z białych odmetów porannej mgły, i ruszył stępa przed taborem, sunącym kamienistym gościńcem przez szare winnice.

Mimo zbrodni popełnionej nie czuł w sobie skruchy ni strachu. Chwilami, na myśl, jaka świętość spoczywa u jego łęku, ogarniały go lęk i podziw zbożny tak wielce, że pragnął odkryć głowę, zejść z konia

i prowadzić go ze czcią za wodze. To znów ogarniało go wesele i radość, że rad by śpiewał, hukał i koniem toczył jak gołowąs. Mitygując tę pustotę, przypominał sobie, że niedawno jechał tym samym gościńcem chory, martwemu ściervu podobny, do niczego niezdatny. Prężąc odrodzone mięśnie, czując w żyłach wartki bieg gorącej krwi, dziękował Bogu za łaskę cudu i znowu rad by zejść z konia, by na kolanach niewysłowioną dobroć Pana wielbić. Oj... będę teraz pracował dla chwały Bożej, oj, będę — powiadał sobie i rwał się zawczasu do służby Kościołowi i ojczyźnie. Uprzytamniał sobie również, że nie tylko ciało jego ozdrowiało, lecz dusza się w nim rozrosła, i że to drugie było jeszcze cenniejsze niż pierwsze. Przez głowę przelatowały mu myśli, serce rozpierały uczucia, jakich poprzednio nigdy nie doznawał. Zapragnął wymienić z kimś te wrażenia i wstrzymał lekko konia, aż zrównała się z nim bryka, na której markotny i zbiedzony jechał kanonik Boćkowski.

— Piękny dzień! — zawołał doń wesoło wojewoda.

Kanonik westchnął i potrząsnął głową przecząco.

— Piękny dzień — powtórzył pan Sapieha niezrażony. — Świętego Władysława króla... Za dziesięć niedziel, na Siewną, powinniśmy już być w Kodniu...

Kanonik stęknął i westchnął ponownie.

— Niezbyt dziś, Wasza Wielobność, skłonnyś do rozmowy...

— Nie dziwota — wybuchnął ksiądz nagle — żem daleki od chęci rozmowy! Całą nockę na moment oka nie zmrużyłem. Wasza Dostojność myślisz o tym, jako na Siewną będziesz wjeżdżał do Kodnia, ja zaś jadę jak złodziej, oglądając się jeno za siebie, rychło nas zbiry ułapią. Niech tylko jaki wóz zaklekota z tyłu, już mnie ciarki przechodzą. Dogonia nas niezawodnie! Taka zbrodnia się nie ukryje, cała Italia się przeciw nam podniesie! Niesłychana to rzecz, by cudzoziemiec takową świętość uwoził! Co za hańba, co za damnifikacja niebywała! Myśleć o tym, dalibóg, nie mogę...

Ale wojewoda roześmiał się beztrósco.

— Uspokój się, ojczy kochany, a o pościgu nawet nie myśl. Jego Świątobliwość wyjechał na łowy, a choćby i był w Rzymie, obraz nie będzie odsłoniony aż za dwie niedziele, na dzień świętego Piusa I, papieża. Wiem to na pewno. Tedy nie ma żadnej obawy, żeby nasz rapt wcześniej spostrzeżono. Pewnikiem skoczą wszyscy w pogoń, ale gdzie my za dwie niedziele będziemy! Nie lękaj się, księżo. Nie dościgną nas ich muły i ciężkie kardynalskie podjezdki. Kodeńskie konie są dobre. Umyślniem zresztą kolasę i wszelki ciężar niepotrzebny zostawił, by w drodze nie był zawadą.

— Daj Boże — rzekł ksiądz. — Ale gdzież to ten Włoch przeklęty?

— Który Włoch? Baptysta? W Rzymie.

— Wasza Dostojność mówiłeś, że ma jechać z nami.

— Obiecałem mu tak istotnie, ale powiedziałem, że wyjeżdżamy dopiero w sobotę. W nocy z piątku na sobotę będzie nas szukać w gospodzie.

— O Boże! — zakrzyknął ksiądz. — Jak Wasza Dostojność mogłeś to uczynić?! Toćże tego człowieka pochwyca i spala...

— A niech go spala — odparł obojętnie pan Sapieha. — Miałem to wozić ze sobą sprzedawczyka, gada?

— Wasza Dostojność! — rzekł ksiądz surowo, unosząc się z abominacją na siedzeniu. — Sameś go do tego namówił, pieniądze dał!

— Moja rzecz było dawać, jego nie brać. Pierwszy bym go na pal wbił, takiego psubrata... Amo proditionem, odi proditor e m... Imaginuj sobie, księżę, zali podobna rzecz byłaby w naszym narodzie możliwa...

A gdy kanonik głową trząśł i w rozżaleniu odezwać się nie chciał, pan Sapieha dodał:

— Nie frasuj się księżę, bo straszne to winy, ale moje, nie twoje — i nie waść będziesz za nie przed Trybunałem Pańskim odpowiadał. Myśl lepiej, jako Madonnę Gregoriańską wprowadzać będziemy do Kodnia... Umieścimy Ją w głównym ołtarzu, gdzie zaś podziejemy świętego Miłkołaja wizerunek, który tam jest?

Zadumał się ksiądz kanonik Boćkowski nad tą kwestią i pograżył się w dyspozycji obrazów tak głęboko, że nie zauważył nawet, kiedy tabor przystanął na pierwszy popas w Bracciano.

Słońce dopiekało silnie, ale od wielkiego jeziora zawiewał chłodny wiatr. Na skalistym wzgórzu stał stary zamek Orsinich, a poniżej, w cieniastej oberży, przystanął wojewodziński tabor na spoczynek. Rozkiełznane konie chrupały owies, pan Sapieha z dworzany i kanonikiem zasiedli pod wystającym okapem domostwa. Przed nimi leżało jezioro, krzyczały białe jak srebro rybitwy. Dwaj kupcy z Florencji, jeden magister i paru mulników siedziało w izbie, popijając cienkie wino i spoglądając ciekawie na cudzoziemski poczet.

Południowa cisza leżała nad senną Kampanią, kiedy nowi wędrowcy weszli do obejścia gospody. Przodem szedł młody braciszek dominikańskiego zakonu, lśniący w słońcu białym habitem; za nim sześciu roślących ludzi wiodło jakiś stwór nieszczęsny, skrępowany powrozami. Pługawa odzież, wygnojona i podarta, zwisała w łachmanach z grzbietu. Twarz nędzarza była oblepiona krwią i błotem, oczy patrzyły bezmyślnie przed siebie.

Ludzie ślaniali się na nogach z wyczerpania.

— Kiej cudak! — zauważył pan Sapieha. — Poczęstuj no, księżę, winem tego fratra, a rozpytaj, po co to monstrum prowadzą.

Znużony braciszek chętnie wino wypił, przysiadłszy na brzeżku ławy.

— Możecie go rozwiązać — zwrócił się do ludzi — niech spocznie. Miotać się nie będzie, bo nie masz tu kościoła ni krzyża w pobliżu.

— Opętany? — zapytał kanonik.

— Tak jest, opętany, i nieszczęsna to chwila, kiedy ojciec Damazy, wielebny nasz przeor, do Rzymu mi go kazał odprowadzić. Demon

w nim siedzi tak mocny, że żadnych egzorcyzmów się nie lęka. Wierzymy, że w Rzymie dadzą mu radę — zali jednak ten nieszczęśnik żyw dojdzie?... Ciężką mamy drogę, bo w pobliżu każdego kościoła rzucają nim biesy, że utrzymać nie możemy. Spójrzcie, Wasze Dostojności, jako jest pokaleczony: sam tak drze na sobie ciało i o kamienie się ciska. Dziw, że sobie dotąd głowy nie rozłupał. Wiedziemy go z samej Imoli i Bóg świadkiem, że już sił nam braknie.

— Do Rzymu jeszcze dobre cztery mile, nie zajdziecie dzisiaj — zauważył wojewoda.

— Owszem, będziemy szli nocą, byle dojść w końcu. Odprowadzimy go do Świętej Sabiny, a tam niech już najprzewielebniejszy ojciec generalny wojuje z nim, jako chce.

Nagły przeraźliwy krzyk przerwał rozmowę. Spokojny dotychczas opętany wił się po ziemi w okropnych drgawkach, wydając nieludzkie pokrzyki.

Twarz stała się czarnosina, oczy wyszły na wierzch, z ust płynęła piana i bezładne, bluźniercze wyrazy. Część ludzi uciekła w popłochu do domu, zawierając mocno drzwi i kreśląc na nich szybko znaki krzyża, reszta stała w osłupieniu. Błady zakonnik modlił się żarliwie, kłęcząc, a nędzne, opętane ciało skręcało się coraz gwałtowniej.

Naraz wichur potężny wstrząsnął gospodą, aż wszystkie drzwi domostwa stanęły otworem. Butelki i szklance waliły się z brzękiem na ziemię, krzesła tańczyły i trzeszczały ławy. Tuman rudawego pyłu podniósł się z drogi i pognał. Ujrzano, jak wody jeziora wzburzyły się nagle i wzduły, jakby zaczepiło o nie niewidzialne skrzydło. Fale porwały się szumiąc i biegły gdzieś ku środkowi. Piętrzyły się poprzewracane krzesła, ciemniało rozlane wino.

Spojrzeli wszyscy na opętanego: leżał spokojny, dysząc i powietrze chwytając jak ryba. Wleli mu wina do ust; otworzył oczy i uśmiechnął się łagodnie.

— In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti — wyciągnął rękę zakonnik patrząc podejrzliwie.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — powtórzył nędzarz, kreśląc znak święty na sobie.

— Boga wyznaje! Słyszycie?! — podniosły się głosy.

— Chrześcijanin jestem, jako i wy, bracia.

— Nie może to być! Opętany jesteś! Pół pacierza minęło, jak szatan tobą ciskał... Dopuszczaj ci on krzyża? — posypały się pytania.

Błady zakonnik podszedł, oczy mu pałały.

— Ciało nędzne grzesznika! — zawołał gromko. — Ciało z błota ulepione, przez Chrystusa odkupione, na chrzcie świętym oczyszczone, przez szatana zaś splugawione: słuchaj mnie i odpowiadaj! Chwaliszże Boga w Trójcy Jedynego, Jezusa Chrystusa, Pana naszego Zbawiciela i Najświętszą Dziewicę Maryję, Matkę Jego?

— Chwałę Boga Wszechmogącego, Syna Jego Jedynego i Maryję,

Pannę Najświętszą, za której miłosierną sprawą opuścił mnie szatan co ino — odparł opętany powoli.

Pot zimny zrosił mu czoło, legł znowu, oczy przymknąwszy. Naokoło wszczął się gwar. Florency kupcy patrzyli na uzdrowionego z podziwem, magister z niedowierzaniem, a gospodarz, który z żoną i dziećmi skrył się do piwnicy przed nadejściem szatana, wysunął rozczochraną głowę.

— Wyjdź, messer Antonio! Możesz wyjść śmieie, nie ma już demona! — wołano.

— Opuścił go, gdy wicher się zerwał...

— Widzieliście, jak przez wodę uciekał?

— Przed czym zbieżał? — spytał nieufnie gospodarz, rozglądając się wkoło ostrożnie.

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć. Jedni sądzili że cud sprawiła sama bliskość Rzymu, inni, że egzorcyzmy przeora z Imoli, które ściagały demona nie dając mu spocząć. Dominikanin milczał zadumany. Tymczasem chory niepostrzeżenie dźwignął się na nogi, a podszedłszy kilka kroków, gdzie stał Casus Belli, ukląkł przed koniem, modląc się i płacząc.

— Na Boga! Patrzcie, on jeszcze szalony! — krzyknęli niektórzy.

Ale panu Sapieże włosy stanęły na głowie. Zrozumiał nagle, czemu uciekł szatan i do kogo teraz ów człek nieszczęsny się modlił...

— Wybaczcie mą śmiałość, Dostojny Panie — rzekł braciszek podchodząc do wojewody. — Byliście wraz z nami świadkami cudu, pomóżcie mi go pojąć. Jaka siła przegnała szatana, na którego od dwu miesięcy nie pomagały żadne egzorcyzmy ni modlitwy? Pytałem tych panów kupców, czy jakich świętości przy sobie nie mają, ale oni handlują tylko sukniem i skórą. Może tedy wy je posiadacie? Jadąc z Rzymu, wiezicie pewno jakoweś relikwie?

Ciemny rumieniec oblał twarz pana Sapiehy.

— Nie mylisz się, bracie — odparł — że świętości wiozę z sobą, i to znaczne. Niewątpliwie one to, a nie co innego, przegnały swą mocą szatana. Pokazać ci ich jednak nie mogę, gdyż pielgrzymem jestem i ślub uczyniłem, że ni nazwiska mego nie wyjawię nikomu, ni świętości cennych nie ukazę, aż stanę na miejscu, gdzie je złożyć zamyśliłem.

Zakonnik schylił nisko głowę na znak, że ślub szanuje, choć dziwaczny, i pytaniami nalegać nie będzie.

— Konie tam kielznać! Ruszamy! — krzyknął wojewoda. A zwracając się do braciszka, zapytał niedbale: — Cóż zamierzasz teraz uczynić, frater?

— Gdy chory odpocznie, wykąpiemy go, ochędożymy, a nocą, chłodem, dojdziemy do Rzymu.

— Do Rzymu? Po co? Skoroście już łaski dostąpili, a cel osiągnęli... Lepiej wam nie mieszkając wracać do Imoli.

— O nie! — zaprzeczył gorąco zakonnik. — Do Rzymu nam trzeba co prędzej. Bogu dziękować, wiadomość o tak wielkim cudzie zanieść.

Niezmierna to będzie radość dla najprzewielebniejszego ojca generalnego. Nie spocznę, aż mu tę nowinę zaniosę.

Bodajżeś drogę pomylił — westchnął w myśli wojewoda.

Że zaś właśnie pachołcy prowadzili konie, a tabor gotowy czekał tylko na znak pana, pożegnał skinieniem głowy zakonnika i wskoczywszy na siodło, ruszył stępą przed wozami.

— Wasza Dostojność — rzekł Hornowski podjeżdżając — na jeziorze pełno ryb śniętych pływa po wierzchu tylko brzuchy im bieleją. Byłem, gdy poili konie, i aż dziw mnie zdjął.

— Bo szatan wygnany pomścił swój gniew na niewinnych stworzeniach Bożych, jako nieraz bywa — odparł wojewoda. — Uważaj, waszeć, czy wszystko w porządku, bo zaraz za miastem pojedziemy w skok.

Rudawy tuman przysłaniał orszak ginący. Dominikanin stał we drzwiach gospody, patrząc za nim z ciekawością...

— Stój! Gdzie idziesz? — krzyknął nagle, bo człowiek uleczony z opętania szedł drogą, zapatrzony w odjeżdżających.

— Odchodzi już, odchodzi... — odparł z żalem, zwracając na zakonnika oczy pełne łez.

— Kto odchodzi? Coś widział? Mów! — rzekł tenże rozkazująco.

— Jasność... wielka jasność... w jasności Matka Boża...

— Sancte Deus mirabilis! Matkę Bożą zobaczyłeś?! Jak wyglądała? Powiadaj!

— Jasność... wielka jasność... widać ją jeszcze, wciąż widać...

— Gdzie?! Pokaż! — drżał w uniesieniu zakonnik, wypatrując oczy.

— Tam na przedzie... patrz, ojcze... błyszczą jako gwiazda...

Ale dominikanin nie widział nic prócz złotawego tumanu znikającego w oddali.

## Rozdział dziesiąty

Gdy na rozkaz kardynała padrone podniesiono złotą zasłonę, ujawniając w miejsce obrazu Madonny martwą, szarą ścianę, w oratorium zaległo milczenie. Słyszeć było tylko szybkie oddechy, krótkie, spazmatyczne łkania i chrzęst palców wyłamywanych z wściekłością. Dopiero po długiej chwili buchnął tumult głosów. Łagodny kardynał Rospigliosi płakał, kardynał Gasparo Borgia trząsał w górze rękami, przeklinając zbrodniarza, marszałek Gaetani ryczał schrypłym głosem, by choć spod ziemi wydostano i przywiedziono Baptystę. Młody kapitan Carlo Magalotti wyjął miecz i przysiągł na jego głowicę, że nie spocznie, aż świętokradcę dosięgnie i zbrodnię pomści. Tylko Francesco Barberini milczał. Obejmując oburącz siwiejącą głowę, prosił Boga o śmierć. Nie mówił nic, bo cóż by mógł rzec? Nikt nie był tyle winny nieszczęściu,



co on. Był winniejszy niżli ten nędzny zakrystian, którego pewno skuszono pieniędzmi!

Wszak jemu, nie komu innemu, zwierzył się ów straszny Polak ze swej nieposkromionej żądzы posiadania cudownego obrazu. Jemu, nie komu innemu, mówił otwarcie, że nie powróci do swojej ojczyzny sam... Jego objaśniali legaci, że dla Polaków nie ma nic niepodobnego i że gotowi się ważyć na czyny, na które nikt się nie waży... On zaś, kardynał padrone, prawa ręka Ojca Świętego, cóż uczynił? Zabronił barbarzyńcy prosić o obraz. Palatyn usłuchał i nie nagabywał więcej nikogo...

Co powie Ojciec Święty, dotąd nieobecny?

Na samą myśl o gniewie „szalonego Mattea”, jak nazywano w rodzinie Urbana VIII, kardynał poczuł, że opuszczają go siły. Zapragnął ponownie śmierci z taką siłą, z jaką ogół ludzi pragnie żyć. Pozazdrościł chłodnego spokoju śpiącym w podziemiach kardynałom poprzednikom. Przejął go żal i gniew na człowieka, którego przyjął jak syna, który tu zdrowie odzyskał, a potem tak haniebnie podszedł i ukrzywdził. Nagle błysnęło mu w głowie, że gdyby nie dominikanie i opętany z Imoli, zbrodnia nie stałaby się jawna aż za dziesięć dni, przy celebracji święta papieża Piusa I. Daremna wówczas nadzieja dognania! Uzdrawienie owo zatem było łaskawym znakiem Madonny. Należało tylko działać szybko i rozumnie.

Francesco Barberini otrząsnął się z rozpaczы. Podniósł głowę, opanowanym głosem zaczął wydawać rozkazy.

— Zbrodniarz z italskich granic nie wyjedzie!... — zaręczył. — Madonna do oratorium powróci!

— Powróci! — odkrzyknięto chórem jak przysięgę.

Baptystę ujęto już nazajutrz. Wprawdzie na wieść o wyjeździe palatyna i odkryciu świętokradztwa uciekł ze swego mieszkania na przedmieście, gdzie mógłby siedzieć spokojnie długi czas, zanimby go straż miejska wytropiła. Niestety, zgubiły go nałóg i złoto. Nie mógł się wstrzymać od gry, a innej stawki niż dukata nie posiadał. Złoto rzucone na stół było równoznaczne z przyznaniem się do winy, o której wiedziano już wszędzie. Tegoż samego odwieczera wiarołomny zakrystian znalazł się w więzieniu.

Na męki go nie ciągniono, bo, na widok straszliwej ławy przyznał się do wszystkiego, opowiedział wszystko. Skazany został na spalenie i wyrok miał być wykonany następnego dnia. Tymczasem siedział w ciemnicy targany rozpaczą, nienawiścią, lękiem. Nienawiść do bezpośredniego sprawcy jego nieszczęścia obejmowała razem z nim cały świat panów, możnych władczy, bezkarnie czyniących, co chcą. Oni wiecznie krzywdzą chudych nieboraków, głodujących, niedosytych, oni wydają ich na męki, oni po nich depczą... Polski palatyn jest winien Baptystowej niedoli, on i nikt więcej... Kusił — skusił... Oby nigdy z piekła nie wyrzał! On zawinił... Zawinił i uciekł, a Baptystę spalał... Wyobrażał sobie

zawczasu ogień. Tyle razy patrzył, jak palono heretyków. Z tym lub owym kumem spod „Zielonej Gwiazdy” stali w pierwszych rzędach widzów, przyglądając się i żartując z krzyków skazańców, z ich bezsilnych podrygów, gdy ogień dosięgał ciała. Nigdy, nigdy nie przyszło mu wówczas do głowy, że mógłby być na ich miejscu. Teraz, przeżywając naprzód przyszłą mękę, począł krzyczeć z trwogi. Zwabiony wrzaskiem nadbiegł dozorca Antonio, stary znajomy.

— Czego się drzesz? Już cię czarci biorą?

— Antonio! Wypuść mnie! Wypuść mnie!

— Wypuszczę cię jutro, wiesz?

— Szatanie, zdrajco, łotrze! Wypuść, mówię ci! Nie odchodź, Antonio! Już nie będę!... Ja cię proszę! Jesteś przyjacielem. Ty nie pozwoliłeś mi spalić! Chcesz, zagraj ze mną... Jeśli wygram — puścisz mnie...

— A co będzie, jak ja wygram? Złoto ci zabrali.

— Nieprawda... Połowę schowałem... Oddam...

— Myślisz, że mi pilno być spalonym zamiast ciebie?

— Antonio! Braciszku! Ulitujże się!

— Mogłeś tego nie robić. Nikt ci nie kazał... Dziecko jesteś?

— Pokazał mi tyle złota... Jakże mogłem wytrzymać... I ty byś nie wytrzymał... Ciężkie złoto...

Antonio przełknął ślinę, ale potrząsnął kluczami obojętnie.

— Słuchaj — szepnął gorączkowo Baptysta jak w natchnieniu — powiadam ci, że tylko połowę zabrali... Resztę wcześniej schowałem... Wszystko ci oddam... Będiesz bardzo bogaty... Uciekajmy razem...

— Łcesz, nie schowałeś.

— Na zbawienie duszy klnę się...

— Tanio cenisz swoje zbawienie, kumotrze. Może dlatego, że się go już nie spodziewasz...

— Nie łzę, dlaczego nie wierzysz?

— Dlatego, że byś to wcześniej powiedział — dlatego, że jesteś na to za głupi. Dlatego, że widziałem worek, był pełniuteńki. Nie oszukasz mnie, stary.

Baptysta upadł na tapczan.

— Zagraj ze mną!... — błagał jeszcze, szlochając.

— Nie masz o co grać.

Rzeczywiście nie miał o co. Baptysta nie posiadał nic, nic. Nawet życia. Było ono już w ręku sędziów i kata. Posiadał tylko swoje nędzne ciało nikomu niepotrzebne i przed sobą straszną śmierć. Na widok jego łez Antonio poczuł litość.

— Pomówię z mistrzem — obiecał — żebyś się długo nie męczył. On potrafi jeśli chce, tak przyrzucić drwa, że polanem gruchnie cię w łeb i zamroczy... Nie poczujesz nic... Sam widziałem, jak to robił, kiedy mu rodzina zapłaciła... Poproszę go i tobie zrobi za darmo...

— Bóg zapłać i za to.

Antonio wyszedł, Baptysta pozostał znów sam. Sam na ostatnią noc. Czuł się lichy jak robak, opuszczony od wszystkich. Był lepki od potu,

tchu mu brakło w piersiach. Na wieży zegar wybijał godziny. Między jedną godziną, a drugą leżały wieki udreki. Nie było przy nim nikogo. Nie miał przyjaciela. Nie chciał być teraz w te przedśmiertne chwile sam, a był sam. Nikt o niego nie dbał, nikt. Ażeby wszystkich wytraciła zaraza, mór, ażeby ich pochłonęło piekło! Wszystkich! Ojca Świętego, polskiego palatyna, panów, żonę, co się o niego nawet nie zatroszczyła, cały świat... O, będzie się na nich mścił, będzie ich straszył! Wróci upiorem po śmierci i będzie ich prześladował. Odnajdzie choćby pod ziemią wszystkich, którzy go skrzywdzili, i nie zazną spokoju.

Przelotna ulga, jaką myśl o zemście przyniosła, posiadała krótką metę. Rozpaczliwy strach powrócił. Będzie się mścił kiedyś, tymczasem jutro spalony zostanie, on, Baptysta; krzywdziciele pozostaną żywi. Poczul tęsknotę za duszą życzliwą, co by się nad jego dolą uzaliła. — O, mamma mia! — zawołał. Nie wiedział, skąd mu przyszło na usta to dziecinne zawołanie, ani kogo w ten sposób przyzywał. Jego własna matka, Ginewra, dawno umarła. Zresztą była to pijaczka, od której tylko szturchańce otrzymywał, a za to, gdy postarzała, on ją bił, gdyż wykradała pieniądze na wino. Jakiej matki wzywał, nie wiedział, a jednak powtarzał: mamma mia!

Choć nikt nie przyszedł, myśli jego wzięły inny obrót i to już było wytchnieniem. W uszach zabrzmiały nie zauważone poprzednio słowa Antonia: „Mogłeś tego nie robić... Nikt ci nie kazał...” Ano, rzeczywiście, rzeczywiście. Nie był dzieckiem, wiedział, na co się porywa... Palatyn obiecywał mu, że go zabierze ze sobą, ale nie obiecał mu wcale, że go uchroni od kary piekielnej... Jakże zatem mógł się na swój czyn odważyć? Judasz... Judasz... Tamten sprzedał Syna, on — Matkę... Co za szatan go opętał, gdy otworzył drzwi i płótno ciął wzdłuż ramy? Oj, nie palatyn był winien, ale on sam! Miejsce poprzedniej wściekłości i poczucia krzywdy zajęła świadomość winy. Padł na kolana i płakał znowu, lecz były to inne łzy. Zbrodnia jego stała przed nim, drżał przed swoim czynem. Oskarżał dotąd innych, lecz cóż go obchodzą inni? Zgrzeszył on sam... Palatyn podsunął mu złoto... Cóż z tego? Trzeba było plunąć na złoto... Nie zabiera się złota ze sobą do grobu. Lepiej było nigdy w życiu złota nie oglądać niż Najświętszą Panię obrazić... O Mamma mia! — zawołał znowu, tym razem wiedząc, do kogo się zwraca, lecz urwał przejęty wstydem. Jak śmiał Ją wzywać?! Każdy grzesznik, łotr i zbrodniarz może to uczynić, ale nie on, stróż niewierny, co Ją sprzedał i ukraść pozwolił...

Zdało się Baptyście, że ziemia osuwa mu się spod stóp, jakby z obrzydzeniem, strącając świętokradcę w dół. Ściana izby zwinęła się, uniosła niby zasłona w theatrum, ukazując lunę ognia płonącego kędyś w dole. To nie był stos, bo stos jest wysoki, lecz grzesznik pojął, że ogień ten czeka na niego. W porównaniu z posępną czerwienią otchłannego żaru smolne szczapy układane przez pomocników katowskich, migotliwe płomienie płaszące w słońcu wydawały się niestraszne, niegodne uwagi. Ogień, ogień... Baptysta już zawisa nad nim. Nic go nie zatrzyma. Nie

ma ratunku dla potępionego, nie ma przebaczenia, nie ma rozgrzeszenia... I zdjęty trwogą straszliwą, okropną, nędzny grzesznik woła:

— Matko! Miłosierdzia!

Czyż obecność wypełnia loch więzienny? Czyj płaszcz przesłonił zięjącą czeluść łagodnym błękitem?

Kto podał dłoń struchlałemu?...

— Matko!... Matko!... Matko!...

## Rozdział jedenasty

Ojciec Święty Urban VIII nie spał również tej nocy. Cios był okrutny. Tylko żelazne zdrowie, kilkakrotne puszczanie krwi, a przede wszystkim nadzieja, że zbrodniarz zostanie ujęty, nie dopuściły do poważnej choroby papieża. Wszystkie jego myśli i słowa zajęte były kradzieżą obrazu. Miotał gromy oburzenia na zuchwałę plemię polskie i na niecnego rabusia. Tak go podejść! Za tyle łaskowości, za kilkakrotne audyencje, za przywrócenie zdrowia... Zbój, łotr, potępieniec! Dlaczego nie ma jeszcze wiadomości o jego ujęciu? Powinna już być... Dla pościgu za zbrodniarzem pogodzili się ze sobą najzawziętsi baronowie! Ród Orsini sprzymierzył się z rodem Colonnów mimo wiekowej nienawiści. Tyle lat przez cały czas swego pontyfikatu Urban VIII usiłował nakłonić ich do tej zgody bezskutecznie. Trzeba było wstrząsu tej miary, by stare urazy zbladły. Bogu dzięki — pomyślał mimo woli papież i cofnął tę myśl natychmiast. Wydało mu się, że akceptuje nią to, co się stało. O, nie! Nigdy! Żadne skutki nie usprawiedliwiają Sapiehy. Gdyby go nie dognano (to niemożliwe, lecz przewidzieć trzeba wszystko), rzuci, kłatwę na zbrodniarza. Pokaże tym Sarmatom, co Rzym znaczy... Od wieków żaden Polak nie popadł w kłatwę. Nastąpi to teraz... Lecz łotr, który nie zawahał się przed świętokradztwem, nie przejmie się również i kłatwą! W takim razie papież nie miałby sposobu pomszczenia swojej obelgi i jedyną istotą, na której mógł wyładować swój rankor, był Baptysta. Przeciw temu nędznikowi obracała się zatem cała furia popędliwca.

Kardynał padrone był innego zdania, siebie uważając za głównego winowajcę. W dzień egzekucji wyjednał u brata posłanie skazańcowi spowiednika.

Urban VIII zrazu nie chciał o tym słyszeć, krzycząc, że sam by diabłu widły podał, żeby Baptystę na dno piekieł snadniej niósł — ustąpił jednak, skoro Carlo Magalotti doniósł z drogi, iż pościg zwiększyły

nowe oddziały, nie ma zatem wątpliwości, że lada dzień pochwyca zbrodniarza.

Carlo Magalotti, dzielny junak zbyt był dufny, przewidując powo-  
dzenie.

Nielatwo dognać tego, co ucieka. Jedna droga przed nim, sto dróg przed ścigającymi. Gdy Taddeo Barberini, dowódca wojsk papieskich, oraz baronowie: Giordano Orsini, Odoardo Farnese, Cornelio Bentivoglio, konetabl Colonna, Virginio Cenci, każdy na czele licznych i zbrojnych oddziałów — przetrzasali gościńce i lasy w kierunku Magliano, Narni, Bagnorea, Orvieto, Asyżu i Sieny — zbieg, nie dojeżdżając do Viterbo, wykręcił na zachód. Świt zastał go już w Valentano, a potem wyprzedził słońce, jeszcze przed zachodem mijając Acqua Pendente. Nocą mieszkańców Santa Fiore obudził grzmot kopyt i łoskot pędzących wozów. Nim się rzucili do okien, tabor leciał jak upiór przez uśpione Roccastrado, rano wytchnął w San Casciano, skąd, popasawszy nieco, pędził ku Poretto. Wytrawnym uczuciem starego myśliwca wiedziony, wojewoda skrętnie omijał gościńce, klucząc pastuszymi drózkami. Zagra-  
dzały mu na nich drogę strumienie, wąwozy i góry, lecz on strumienie przebywał wplaw, a w wąwozy ludzie spuszczały wozy po sznurach.

Konie, chrapiąc ze strachu, schodziły w strome rozpadliny, głębokie jary, po czym zgodnym wysiłkiem mięśni parły się pod górę, całą zawziętą dobrą wolę końskiej duszy kładąc w wykonanie zadanego trudu. Na kamienistej glebie nie zostawał ślad kopyt i gdy echo kół przebrzmiało, nikt by wierzyć nie chciał, że liczny tabor przechodził tamtędy. Nawóz zostawiony przez konie pachołcy zbierali, by wrzucić do pierwszego napotkanego potoku, i spłoszone ptaki kołujące jeszcze w górze były jedynym śladem po taborze.

Po drodze napotymano półnagich, dzikich pastuchów, o niczym nie wiedzących, którzy szeroko otwartymi oczami patrzyli na przejeżdżających, a w godzinę później, zapytani, nie umieli powiedzieć, czy widzieli żywych ludzi, czy gomon lub inne widziadło. Mijali zapadłe, ubogie wioski górskie, gdzie ludność na ich widok chowała się z krzykiem, sądząc, że to któryś z sąsiednich baronów najeżdża włości drugiego, i do wieczora nie opuszczali chat starannie zawartych.

Ponieważ drogi były wąskie i skaliste, pan Sapięha kazał przepierać konie jednego przed drugim, jak zwykle czyni się w kniei, gdy z ostępów głębokim śniegiem zabitych przychodzi cielsko tura lub żubra wyciągać. Nie brakło w taborze długich linek i luźnych orczyków, wprędce przeto zaprzęg z puszczy litewskich dziwił oczy ludzkie w spotykanych włoskich siołach. Czwartego dnia przejechano granicę Kościelnego Państwa, lecz wojewoda w pośpiechu nie folgował. Wprawdzie nie wiedział, że Ojciec Święty ogłosił specjalne breve, obiecując każdemu, kto zatrzyma zbiega, choćby był zbrodniarzem dotkniętym klątwą, zupełne odpuśczenie grzechów, zmazanie win i sutą nagrodę pieniężną — domyślał się jednak, że ci sami książęta Ferrary, Mantui, Florencji, co przed miesiącem witali go uroczyście, ujmą teraz bez wahania świętokradcę,

obraz odbiorą, jego samego w ręce zbirów papieskich oddadzą. Toteż od Pistoii porzucił na prawo gościniec boloński i śmiało wszedł w góry etruskie, przedzierając się tamtędy ku Modenie. Z gór zszedł w równinę żyzną, pociętą rzekami, które trzeba było przebywać w bród, tracąc wiele czasu. Przebrnęli Panaro, Secchię i bagnistą Murcię. Popasali w lasach, a bliskie miasta okrażali nocami. Mimo pośpiechu jednak droga była wciąż daleka, kraj ludny, o ucieczce świętokradcy ostrzeżony. Nakładano więc drogi, by o miasta nie zahaczyć.

Koło Werony, gdy pan Sapięha stwierdził, że konie bardzo w ścierwie spadły i sierść na nich zszerszeniała, kazał połowę łubów rzucić do Adygi, dwa wozy puste w rozpadlinę głęboką zaciągnąć, gdzie je nakryto ściętymi drzewami. Wojewoda stał sam na brzegu rzeki patrząc, jak ku zgryzocie dworzan i kanonika rzucano w bystrą wodę łuby z odzieżą, toboły kobierców, puzdra ze srebrnymi talerzami i baryłki z wódką.

Teraz połowa koni biegła luzem za wozami, a połowa szła w zaprzęgu, zmieniano je zaś co pół dnia. Ludzie drzemali na wozach, wyschli z trudów i gorąca, poczernieli z niewyspania, lecz nie ustawiali. Wola pana niosła tabor naprzód jak dźwignia stalowa, a bierny, cierpliwy i wytrwały lud podlaski szedł za tą wolą posłusznie. Niejednemu zdawało się dziwnym, dlaczego tak uciekają, co im grozi i od kogo, lecz któż byłby śmiał pytać? Pędzą, jakby Tatarów ścigali — widocznie tak, trzeba.

Przebywszy Adygę i Brentę, mogli jechać prosto na Treviso. Lecz pan Sapięha wykręcił na północ, ominął Bassano, poszedł na Bellunę. Tam, za Piawą, weszli w niedostępne góry. Skały wznosiły się nad wąwozem podobne do twierdz. Górował nad nimi szczyt podobny do opuszczonego zamczyska, zwany Marmolata, słynący z tego, że nawiedzają go duchy. Toteż nikt na tych bezdrożach nie szukał taboru i nikomu nie przyszło do głowy, że zbieg świętokradczy przediera się najdłuższą i najtrudniejszą drogą. Ślad umiejętnie zatarty wśród Rzymskiej Kampanii nie dał się już odnaleźć i pogoń darmo przetrząsała wszystkie drogi. Dowódcy pościgu łamali sobie próżno głowy, którym okiem starannie zaciągniętego niewodu wymknął się polski palatyn i nie wątpili, że dopomogły mu w tym nie znane im północne czary, czyniące tabor niewidzialnym. Daremnie szpiegowie weneccy, zbirowie florency przebiegali wzdłuż i wszerz Lombardię. Darmo po wszystkich miasteczkach strażę badały każdego obcego wchodzącego w bramy. Ten, którego poszukiwano, zjeżdżał już w dół ku Udine, przeszedł Tagliamento i znów wkroczył w góry. Skoro w nie weszli, wojewoda odetchnął pełną pierśią i niezmierna duma rozparła mu serce. Otóż go nie doścignęli! Na każdej drodze czekał nieprzyjaciel, a zbieg uszedł! Omylił wszystkich, nie widział ni razu pogoni! Przejechał taborę Kampanię, Toskanię, Lombardię i nikt go nie ujął! Nie było walki, nie wyciągał szabli z pochwy. Nie dopadną go teraz. Znał dobrze przejścia alpejskie, którymi wojska cesarskie spuszczały się nieraz w doliny italskie. Bywał tu często za młodu, i teraz bez trwogi wprowadził swój tabor w wąwozy.

Czekały tu na nich trwogi, ale inne. Burze śnieżne, wichry strącające z nóg, wąskie, strome ścieżki, zdradzieckie mgły. Huczały wodospady, wysoko krakały orły. Ludziom mąciło się w głowach od patrzenia w dół. Konie chrapały i boczyły się. Tydzień tak się przedzierali. Aż w cztery niedziele po wyjeździe z Rzymu zmęczony tabor zszedł z gór w ziemie cesarskie. Ludzie ślaniali się na nogach ze znużenia, konie były poodparzane, okulaławione i chude. Nie dochodząc więc do Lublany, pan Sapieha pociągnął w głębokie dąbrowy i rozbił obóz wśród drzew, by ludziom i koniom chociaż na tydzień dać folgę.

Gdy spętane konie pasły się na polanie, pachołcy i dworzanie spali smacznie na trawie, przy ogniu kucharczyk sprawiał świeżo upolowanego warchlaka — pan Sapieha siedział przed namiotem i rozmyślał nad drogą, którą teraz iść wypadnie. Cesarz zaszczycał go swoją przyjaźnią, a niedawno, gdy do Rzymu chory jechał, obdarował złotym kluczem. Papież niejednokrotnie naraził sobie cesarza, którego był wrogiem zaciętym, zatem na cesarskiej ziemi wojewoda mógł się chyba czuć bezpieczny?

Niby tak, niby nie. Pan Sapieha był nie tylko rycerzem, ale i tęgą głową. Nie tajne mu było, że cesarz uwikłany w ciężkie walki z Gustawem Adolfem pragnął zbliżenia się z Rzymem. Cesarska przyjaźń — rozważał — ważkie to słowo, ale łatwo tracące swą wagę, gdy w grę wchodzi polityka. Jeśliby ujęcie Sapiehy, zwrócenie papieżowi porwanej Madonny miały zmienić stosunek papieża do Wiednia — cesarz nie zawaha się przyjaźni zdradzić i Sapiehy ująć. To jasne. Bezpieczniej zatem, miast prostą drogą na Wiedeń, skrócić na wschód w tureckie dziedziny, od niedawna wchodzące głęboko w kraj. Między Lechistanem, czyli Rzeczpospolitą, a Wysoką Portą, istniał pokój nie rokujący wprawdzie trwałości, pokój wiotki, mogący lada chwila prysnąć, lecz istniał. Inne natomiast stawało impedimentum: zali uczciwym i przyzwoitym było wieźć Najświętszą Panią przez ziemie pogańskie?

Kwestia była delikatna, nie czuł się na siłach sam jej rozwiązać i zawołał kanonika na naradę. Wychudzony i wciąż jeszcze niespokojny ksiądz Boćkowski nie wahał się ani chwili.

— A toć w Egipcie też byli poganie, kiedy tam z Dzieciątkiem uciekła!

— W sedno trafione! — ucieszył się wojewoda. — Zresztą pośpieszać będę jak wprzód i grody omijać, by ni jednego półksiężycy nie dojrzała... A czego to Wasza Wielbność wciąż jakiś markotny?...

— Boję się — wyznał kanonik. — Za dobrze nam idzie. Nie może być, żeby tak na sucho uszło... Spotka nas jeszcze jakiś figiel fortuny, oj, spotka...

— Nie boję się nijakiego. Gdyby Matka Boża nie była nam rada, toby nas byli w Italii dognali...

— Niezbadane są wyroki Boże...

Dziesięć dni wypoczywali, konie się podpały, wozy naprawiono i pod-

jęli podróż znowu, idąc wielkimi pochodami, ale nie pędzono po wariacku jak poprzednio.

Ciągnęli na Zagrzeb, ku Góróm Białym. Po wzgórzach chrzęściła krótka ostra trawa i sykały nieprzeliczone polne kohiki. Dnie były już znacznie krótsze, noce chłodniejsze, ranki obficie rosiste. Niebo objęła niezmienna pogoda, sojuszniczka krain naddunajskich. Miejscami rosły kępy wysokiej trawy zwanej włosami sieroty, o białych pióropuszcach podobnych do kitek czaplich. Droga szła do Bedlowaru, stamtąd promem przez Drawę ku twierdzy Mohacz, niegdyś stróżującej u zachodniego ramienia Dunaju, a dziś stanowiącej dla niewiernych dobry przyczółek do dalszych podbojów.

Wokoło twierdzy ciągnęły się bagna, które omijali ludzie. Mówiono, że duchy rycerzy chrześcijańskich poległych tu w walce z Solimanem (setna rocznica tej bitwy niedawno minęła), wraz z młodym królem, Ludwikiem Jagiellończykiem, błądzą nocami i straszą niewiernych, czekając powrotu Krzyża. Pan Sapieha pomyślał, że nie ma potrzeby lękać się tych duchów, przeciwnie, zabezpieczą mu one jak najpomyślniejszą drogę. Mówiąc pacierze za zmarłych, ciągnął na Szegedin. Ponad murami warowni błyszczały z dala białe wrzeciona minaretów. Przeszedłszy mimo, szli przez kraj nużący i pusty, przez nie kończące się pusztę ku siedmiogrodzkiej granicy. Skalistą, wyschniętą ziemię skąpo pokrywała trawa. W zagłębieniach leżały małe jeziorka ze słoną, niezdatną do użytku wodą. Nieliczne studnie zaopatrzone były w ciężkie drewniane pokrywy i strzeżone przez pastuchów przed drugimi pastuchami. Na widok zbrojnych jeźdźców stróże ci uciekali w step, nie usiłując bronić wody. Tabor szedł tym krajem przez długie dni wzdychając do odmiany. Chwilami, pod słońce, umęczone oczy dostrzegały obrazy gór, lasów, zdawało się, że słyhać dzwonki krów lub bicie dzwonów, a gdy podjeżdżano bliżej, widziadła ginęły, dzwony okazywały się graniem świerszczów; wokół był step, a na stepie siwe, ciężkorogie woły.

Wojewoda jechał przodem na swym zdrożonym ogierze i obliczał ogrom przebytej drogi. Prosty gościniec z Krakowa do Rzymu, na Wiedeń, wynosił przeszło dwieście czterdzieści mil. Tą drogą wygodną i równą jechał kolasą trzy miesiące z okładem. Teraz zaś, kołując i kłuczac, nadkładając drogi, zrobił co najmniej trzysta mil, ech, gdzie trzysta, więcej! A wiele czasu jadą?... Osiem niedziel ledwie! Na Siewną, jak zamierza, może już być w Kodniu.

— Cóż waśc mówisz na to, księżu kanoniku?...

— Pan Bóg jakoś dotąd łaskaw dla nas, ale zobaczymy, co dalej...

Pan Sapieha parsknął na to śmiechem. Nie czuł żadnej obawy, wyrzutów sumienia też. Był szczęśliwy. Spoglądał na tuleję, uczeponą u łęku, z czułością. Nie rozstawał się z nią ani chwili, na noc składając ją u wezglowia. Gdy jechał przodem o parę kroków przed taborem, przemawiał do zawartej w niej świętości jak gdyby do żywej osoby. Każdy dzień zbliżał jadących do ojczystych granic i wojewoda, myśląc o rychłym końcu podróży, sam nie wiedział, zali ma się z tego cieszyć,



czy smucić. Cieszyć, że Kodeń otrzyma Przenajświętszą Panią, żalować, że nie będzie miał Jej wyłącznie dla siebie.

Zamajaczyły w oddali wyniosłe wieże Munkacza, a za nimi ciemny pas borów. Z bezwodnej płaszczyzny tabor wszedł w szumiący mrok bukowych lasów. Inne drzewa pokrywało już złoto jesieni, lecz buki zachowywały dotąd zielone listowie. Pnie gładkie i chłodne jak kolumny z szarego kamienia stały obok siebie. Od północnej strony porastał je mech, taki sam jak ten, który kamienie porasta. Dołem gniły wieloletnie liście, w których podściółce grzęzły nogi, pachniały wilgotne grzyby. Nierzadko fukały spłoszone z legowiska dziki. Lasami tymi szedł tabor przez kilka dni. Czasem napotymano słoneczne polany, na polanach wsie. Ludzie uciekali na widok jadących z tym samym pośpiechem co górale włoscy. Jechali ciągle pod górę, aż wyszli na otwartą przestrzeń Przełęczy Wereczyńskiej i westchnienie ulgi wyrwało się ze wszystkich piersi. Jak okiem sięgnąć, leżała ziemia polska, ziemia ojczyzna, ziemia Rzeczypospolitej.

Po górach alpejskich wędrować przez Beskid zdawało się odpoczynkiem. Oczy witały z radością łagodne garby falujące lasami i zieloną trawą. Któż nad nie przeniesie mroźne piękno wieczystych śniegów i turni?!

Z przełęczy weszli w dolinę przeciętą potokiem. Tutaj, na ojczystej ziemi, stanęli znowu na dłuższy spoczynek. W dolinie było zacisznie i dobrze. W lasach pasły się krowy i owce, czasem ozwał się poryk niedźwiedzia lub gniewne parsknięcie rysia. W dzień przychodziły piwo wodę z potoku stada bydła pędzone przez czarnych, jaskrawo odzianych Hucułów. Wieczorem jelenie i sarny.

Dom był zbyt blisko, by pan Sapieha odpoczywał długo. Po kilku dniach podniósł na nogi swój tabor i szedł rażno przez Skole, Monasterzec, Stryj, Mikołajów do Lwowa. Przeszedł bogate miasto, nie oglądając się na nic. Taką Panią wioząc na łąku, nie uważał, aby było przy stojnie zatrzymywać się na Wysokim Zamku, u starosty grodzkiego w gościnie, lub rzucić ciekawe spojrzenie na towary kupców wschodnich. Ze Lwowa, jak strzelił, na Żółkiew, Bełz i Hrubieszów, gdzie Buć zabłysnął przed nimi.

Wydał się panu Sapieże piękniejszy niż Dunaj i Tyber. Wydała się rzeka rodzona najmiłsza. Po brzegach rozesłały się łągi szerokie. Stojały w kopkach jeszcze nie zestożone otawy. Żurawie już kluczą i krzyczą.

Od Hrubieszowa pośpieszali przez Dubienkę, Dorohusk, Włodawę przez własne, sapieżyńskie już włości. Dnie były coraz krótsze, słońce coraz skąpsze, jechali więc też wieczorami miesięcznymi. W górze iskrzyły się gwiazdy i coraz to któraś spadała, jakby ze zdziwienia. Koni parskały radośnie, a ludzie podjęli znowu swoje pieśni stare, niezrozumiałe, litewskie, których w gorączce ucieczki i trudach dawno nie śpiewali. Czarne skiby świeżo wyorane pachniały chlebem razowym. Ludzi poznawali pana i gromady wychodziły naprzeciw z pokłonem.

Pan Sapieha uśmiechał się do nich. Obaczycie niebawem — myślał — jakiego gościńca wam wiozę!

Po czym rozglądał się wkoło stwierdzając, że piękniejszej ziemi niż ten jego kraj rodzony nie może być nigdzie na świecie. Wtedy mówił do siebie z otuchą:

— Nie może być, żeby nie wolała tu ostać!

## Rozdział dwunasty

Jejmość pani matko! — krzyczała Anusia. — Jejmość pani matko! Pono pan Hornowski jest!

Wojewodzina wychyliła głowę z okna.

— Przesłyszalaś się, dziewuszeko... Pan Hornowski pojechał z jegomością do Rzymu...

— Właśnie gadają, że wrócił!

— Jezus Maryja! Gdzie jest?

Wojewodzina odepchnęła krosna i wybiegła z komnaty z twarzą pobielającą. Jużci, co inaczej nie mogło się stać. Jużci... Pomarł nieborak, zanim dojechali... Gdzieś na postoju pomarł... Boże Ty mój!

Od czeladnej części zamku buchał gwar i splątane głosy, które wydały się jej nieprzystojne w chwili żałoby. Skarci surowo dziewczęta i szafarkę zaraz po rozmowie z posłem. Poseł biegł już ku niej od oficyny, za nim ciżba ludzi. Imię Moczydłowski wymachujący rękami, archiwariusz Dołęga, marszałek dworu i kanceliści. Pan Hornowski wydał się wojewodzinie odmieniony. Szerniał, schudł. Pokłonił się pani do kolan i czapką ziemię zamiótł jak należy.

— Gdzie pan? — zapytała bez tchu, przewidując zawczasu odpowiedź.

— Na Gozdach — odparł najnieoczekiwanej. — Wszyscy tam stanęlim, mnie pan wysłał przodem...

— Żyw? — pytała z niedowierzaniem.

— Miłościwa pani! Żyw i zdrów! Cud się stał, wielki nad wszelkie pojęcie! Pan wojewoda zdrów jak dziesięć lat temu! Z Rzymu gonilim mało co nad pięć niedziel... Pan wojewoda cały czas w siodle... Jak młody...

— Cichaj waść... Cichaj... — odwróciła twarz zalaną łzami. Niespodziewana radość odjęła jej siły i mowę.

— Na Gozdach są?... — powtórzyła opanowawszy wzruszenie. — W Zalesiu... To przed wieczorem przyjadą!

— Nie przyjadą, Wasza Miłość, aż się tu wszystko zładuje... Świętość wielką wieziem, z którą pan wojewoda się nie rozstaje... Cudowny obraz Najświętszej Panny, ten sam, przed którym uleczony został... Święty Łukasz go malował... Mocy równej Jasnogórskiemu...

Wojewodzina złożyła ręce w zachwycie. Nie była pewna, czy to, co słyszy, jest jawą, czy pięknym snem.

— Ojciec Święty podarował panu wojewodzie ten obraz? — zapytała przez ły.

Hornowski zrobił gest wymijający. Po prawdzie nie wiedział, jak to było. A czego się domyślał, nie zamierzał mówić.

— Obraz będzie w kaplicy, Wasza Miłość, ale wprzód trzeba ołtarz przygotować, bramy wystroić, ludzi zwołać, drogę z Gozdów przerąbać, gości sprosić, sąsiadów powiadomić... Kupa roboty... Pan wojewoda usilnie prosi, by Wasza Miłość wszystko zarządziła jak należy, a z sumptem, a godnie... Pan wojewoda prosi też by Wasza Miłość póki co k'niemu nie jechała, bo ślubował, że familii nie powita, aż wprzód Najświętszą Pannę w ołtarzu postawi...

— Słuszny ślub — przytaknęła głową. — Pójdę do kaplicy Bogu dziękować, a gdy waść podjesz, przyjdź, proszę do bawialnej komnaty wszystko szczegółowo opowiedzieć.

Odeszła. Hornowskiego obkoczyli przyjaciele. Pan Moczydłowski ujął go pod ramię.

— No, powiadaj, powiadaj... wojewoda zdrow, naprawdę?

— Zdrowszy od nas wszystkich... Myśmy z tej drogi ustawiali, a on wciąż poganiał...

— Dobrze musiał poganiać, bo waść tego zmizerowany.

— A toż gnaliśmy z samego Rzymu bez wytchnienia, przez góry, przez rzeki... Nie daj Boże takiej drogi... Było z czego schudnąć!

— Dlaboga, czegożeście tak śpieszyli?

— Nie wiem. Wojewoda kazał.

— Powiadaj waćpan, jak było, kiedy Ojciec Święty ten obraz dawał. Bardzo uroczyście?

— Żaden z nas przy tym nie był — wyznał pan Hornowski. — Dopiero w Zalesiu dowiedzielim się, że obraz mamy.

— Czegoż tak sekretnie był dany?

— Nie wiem także. Pan wojewoda trzymał go w tulejce przy lęku. Nikt z nas nie wiedział, co w tulejce jest, dopiero w Zalesiu powiada nam: „Matkę Bożą wieziem...”

— Toście obrazu wcale nie widzieli?

— Widziałem, i nieraz, w Rzymie, w papieskiej kaplicy... Pan wojewoda, odkąd zdrowie przed nim cudownie odzyskał, codziennie dank składać przychodził i jednego z nas zawsze zabierał... Obraz piękny jest... A wotów na niem było, a złota! To wszystko pewnie zostało, boby się do tulejki żadną miarą nie zmieściło. Powiadali w Rzymie, że ten obraz ma więcej niż tysiąc lat...

— Ho, ho... to dziwne, że go Ojciec Święty dał...

— Pan wojewoda przecie obrazu nie ukradł, widocznie więc dał.

— Widocznie. Chodź waść na obiad i świeże piwo... Mieliście piwo w Italii?

— Bogać tam! Ani piwa, ani miodu, tylko wciąż wino i wino... A jedzenie takie, że u nas psy by nie jedli...

Przysiółek zwany „na Gozdach”, w którym zatrzymał się wojewoda, składał się z paru bud smolarskich i jednej chaty, gajówki. Noce były już zbyt chłodne, by spać pod namiotem, przeto chatę tę wyprzątnięto, wykadzono, wysłano oponami. W izbie po lewej stronie umieszczono obraz, po prawej rezydowali wojewoda i kanonik Boćkowski. Dworski kołodziej zrobił ramę, na którą pan Sapieha z kanonikiem ostrożnie naciągali płótno. Przed chatą wzniesiono niby ołtarz ubrany zielenią, na którym w dzień obraz był wystawiany. Pogoda trwała wciąż cudna. Srebrne nici babiego lata płynęły powietrzem, czepiały się Wizerunku. Ludzie okolicznych wsi, zwołani, by dukt bić lasem ku zamkowi, patrzyli nań ze czcią i klękali jak przed Sakramentem. Wieczorem, wracając długim sznurem od roboty, odmawiali tutaj gromadnie pacierze.

Obaczycie, obaczycie, jaką ma moc, gdy tylko w kościele stanie... — myślał wojewoda patrząc na nich. Kanonik Boćkowski przytakiwał głową. Czas dłużył mu się niezmiernie, targał niepokój, czy wszystko jak należy będzie zrobione, jechać zaś sam do Kodnia nie chciał, choć go pan Sapieha namawiał.

— Nie pojedę — upierał się. — Niech Wasza Dostojność jejmość do brodziejce i wszystkim opowiada, skąd się u nas obraz wzięła... Kłamać nie będę, a prawda mi przez usta nie przejdzie... Wolę tu siedzieć i czekać, aż Wasza Dostojność sam powiesz... O dlaboga, a tam kto?

— O kogo, księże, pytasz?

— Tam, między babami, na pewno on... Poznajesz, Wasza Dostojność?

Ręką ukazywał siwego brodacza w płótniance i łapciach, przyglądającego się ciekawie obrazowi.

— Pyłyp?...

— On sam, gad obmierzły!... Nie bał się tu przyjść... Zaraz go każę przepędzić...

— Ostaw, księże. Niech patrzy, jucha, niech widzi, jaki bicz na niego przywieźlim...

— Nie bał się przyjść! — powtórzył ze zgrozą kanonik.

Siwy znachor spostrzegł, że o nim mówią, podszedł i skłonił się nisko panu do nóg.

— Ot, rad ja, co Jaśnie Pan zdrów — rzekł chrypliwym głosem.

— Raduję się i ja. A wiesz, kto mnie uleczył? Ona — wskazał na obraz — Maryja Dziewica, co wężowi głowę starła... Pojmiesz, Pyłyp: węża zdeptała i głowę jego starła...

Stary chłop spojrział na mówiącego spode łba, popatrzył jeszcze raz na obraz i pokłoniwszy się znowu, odszedł w las bez słowa.

— Zabiłby oczami, żeby mógł — mrucał kanonik. — Uważajmy, żeby jakiego nieszczęścia nie spowodował... Ognia bestia nie podłożył...

— Nie jego siła! Nie boję się.

— A ja się wciąż czegoś boję — wyznał frasobliwie ksiądz.

— Jeszcze?!

— Przecie Ojciec Święty nie ustąpi tak łatwo... Do Króla Jegomości będzie apelował... Przewiduję stąd wielkie kabały...

— Król Jegomość nie będzie ze mną wojny wszczywał, a zna mnie dość, by wiedzieć, że nie ustąpię...

— A jeśli, Boże odpuść — kanonikowi głos się załamał — Ojciec Święty klątwą Waszą Dostojność obłoży?

— O tym nieraz myślałem — wyznał pan Sapieha. — Dufam jednak, że Najświętsza Panna do takiego nieszczęścia nie dopuści... Nie oddam Jej przecie, choćbym miał zostać obłożony klątwą...

— Straszno nawet pomyśleć o takich rzeczach...

— Toteż myślmy raczej o tym, że do piętnastego jejmość moja małżonka powinna się ze wszystkim uwinąć i będziemy mogli procesją wyruszyć...

Przeraźliwe krzyki ludzkie podniosły się niedaleko. Mówiący przerwali rozmowę, patrząc pilnie, co się stało. Z lasu bieгло parę kobiet machając rękami.

— Kocica! — wołały. — Kocica!

— Na starego Pyłypa skoczyła!

— Z młodymi była!

— Sam tu! — krzyknął wojewoda. — Powiadajcie, co się stało!

Stara Ambrożowa podeszła pod chatę.

— Rysica, Jaśnie Wielmożny Panie, skoczyła... Nie spodziewaliśmy się, bo rysiów na Gozdzie nie bywa. Młode leżały w trawie. Pyłyp widno na nie nastąpił... Reta! Reta! Myśleli my, że sam diabeł... Gębę mu poorala... Na oczy pewnością widzieć nie będzie...

— Gdzie jest? — zapytał wojewoda poruszony.

— Żonka poniosła go z innymi do chaty... Oj, strach był, strach!

Spojrzała na obraz, przeżegnała się i odeszła, odprawiona skinieniem ręki wojewody.

Przed chatą zapanowało milczenie.

— Co Wasza Wielbność o tym sądzisz? — zapytał pan Sapieha po długiej chwili. — Wypadek to był ordynaryjny?

— Bóg raczej wiedzieć. Rysiów w puszczy nie brak. Łońskiego roku Wasylowi z Młynarzowej Niwki stary kocur kark poszarpał tak, że tamten w dwa dni umarł... Wasza Dostojność mógł o tym nie wiedzieć będąc wówczas chorym... Zdarzają się wypadki.

— Zdarzają się...

Pochód był uroczysty i wspaniały. Przodem szły chorągwie własne sapieżyńskie, pancerne i lekkie. Proporce chwiały się nad nimi jak kwiaty. Za chorągwiami szli węgryni, zwani także sabatami, obcisło i barwnie odziani. Szedł regiment harkebuzerów z co najtęższych chło-

pów wiejskich dobierany. Szły cechy, każdy ze swoim sztandarem, wyobrażenie patrona rzemiosła noszącym. Szły bractwa różańcowe, pokutne, tercjarskie. Szła kapela zamkowa na srebrnych trąbach grająca. Szli nadworni kozacy, hajducy, strzelcy. Szli sokolnicy, niosąc sokoły w kaptury przybrane. Szedł chór z kapelmistrzem, dworzanie starsi i młodszy, marszałek, sekretarze, klucznicy, kanceliści, archiwiści, regenci, rewizorzy, w końcu dziewczątka w bieli rzucające kwiaty i liście na drogę. Za nimi najgodniejsi i najstarsi wiekiem domownicy kodeńskiego dworu nieśli ogromny feretron złożony, w którym umieszczony był cudowny obraz Madonny Gregoriańskiej zwanej też di Guadelupe.

Oczy Najświętszej Panny patrzyły spod ciężkich powiek, jak gdyby ogarniając spojrzeniem nowy świat i biorąc go w posiadanie. Patrzyły na dalekie niskie wzgórza, szare ścierniska i zielone łągi, na ciemny pierścień sosnowego boru zamykający widnokrąg i na tłum nieprzeliczony ścielący swe serca razem z kwiatami pod Jej stopy. Oczy macierzyńskie, pamiętające zaranie Kościoła, patrzyły na białe zawinięte głowy kobiece i lniane, odkryte, męskie, na świetny dwór wojewody, na proporce rycerskie. O barwy starodawne, o święty szmat płótna, na którym przed tysiącem lat kształt Bogarodzicy został utrwalony, obijały się dźwięki nowe, twarde, niepieszczone. Trącały je fale pieśni dziecinnych, prostackich, ale skrzydlatych. Owijało jak srebrem przedziwo niesione wiatrem. Aż zabrzmiała pieśń znajoma, potężna, pieśń zatrwożonych ludzi w Carogrodzie, pieśń od tysiąca lat nie zmieniona, krzyk ludzkości błagającej u nieba ratunku, pieśń wieczna jak życie, jak śmierć, jak ludzka słabość i jak Boża moc...

„Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny...”

Za obrazem i księżmi szedł wojewoda z wojewodzina w otoczeniu sąsiadów i przyjaciół. Marszałek Drohojowski stapał pobok; szczerze wzruszony ścisnął co chwila przyjaciela za łokieć. Syn jego, Staszek, kroczył podług ojca z atencją. Anusia Sapieżanka dreptała przy matce szczęśliwa i zapłoniona. Pan Sapieha uśmiechał się do nich wszystkich z roztargnieniem. To roztargnienie, a raczej oderwanie, było mu teraz zwyczajne. Cudowne uleczenie wróciwszy zdrowie i siły odmieniło go duchowo. Muśnięcie skrzydłem Łaski wyrzeźbiło trwałe ślad, toteż wszyscy odnosili się do powróconego z pełnym szacunkiem i niepokojem. Onieśmiała ich, jak gdyby znał rzeczy zwyczajnym ludziom zakryte. Czuli, że myśli pana Sapiehy, nawet gdy, jak w tej chwili, uśmiecha się najżyczliwiej, krążą innymi torami, nie spotykając ich myśli. Jakoż istotnie tak było. Krocząc obecnie tuż za feretronem, duszą szybował daleko. Trakt świeżo przez las przecięty, którym szła procesja, był wszak poszerzoną i wyprostowaną leśną dróżką, tą samą, którą zeszłej zimy jechali polować z prosięciem na wilki. Na tej samej drodze przeżył największą swoją hańbę i upadek. Nie opodał stąd ciemnieje wśród drzew chata Pyłypa, znachora, w której pogańskie obrzędy sprawiano, a on, półtrup, nie umiał temu przeszkodzić i godził się z kanonikiem, że lepiej odmienca zostawić w spokoju... Na samo wspomnienie tych chwil

rumieniec uderza na twarz, a wszakże gdyby owych uczuć ponizenia i wstydu nie przeżył, nie pojechałby do Rzymu i nie prowadziłby dziś tym samym szlakiem tryumfującej w swej mocy Madonny. Pyłyp znachor, Pyłyp poganin stracił wzrok, gdy na Nią spojrział... Zaprawdę, nie był to ordynaryjny wypadek. Olśniło wojewodę nagle zrozumienie jedności wszystkich zjawisk tego świata, w którym przyroda, kamień, zwierzę, człowiek posłusznie jedną wolę wykonują. Zawile tajny wzór Bożego ściegu wydał mu się na moment jasny i czytelny. Najświętsza Panna pragnęła widzieć w Kodniu skarbnicę łask, którą był Jej wizerunek. W miłosierdziu swoim pojmowała, jak bardzo Jej tutejsza ziemia potrzebuje. On, Sapieha, po to narodził się, żył, jeździł, walczył, chorował, by stać się narzędziem Bożym, przywożąc Ją tutaj bez względu na wszystkie przeszkody. Wszystko, cokolwiek kiedy uczynił, nawet służba za młodu w cesarskich szeregach, dzięki której znalazł przejścia alpejskie, było przygotowaniem przeżywanego dzisiaj chwili... Łzy wzruszenia i wdzięczności napłynęły mu do oczu. Spokój i radość napełniły serca. Podniósł wysoko siwiejącą głowę. Idący za nim myśleli, że czyni to z dumy. Iście była to duma, lecz taka, co skwapliwa jest paść na kolana.

W Kodniu dzwony wciąż dzwoniły, bijąc potężnym dźwiękiem spokojne, srebrne powietrze. U wejścia do miasta wznosiła się brama tryumfalna ozdobiona napisem: Ave Maria! — uwitym z zieleni i kwiecica. Pod napisem widniały sapieżyńskie herby. W bramie stali rajcowie miejscy z burmistrzem i resztą zamkowego dworu. Na rozpory bramy skryte pod kwiatami wspiął się imię Diamowski, szlachcic a zarazem skryba, pełniący na dworze funkcje rymotwórcy i latopiśca. Widząc zbliżające się czoło pochodu, wykrzyknął pochwałę ułożoną przezeń świeżo na cześć Matki Bożej:

Paniński cieniu, przybądź, nad gwiazd glans cudniejszy  
Cieniu świetny nad słońce, rozwiń dzień jaśniejszy...

Gwar go zagłuszał, więc podniósł głos wyżej:

Nie tak marynarz wiatrów żaglowiadnych żąda  
Lub ros perłowych ziemia pragnąca wygląda —  
Nie tak w Bogu zrodzone ryby schną bez wody  
Nie tak dążą zranione do źródeł jelenie,  
Albo ptak bez powietrznej omdlewa ochłody —  
Nie tak łabędź klarowne rad pija strumienie.  
Jak tęskni do Panińskiej kraj sarmacki twarzy...

Resztę tchu dobywał na próżno, bo słowa ginęły w ogólnym radosnym tumultie. Zdobywając się na ostateczny wysiłek, krzyknął:

...Kodeń z wież sapieżyńskich patrzy się szczęśliwy,  
Chce przyspieszyć słonecznych kótek bieg leniwy,  
Późny dziedzica powrót nagli narzekaniem...

Nawet najbliżej stojący jednak nie mogli rozróżnić jego głosu wśród dźwięku trąb, bicia dzwonów, warkotu bębnow i ogólnego śpiewu. Zniechęcony zeskoczył więc ze słupa i wmieszawszy się w tłum ją śpiewać wraz z innymi.

W tejże chwili rozległ się huk dział. Z armat i moździerzy walono na wiwat, aż zamek się trząsł, a gęsty biały dym owinął mury jak w czas oblężenia. Chorągwie i cechy odeszły na boki, puszczając w przód serce pochodu. Droga wysłana była kobiercami. Po obu stronach drogi, od bramy począwszy, stały szpalery z wieńców świeżego kwiecia utworzone. Z obszernych ogrodów zamkowych, tarasami do Bugu schodzących, z wirydarzy zamkowych, gdzie hodowano tureckie i holenderskie róże, wojewodzina kazała zerwać wszystkie kwiaty, by drogę Najświętszej Paniency ustroić. Szpalery te pachniały niby kazielnice.

Na dziedzińcu zamkowym, skupiona przed wejściem do kościoła, czekała od świtu niedołączna ciżba kalek i chorych. Wieść o cudownej mocy obrazu rozbiegła się już szeroko, więc zeszli się z całego powiatu, a teraz tuż za księżmi tłoczyli do wnętrza, stukając kulami, człapiąc owiniętymi w szmaty kikutami, macając bezradnie drogę rękami. Niektórych krewni wnosili na plecach. Szli śpiesznie, nie turbowani, bo wojewoda kazał im dać pierwsze miejsce. Za nimi wepchnęli się inni i w przepelnionej kaplicy, otoczonej morzem głów nie mieszczących się w niej ludzi, zaczęło się nabożeństwo. Na ambonę wyszedł kanonik Boćkowski. Uroczysta chwila sprawiła, że zbył się obaw i promiennymi oczami ogarnawszy kaplicę, kazanie rozpoczął.

Ksiądz kanonik Boćkowski nie był krasomówcą. Nie umiał posługiwać się ulubionym ówczesnym stylem, pełnym zawitych metafor. Acz mitologia i klasycy nie byli mu obcy, nie umiał umieszczać ich pomiędzy teologiczne wywody. Kazania jego były zazwyczaj nieuczzone i proste. W prostych też i nieuczonych, lecz dla każdego zrozumiałych słowach opowiadał historię cudownego obrazu od świętego Łukasza aż do dni dzisiejszych, nie szczędząc szczegółów o jego starożytnej świętości i chwale.

— Jeszcze tu puszcza była, w której tur z żubrem za łby się wodziły — mówił — gdy ten obraz już egzystował i łaski rozsiewał. Jeszczeście, najmilsi, imienia Boga prawdziwego nie znali, gdy ten wizerunek już przez świętych uwielbiany był! Najmilsi moi! Błogosławiona i zaszczytna godzina, w której on pośród nas stanął! Nie będzie ninie mór zabijać bydła, nie będą wiedźmy uroków rzucać i ludziom snu odbierać! Nie będzie zarazy, co w dom znienacka wchodzi, nie będzie zbrodni i kłótni! Odmieni się życie wasze! Stanie się odświętne, ochędźne, niedzielne... Odmienią się serca wszystkie i ku Bogu zwrócą. Zbrodniarz przywiedziony przed Jej oblicze skruszeje, winy wyzna i odpokutuje za grzechy. Niewinnie skrzywdzony — odejdzie ufny w rychłą sprawiedliwość Bożą. Chorzy uzdrowienia dostąpią... Kalekom członki powrócą!

Spójrzcie w miłosierne oczy tej Matki naszej! Zali nie widzicie, jak uśmiecha się do każdego i dusze jak dzieci przytula?...

Szloch targnął kościołem, oczy wszystkich utkwily w najświętszym Obliczu. Wojewoda spojrzął wraz z innymi i ogarnął go nagły lęk. Cechą duszy ludzkiej uwięzionej w ciele jest podnosić się, wzlatywać i znowu upadać. Śpiewać na przemian „Hosanna” i „De profundis”. Przed chwilą, idąc w procesji, pan Sapieha czuł się dufny, szczęśliwy i pewny, że Bóg go użył do wykonania swej woli — a oto teraz ogarnęła go wątpliwość niemożliwa do zniesienia. Wydał się sam sobie grzesznikiem, tym gorszym, że zadufanym. Mniemał się Bożym narzędziem? — Nie jestże tylko świętokradcą i zbrodniarzem godnym kary? Nie zasłużyłże na to, by Bóg rozgniewany, cudowną moc obrazu cofnął?

Osunął się półprzytomny na klęcznik, opierając głowę na splecionych dłoniach. Pierwszy raz nawiedziła go podobna myśl, a wszakże to była myśl słuszna.

Bez śladu opuściła go poprzednia dumna radość i taka rozpacz, taka skrucha przejęły duszę, że tłukł głową o rzeźbiony pulpit stalli, szepcząc przez łyzy: „Potęp duszę moją, a tego nie czyn! Odepchnij duszę moją, ale tego nie czyn! Mnie smagaj, ale tych ludzi nie krzywdź! O Jezule! O Jezule!”

— I któż to sprawił, że ta jasność zajaśniała ponad nami?... Komu się wdzięczność za tę odmianę należy? Najmilsi moi! Oto kto ją przywiózł! Oto pan nasz, Piusem zwany, Matki Bożej sługa wierny, ze starych książąt litewskich Giedyminowy prawy wnuk... On sam, na sobie Łaski Królowej Niebios doznawszy, nie wahał się na wielkie niebezpieczeństwa narazić, gardłem i czią ryzykować, byle oną świętość zdobyć! Jako herbowna domu jego strzała, z tego sławna, że bez drzenia, a niechybnie do celu chwalebnego dąży — tak i wola jego, na żadne obstakle niepomna, doprowadziła go tutaj szczęśliwie. W miłości ku wam i ku Matce Bożej ważył się na rzecz szaloną i Bóg w tym świętym szaleństwie dopomógł, rapt pobłogosławił! Cześć bohaterowi! Królestwo Boże gwałt cierpi i gwałtownicy zdobywają je!

(Tu spojrzął ksiądz Boćkowski ku wojewodzińskiej stalli, lecz pan Sapieha, pogrążony w swojej męce, nie słyszał, o czym mówiono.)

— Ty zaś, Matko Boża, Ty, Orędowniczko! Ty, Sapieżyńska Protektorko i Patronko! Po podróжных niewczasach, po niespokojnej ucieczce, spokojnym przywrócona podwojom w tych progach, pośród nas wiekuj! Obierz tu sobie przybytek, żadnych czasów tumultem niesturbowany, pozostań z nami, rządz i miłuj nas!...

— O Maryjo! Upodobaj sobie w nas!

— Kyrie elejson! Chryste elejson!

— Maryjo, Matko Boża!

— Módl się za nami! — odpowiedział jednym głosem tłum.

— Święta Panno nad Pannami!

Przeraźliwy krzyk wstrząsnął kościołem. Bogucki, skarbnik nurecki, z dawna niewidomy, otworzył oczy szeroko i krzycząc: „Widzę!” — po-



czą iść ku ołtarzowi. Tuż za pierwszym rozległ się krzyk drugi: „Ja wiżu!” — wołał Pyłyp, znachor, potajemny żerec, któremu rysica oczy poszarpała. Runęły na posadzkę kule i chłop z Kozianówki, od wielu lat chromy, wyprostował się i ręce podniósł dziękczynnie ku górze:

— Matko miłosierdzia!

— Matko Łaski Bożej! — ryknął ksiądz.

Odpowiedział mu grzmot głosów wewnątrz i zewnątrz kościoła. Potężne tchnienie cudu przeleciało nad głowami, chyląc je do ziemi, jak wiatr chyli kłosa. W powietrzu drgały niewidzialne prądy tak mocne, że laski kalek padały z trzaskiem na podłogę, widzieli ślepi, stawali na nogi bezwładni. Uzdrawieni zostali: urodzony Kobyliński, przez niedźwiedzia rozdarty bartnik Iwan z Matiaszówki, stara wieśniaczka z Zabłocia i niemocą dotknięci bracia Oleszki z Kołpin. Pan Sapięha szlochał jak dziecko. Wojewodzina dygotała w uniesieniu. Ludziom dreszcz świętej grozy podnosił włosy na głowie, parli nieprzytomnie naprzód, byle bliżej. Ciała stały się lekkie i nieczułe, duch je niósł. Po pomocy klęczących darła się z zewnątrz nowa fala, depcząc po głowach, po grzbietach... Gorzały oczy wpatrzone w Bogarodzicę, drżały usta, którymi ogłaszali Maryi — zdrowi swą wiarę i miłość, chorzy swoją nadzieję i wdzięczność. Wał ciał ludzkich spiętrzył się wkoło ołtarza, sięgnął wysokości stali. Za ścianą huczało może zebranego tłumu, zrywały się rozzierające jęki chorych nie mogących dostać się do wnętrza. Mury kołysały się, jak gdyby miały pęknąć pod naporem ramion...

Ponad tą falą ludzką zbitą i skłębioną, bolejącą, dziecinną, szaloną, ponad otchłanią bólu, wiary i nędzy — spoglądały oczy niezgłębione, miłosierne, ogarniające każdego...

Tak oto dnia 15 września roku Pańskiego 1631 Madonna Gregoriańska di Guadelupe, zwana odtąd Matką Boską Kodeńską, obejmowała na długie wieki w miłosierne swe władanie Kodeń, a z nim całą Białoruś, Żmudź, Podlasie, Wołyń, Ziemię Brzeską, Bełzką i Chełmską...

## Rozdział trzynasty

Z kuchennego dziedzińca, gdzie trzepano płaty sukna i kobierce zdeptane tysiącami stóp w dniu intronizacji obrazu, dolatywały takie krzyki i chichoty, że wojewodzina postanowiła położyć im koniec. Na pewno Kryska, pierwsza do swawoli, przekomarza się z Kacprem, pacholkiem Drohojowskich. Nie udało się jednak zająć służek niespodziewanie. Mały Pietrek, kuchcik od wielkiego różna, przez okno zobaczył idącą panią i zdołał w porę uprzedzić. Gdy wojewodzina nadeszła, pacholcy i dziewczęta pracowali już z osobna w gorliwym milczeniu, łomocząc kijami i wznosząc tumany kurzu. Nie mogąc nic rzec, pani przy-

stała na ganku i przyglądała się robocie w milczeniu. Czując jej wzrok na sobie podwajali szybkość uderzeń, wojewodzina jednak myślała już o czym innym, znikoma tylko część uwagi poświęcając temu, co się wokół działo. Nie przyznawała się sama przed sobą, że nurtuje ją niepokój. Pomiedzy nią a uzdrowionym mężem leżała jakaś zapora. Ona, żona, przestała go rozumieć. Dawniej posiadała wpływ, znała każdą jego myśl, czy ją wyjawiał, czy nie, przeglądała na wskroś, zwyczajnie jak żona — dzisiaj zaś, po kilku miesiącach rozłąki, patrzyła niby na nowego, nieznanego człowieka. Nie był ani chorym nieborakiem sprzed podróży, ani niegdysiejszym zapobiegliwym panem, politykiem i gospodarzem. Pomyśleć tylko: pół dnia w kościele spędza, a folwarków dotąd nie objechał, z podstarościami nie gadał! Jakby go to nie obchodziło! Odmienił się... Nie dosyć na tym: wczoraj pan marszałek Drohojowski deklarował się nareszcie oficjalnie o rękę Anusi. Jegomość Mikołaj przyjął deklarację uprzejmie, lecz udzielenie responsu odłożył do jutra (czyli dziś), powiadając, że musi pewne problema gruntownie rozważyć. Wojewodzina nie wzięła zrazu tego do serca, sądząc, że zwłoka jest spowodowana żalem o poprzednie półroczne ociąganie się marszałka, i uśmiechnęła się w duszy pobłażliwie nad męską dumą, co tyle na świecie przyczynia kłopotu. Aliści wieczorem, po pacierzach, mąż przyszedł do jej komnaty. Poznała od razu, że chce jej coś ważnego powiedzieć i nie wie, od czego zacząć. Milczeli kłopotliwie oboje.

— Posłałam gońców do chłopców na rozstawnych koniach ze szczęsną wiadomością o waszym, jegomość, uzdrowieniu i powrocie — zaczęła, by ułatwić rozmowę. („Chłopcami” nazywała obu synów, mężów już dorosłych, żonaty: Kaźmierza, starostę krzepickiego, i Jana, cześnika litewskiego.) — Można się ich spodziewać lada dzień... Jak raz na zrękowiny zjadą...

— Nie wiadomo jeszcze, czy zrękowiny nastąpią — rzekł pan Sapięha. — Muszę wprzód wyjawić panu marszałkowi pewną ważną sprawę...

— Cóż to za sprawa mogąca wpłynąć na waszą odpowiedź? — zapytała, pokrywając żartobliwym tonem zaniepokojenie.

— Jejmość, duszo moja, powinnaś o niej wiedzieć przede wszystkim, lecz ciężko dwa razy to samo powtarzać... Będziemy jutro rozmawiać z panem marszałkiem samotrzeć i bez inkomoduujących świadków...

— W kobiercowej komnatce może? Tam zacisznie.

— Gdzie bądź. Może być i tam.

Odwrocił się, jakby chcąc wyjść i przystanął w progu.

— Anusia sprzyja Staszкови? — zapytał.

— Sprzyja bardzo, aż nadto. Od trzech kwartałów ciągiem ślozy leje z jego powodu...

— Szkoda. Wolałbym, żeby miała chęć do klasztoru.

Wojewodzina skoczyła.

— Do klasztoru, jegomość? Skąd znowu? Czy ona garbata, czy jej wiana brak, czy mamy więcej córek do wydania? Dlaczego do klasztoru!

— Jać jej nie będę namawiał, tylko powiadam, że szkoda. Dobrej nocy życzę jejmości.

— Dobrej nocy wam, jegomość — odparła.

Wyszedł. Ona nie spała całą noc. Co te słowa miały znaczyć, czego chciał?... W pamięci stawały dziwne aluzje w kazaniu księdza kanonika z okazji instalacji cudownego obrazu, których nagabywany później przez nią kanonik za nic wyjaśnić nie chciał. Kobięcym przecuciem wiedziona, doszukiwała się ciągłości pomiędzy nimi a zagadkowym zachowaniem się małżonka. I niepokój jej stawał się coraz silniejszy. Wiele ją więc obchodziło trzepanie kobierców i swawole dwórek z pachołkami!

Słońce już zaszło na drugą stronę nieboskłonu, gdy zasiedli we troje we wspomnianej kobiercowej komnatce. W narożnym sepecie wojewodzina przygotowała zawczasu małmazję, szklanice i domowy marcepan. Aby jeżeli Bóg pozwoli, że wszystko szczęśliwie pójdzie, było czym wypić i przegryźć na zdrowie. Ale wielkiej nadziei na to nie żywiła.

— Sprawy, o których chciałem powiedzieć, są następujące — zagaił pan Sapieha ex promptu. — Cudownego obrazu Madonny Gregoriańskiej nie otrzymałem od Ojca Świętego, lecz wiedząc, iż konsensu nań nie dostanę, porwałem potajemnie i uciekłem... Jakie mogą być konsekwencje — łatwo wnosić...

Marszałek i żona patrzyli, nie rozumiejąc.

— Obraz nie panna... Jakżeś go porywał, Mikołaju?

— Przekupiłem zakrystiana... Wyciął z ramy i przyniósł na moją kwartę... Wyjechaliśmy zaraz, gnając bez popasu...

— Jezusie, Maryjo! Dlaczegoście to zrobili, jegomość?!

— Chciałem, żeby Najświętsza Panna była tutaj — odpowiedział wojewoda i zamilkł. Pojął, że oboje nie rozumieją, o co mu chodzi. Nie rozumieją, choćby mówił cały dzień... „Dlaczegoś to zrobił?” Musiał tak zrobić i koniec.

— To świętokradztwo przecież!

— Owszem. Jestem świętokradcą — przyznał.

— Ale co to ma do Anusi? — zawołała wojewodzina. Jako matce, sprawa dziecka zdawała się najważniejsza.

— Ma bardzo wiele. Mogę być ogłoszony za infamisa, mogę zostać wyklęty... Nie honor Staszкови mieć takiego teścia... Toteż zwalnię cię, przyjacielu mój, z wczorajszej deklaracji.

— Nie cofam jej bynajmniej — zaprzeczył żywo marszałek. — Był opanowanym, statecznym człowiekiem, urodzonym mediatorem i rozjemcą. Nie sądził, by istniały sprawy niemożliwe do uczciwego załatwienia. Historią z obrazem czuł się zaskoczony, ale raczej ubawiony niż przerażony. Cóż za półgłówek z tego Mikołaja! Łeb siwy a szalony! Obraz papieżowi ukradł... Niech go kule biją!

— Nie widzi mi się słusznym — rzekł poważnie — mieszać w dyskusję dwie różne materie. Najprzód załatwimy jedną, potem drugą. Pierwszą jest moja pokorna suplika do ichmościów dobrodziejów moich o rękę ich córki, jejmościanki Anny, dla mego syna Stanisława, którą tu supli-

kę podtrzymuję, ponawiam i o łaskawe udzielenie przychylnego respon-  
su nalegam. Nie wstanę z tego miejsca, ani będę o czymkolwiek innym  
gadał, dopóki odpowiedzi nie uzyskam...

— Zastanów się jeszcze, stary, nad tym, com powiedział...

— Nie widzę w tym nijakiego impedimentu...

— Tedy z radosnego serca, z najszczerzą uciechą skłaniamy się ku  
twojej prośbie, oddając naszą córkę Annę twemu synowi za żonę. Niechaj  
im Bóg błogosławi!

Marszałek podniósł się uroczyście.

— Niechaj im Bóg błogosławi! — powtórzył. — Nic bardziej fortun-  
nego i zaszczytnego nie mogło mnie spotkać... Spełnienie to dawnych  
moich pragnień... Zali mogę pytać, czy jejmościanka Anna podziela  
wolę rodziców?

— Zaraz ją o to zapytamy — odrzekła żywo wojewodzina, kierując  
się ku drzwiom. Była wzruszona, szczęśliwa, oddychała z ulgą.

Lecz pan Sapieha powstrzymał ją ruchem ręki.

— Nie wołaj jej jeszcze, jejmość. Mamy czas. Wiadomo, że młodzi  
sobie sprzyjają... Krzysztofie, druhu miły, zda mi się, że lekceważysz  
to, co powiedziałem: ja ukradłem obraz z kaplicy papieskiej... Mogę  
być obwołany infamisem... Zastanów się!

— Egzagerujesz, Mikołaju, egzagerujesz!... Do infamii nie dopuścimy,  
do klątwy też... Od czego głowa na karku... Juźci, czekać beczynninie  
nie można. Wykoncypujemy pismo do Króla Jegomości, do nuncjusza  
i do samego Ojca Świętego. Ofiarę hojną złożysz, ułagodzisz...

— Nie tak łatwo — mruknął pan Sapieha. — Ojciec Święty musi  
być strasznie rozeźlony...

— Synowca biskupem masz, niech jedzie przeproszać... Wołajmy mło-  
dych, jejmość dobrodziejko... Nie frasujże się już, Mikołaju... W najgor-  
szym razie, jeżeli Watykan się uprze, oddasz obraz i sprawa upadnie...

— Nie oddam za nic! — krzyknął pan Sapieha takim głosem, że mar-  
szałek spojrział na niego zdumiony.

List do Ojca Świętego, starannie obmyślony i wykoncypowany przez  
marszałka, wojewodę i kanonika Boćkowskiego brzmiał jak następuje:

„Wasza Świętobliwość, Najdostojniejszy Ojciec Święty i Pasterzu! Naj-  
pierwszy pod słońcem Majestat pierwsze ma zawsze w estymacji mojej  
miejsce. Namiestniczą Chrystusa Pana na ziemi powagę czczę jednostaj-  
nym i nieosłabłym poszanowaniem. Zaiste, byłbym chyba w sprośnej  
wychowany barbarii, mlekiem dzikich zwierząt wykarmiony, gdybym  
się odważył tyle łask od Świętobliwości Najwyższej doznawszy, nie-  
wdzięcznością je odplacić. Świadkiem mi jest sam Bóg, że nie chcia-  
łem nic Kościołowi ni Najwyższej Jego Głowie ubliżyć — owszem, honor  
Obojga nad fortunę, nad krew własną jest mi droższy. Nie taję, że po-  
stępek mój mógł się wydać szkaradnie gorszącym, lecz zaprawdę z po-  
bożności był popełniony — nie z dobrowolnej niecnoty; z gorliwości —

nie zuchwałości; z usilnego pragnienia, nie z łakomstwa podłych zysków szukającego. Chciałem, miłością wielką do Najświętszej Paniienki przejęty, z fortuny mojej jakowąś uczynić ofiarę i Boską Jej prezencją nową świątynię w dziedzicznym mieście moim Kodniu fundowaną przyozdobić.

Racz zważyć, Wasza Najdostojniejsza Świątobliwość, że nie jest to pierwszy, bez poprzedniego przykładu, postępек. Drogą, którą się puściłem, wielu śmiazków raniej kroczyło, a nigdy żaden błędu swego nie żałował. Wspierają mnie w tej materii godne wiary Monumenta Kościelnych Dziejów. Pomnę, że roku Pańskiego dwudziestego, wieku dziewiątego, dziesięć weneckich okrętów zapędzonych przeciwnym wiatrem wpłynęło do portu aleksandryjskiego. Między marynarzami weneckimi dwóch było nad innych przedniejszych, za przykład służących obyczajem. Zwali się Bonus i Rusticus. Ci dwaj codziennie pryncypalny kościół nawiedzali i zdeponowane w nim ciało świętego Marka Ewangelisty specjalnym nabożeństwem czcili. Gdy czas odjazdu nadszedł, święte zwłoki pod faworem nocy na brzeg zanieśli i na okręt potajemnie władowali. W rodzinnej Wenecji przyjęci byli jako drudzy Jazonowie. Nigdy by podobnego powitania nie doznali, choćby ze złоторodnych insul nawy pełne kruszcu przywiedli! A któż dotąd w alterkacje z wolną Rzecząpospolitą wenecką z racji posiadania tego skarbu wchodził albo się o zwrot upominał?

Racz udzielić łaskawego ucha dalej, Wasza Świątobliwość! Konterfekt Najświętszej Panny Messaneńskiej, Pocieszenia zwany, z góry Synaj potajemnie wzięty został do Sycylii, by tam większy hołd odbierał... Statua Madrytańska, zwana Dobrej Opieki, z kaplicy skrycie przez zakonniką Kordonariusza wykradziona została i do kościoła reguły jego sprowadzona. Pomnę jeszcze, co piszą kroniki Kościółła, że roku Pańskiego 969 biskup Metz Teodoryk wyrwał okowy świętego Piotra z rąk papieża Jana XIII, wołając, że raczej mu ręce utną, niżli je wypuści. Po czym spór między papieżem, a biskupem rozstrzygnął cesarz Otton, oddając Teodorykowi dwa ogniwa łańcucha świętego.

Niechaj mnie Bóg zachowa, żebym miał za tym przykładem do innej jakowej instytucji od wyroku Najdostojniejszego Majestatu Piotrowego apelować. Zacytowałem one fakta na dowód, że wziętek mój, choć karygodny, nie był pierwszy i jako tamte odpuszczenie otrzymały, tak i ja odpuszczenia się spodziewam i najpokorniej o nie z synowskim posłuszeństwem błagam.

Dobrowolnie ofiarowuję się w ekspiacji mego czynu rok wieży odsiedzieć, bazylikę w Kodniu wystawić i pielgrzymkę pieszą do Rzymu odbyć. Wszelkie ofiary i daniny, jakie Najdostojniejsza Świątobliwość naznaczyć raczy, z radością złożę i jeszcze przyczynię. Każdy rozkaz i cenzurę bodaj najsurowszą wykonam, prócz jednej rzeczy: oddania świętego obrazu.

Na zbawienie mej duszy przysięgam, że nie masz w kraju bardziej oddanego Kościołowi sługi niż ja — ale tego nie uczynię, i pókim żyw, nikt Madonny z Kodnia nie ruszy.

Wasza Świętobliwość! Najdostojniejszy Ojczy i Pasterzu! Pozwól mi otworzyć serce i wypowiedzieć całą myśl! Przywiózłszy do Kodnia Madonnę, obawiałem się, iż Bóg zagniewany na mnie odbierze dar mocy, łaskawie Wizerunkowi przed wiekami przysądzony. Kajałem się w trwodze i żalu. Proch nie czuje się tak marnym, jako ja się czułem. Lecz oto, za Bożym zrządzeniem, pierwszego zaraz dnia siedmioro ludzi mocno na zdrowiu poszwankowanych cudownie do sił powróciło! Wśród uleczonych był znachor, poganin, potajemnie bałwana czczący, którego w dniu przybycia obrazu w zadziwiających okolicznościach wzrok stracił, a w tydzień później za sprawą Najświętszej Panny odzyskał. Ze wzrokiem ciała odzyskał wzrok duszy, nie masz bowiem dziś wierniejszego nadeń sługi Kościoła! Zdarzenie to nie jest symbolem racji pozostawiania tu Najświętszej Panny? Wasza Świętobliwość! Rzadko mijają obecnie dzień w Kodniu bez nowego cudu! Dwanaście niedziel zaledwie, jak Madonna instalowana jest tutaj, a wotów na Niej więcej, niżli było w Rzymie! Jaśniej znowu pozłocista od dowodów miłości i wdzięczności ludzkiej. Nigdy od zarania wieków tak umiłowana nie była, tak czczona! Raczej wierzyć, Wasza Świętobliwość, Najdostojniejszy Ojczy i Pasterzu, że nawet gdybym ja sam człek nieszczęsny znikczemniał do tyła, by ustąpić i na zabranie obrazu zezwolić — tedy wstanie cała Litwa, by swojego Skarbu bronić. Nie moja to już wola i nie moja własność. Kraj mój barbarzyński i prosty, lecz wdzięczny i Boga serdecznie miłujący, wziął Ją za Patronkę i Królowę swoją i nie da odebrać nikomu. Jakiekolwiek by w tym zadysponowały wyroki — nie zabierze nikt Obrazu z Kodnia bez srogiego krwi przelewu. Zali nie straszliwą rzeczą byłaby podobna walka? Tedy ulituj się nade mną, Ojczy Święty, Namiestniku Chrystusowy — Chrystusowe miłosierdzie okazał! Raczej zważyć w mądrości swojej, że skoro nie cofnąłem się przed groźbą gniewu Bożego i wiecznego potępienia, jakóż ustąpię przed ludzkim naleganiem albo cenzurami?..."

— Salomon by lepiej nie napisał — zapewnił kanonik, z satysfakcją odczytując ukończoną epistolę. — Przytoczone argumenta wzruszyłyby granitowe serce nawet, a cóż dopiero ojcowskie!

Marszałek Drohojowski podzielał to zdanie, biskup wileński, Aleksander Sapięha, mający osobiście do Rzymu ze stryjową supliką jechać, był również dobrej myśli. Wierzył w swoje talenta dyplomatyczne i umiejętność obejścia z ludźmi.

— Wiele jegomość stryj dobrodziej gotów jest przeznaczyć grosza na tę sprawę — zapytał przed wyjazdem poufale — jeżeliby trzeba kardynałów sobie pozyskać wysoką ofiarą?

— Wszystko, co mam, oddam — odparł bez wahania wojewoda. — Wszystko.

— Powoli, stryjaszku dobrodzieju, powoli. Z czegoż jegomość dobrodziej będziesz żył?

— Boża to troska, nie moja. O Panne Najświętszą będę się targował?! A toć cały Kodeń jednego Jej palca niewart!

— Słuszna, słuszna — przyznawał półgębkiem biskup i po cichu zasięgał rady marszałka Drohojowskiego, jako bardziej rzeczowego.

— Bogać mi — odpowiadał przyszyły teść Anusi — rozumiem pobożność, ale rodu rujnować nie wolno...

— Ja też tak myślałem — stwierdził z ulgą biskup. Użalał się przy tym, że szaleństwo stryja zmusza go do podróży w tak nieodpowiedniej porze, na jesień. — Ha, cóż począć? Trzeba.

Wojewodzina także była zatroskana. Pragnęła, by wesele Anusi odbyło się w zapusty, nie widząc racji odwlekać. Wojewoda się sprzeciwił stanowczo, postanawiając czekać z wydaniem córki do powrotu biskupa wileńskiego z Rzymu.

— Wszakże marszałek Drohojowski powiada, że jedno do drugiego nic nie ma! — protestowała małżonka.

— Na razie jeszcze ja stanowią o córce, a nie pan marszałek.

Na takie dictum nie zostawało nic innego jak pokornie zmilczeć i do tego tematu nie wracać. Wojewodzina trapiła się w cichości sama. Odżyło poczucie dojmującego niepokoju, zrodzone wnet po powrocie męża. Nieomylny instykt matki wyczuwał niebezpieczeństwo grożące jej bliskim. Spoglądała na Anusię rozśpiewaną, szczęśliwą, dziergającą w gronie dworek koroneczki do wyprawy, i serce jej się ścisnęło. Gdybyż mogła tę swoją pieśczochę widzieć już zamężną, bezpieczną! Ale zwierzyć się z tymi troskami mężowi nie mogła. Niemało udręki dodały jej również opinie synów. Starosta krzepicki oraz cześnik litewski spędzili świeżo kilka tygodni w Kodniu. Przed wyjazdem prosili matkę, by uważała na ojca.

— Wszakże — mówili — wystarczy pobyć z nim krótko, by poznać, że jego zdrowie umysłowe jest zachwiane...

Gdy takie myśli i niepokoje zaprzętały dom Sapiehów tej jesieni — w kościele kodeńskim królowała Pani Miłosierdzia. Słowa, które wojewoda pisał w liście do Ojca Świętego, nie były przesadą. Nad Kodniem rozjarzyła się ulewa cudów. Łaska Boża tym obficie się udziela, czym ufniej i usilniej o nią kołatać. Któż zaś mógł prosić ufniej i usilniej niż ten lud podlaski, dobry, dziecinny i prosty? Więc Łaska płynęła nieprzerwaną strugą. Można by sądzić, że moc cudotwórcza przyznana obliczu Maryi gromadziła się wokół obrazu, długie lata nie wykorzystywana w papieskiej, mało dostępnej kaplicy, i teraz lunęła olśniewającym strumieniem. Ksiądz kanonik Boćkowski, dbały o chwałę Matki Bożej, zapisywał starannie wszystkie uzdrowienia i łaski szczególne za pośrednictwem Madonny Gregoriańskiej otrzymane. Gdy ludzie wzruszeni, noszący jeszcze na sobie widoczne stygmaty cudu, składali swe nieudolne zeznania, kanonik przypominał im, że obraz przewieziony został wśród wielkich niebezpieczeństw (nie określał bliżej — jakich) przez wojewodę brzeskiego. Wtedy ich serca wzbierały wdzięcznością dla pana i najszczęśliwszym błogosławieństwami spływały na jego głowę.

On sam zaś, Mikołaj Sapieha o przydomku Pius, zelator, czciciel i świętokradca, spędzał codziennie długie godziny w kościele wpatrzony

w cudowne oblicze i wtedy czuł się spokojny i doskonale szczęśliwy. Natomiast tuż za progiem kościelnym opadały go kłopoty nie tylko osobiste, nie tylko niepokój o decyzję Ojca Świętego. Cierpiał od natłoku myśli dawniej mu nie znanych. Odczute bezpośrednio po uzdrowieniu wrażenie rozszerzenia się pojemności duszy i umysłu nie ustępowało, będąc jak gdyby konsekwencją cudu. Pan Sapieha nie zdawał sobie z tego jasno sprawy, lecz dziwił się ciągle w duchu, że tylu rzeczy dawniej nie zauważał, rzeczy, które obecnie były go w oczy swoją niesprawiedliwością lub głupotą. Ustrój panujący na świecie, w którym poprzednio czuł się niby ryba w wodzie, nad którego słusnością nigdy się nie zastanawiał — zdawał mu się teraz mało chrześcijański i zarazem nietrwały, nie trzymający się kupy. Czegoś w nim nie dostawało... Czego?... I tego nie wiedział, a ugadać się na ten temat nie miał z kim. Czasem przypominały mu się gorzkie proroctwa kardynała Barberini, że naród polski zginie z braku posłuszeństwa... Posłuszeństwo? Dawny Sapieha byłby wzruszył ramionami, posłuszeństwo bowiem jest uchycieniem wolności urodzonego człowieka, wolności będącej źrenicą oka każdego Polaka. Dziś nie otrząsał się z pogardą, na to słowo wciąż jeszcze niezrozumiałe, ale rozmyślał nad nim. Możliweż to — pytał sam siebie — by brak posłuszeństwa był wadą najbardziej nam wytykaną przez Ojca Świętego? Toć to nie wada, a cnota, cechująca wolnych mędzów... Możliweż, by Ojciec Święty to właśnie nam ganił?...

## Rozdział czternasty

Wymowny list wojewody, misja dyplomatyczna biskupa wileńskiego Aleksandra Sapiehy — nie odniosły oczekiwanego skutku i nie złagodziły zapalczywego resentymentu papieża. Urban VIII trząśnięty nadal z pasji, ilekroć wspomniano przy nim postępek dzikiego Sarmaty, Aleksandra Sapiehy nie chciał wcale przyjąć, domyślając się w jakim celu przybył. Przebaczył Baptyście, rozumiejąc, iż reprezentuje on tylko mało odpowiedzialne narzędzie — nie zamierzał bynajmniej przebaczyć zuchwałemu magnatowi, który był inicjatorem i promotorem zbrodni. Chyba, chyba żeby go widział na stosie...

By samemu sobie nie dopuścić zapomnienia, papież nie pozwolił ruszać okradzionego ołtarza. Porwany obraz nie został zastąpiony innym. Ilekroć przed mszą papieską następcą Baptysty podnosił zasłonę, widok gołej ściany uderzał oczy, ścisnął serce, budził nie ostygły gniew.

Znacznie wcześniej, zanim biskup wileński stanął w Rzymie, papież przez nuncjusza domagał się sprawiedliwości u króla polskiego. Żądał, by Zygmunt Waza jako katolik, wierny syn kościoła, ukarał należycie niesłychaną zbrodnię i pomścił zniewagę Stolicy Apostolskiej wyrzą-



dzoną. Świętokradca winien natychmiast zrabowaną świętość zwrócić i pokutę surową odbyć, w przeciwnym razie zostanie ukarany na gardle i ogłoszony infamisem.

Nuncjusz Diotallo sumiennie zlecenie wypełnił i niestrudzenie instygował majestat monarszy, skutku jednak żadnego nie odniósł. Król Zygmunt najszczerzej dzielił oburzenie przedstawiciela Watykanu, ubolewał ze zgrozą nad tym, co się stało, lecz nie obiecywał zadośćuczynienia woli papieskiej. Zadośćuczynić jej bowiem nie mógł. Po pierwsze: według praw Rzeczypospolitej tylko Sejm mógł pozwać Sapiehę o zbrodnię *in exterioribus*, poza granicami kraju popełnioną, zważywszy zaś popularność rodu Sapiehów i niechęć do Watykanu, szerszoną przez innowierców, można było snadnie oczekiwać, że Sejm raptuśnika uniewinni. Po drugie, nawet bez tej okoliczności egzekutywa króla była żadna. Przypuśćmy, że król zasądzi wojewodę brzeskiego i każe mu zwrócić skradzioną Madonnę, a wojewoda brzeski wyroku królewskiego nie posłucha. Co wtedy? Oblegać go w Kodniu? Narazić się ponownie na klęskę wojny domowej, na przeżyte niedawno upokorzenia?... O, nie, miał tego dość. Teraz, gdy był stary i chory, okryty świeżą żałobą po śmierci królowej, gdy czuł, że niebawem przyjdzie mu zdawać sprawę ze swego panowania, już nie przed zbuntowanymi poddanymi, lecz przed Sędzią królów — Zygmunt III zaczynał uświadamiać sobie liczne błędy swoich rządów i rozumieć, że nie był dobrym włodarzem dla kraju, który posiadał z łaski Bożej i woli narodu. Dopiero teraz, u kresu dni, poznawał to plemię, z którym dotychczas dogadać się nie umiał, i żałował, że w wielu wypadkach postępował tak, a nie inaczej. Lecz przeszłości odmienić się nie da.

Nic dziwnego zatem, że stary, smutny król, zbywał milczeniem codzienne nuncjuszowe zapytania o cenzury wdrożone już przeciw Sapieże. Popędliwy Italczyk oburzał się na tę obojętność, głośno oskarżając króla o nieczułość na krzywdę wyrządzoną Kościołowi, na koniec wreszcie napisał otwarcie do Ojca Świętego, że z tej strony żadna pomoc w odebraniu obrazu nie przyjdzie.

Ten ostatni raport nuncjusza Diotallo sprawił, że biskup wileński, bywwszy w Rzymie, papieża nie widział. Młody dostojnik nie skapitulował od razu, usiłując otrzymać posłuchanie u kardynała padrone, i tu jednak spotkała go odmowa. Wprawdzie Francesco Barberini nie pałał taką jak papież nienawiścią do Sapiehy, nadal siebie uważając za głównego, choć nieświadomego winowajcę, ale w ogóle nie widywał nikogo. Jak informowano biskupa wileńskiego w papieskiej antykamerze, od czasu nieszczęścia z obrazem kardynał padrone zmienił się nie do poznania. Przestał zajmować się polityką i sprawami Państwa Kościelnego. Chciał wstąpić do zakonu świętego Benedykta i tylko wola Ojca Świętego wstrzymała go od tego kroku. Aczkolwiek nie był w zakonie, żył jednak jak mnich, modląc się, poszcząc i pokutując. Aleksandrowi Sapieże w odpowiedzi na pokorną prośbę o audiencję kazał rzec, iż nikt

na świecie podobnej krzywdy bliźniemu nie wyrządził jak Mikołaj Sapieha jemu, że przebacza mu jednak i modli się o zbawienie jego duszy. Fosłannikowi zaś radzi gorąco wyjeżdżać z Italii co szybciej, zanim baronowie znieawidzone nazwisko posłyszą. „Słuszna bowiem zawziętość ku rabusiowi jest w narodzie italskim tak wielka, że nawet suknia kościelna może nie osłonić Waszej Miłości przed czynną zniewagą...”

Na takie dictum Aleksander Sapieha złożył broń i nie próbując dalszych starań, powrócił do Polski. W drodze doszła go wiadomość o śmierci króla. Odetchnął. Rozpoczynające się bezkrólewie zapewniało, jego zdaniem, stryjowi całkowite bezpieczeństwo. W zamęcie walki o tron kto będzie miał głowę myśleć o obrazie? Sam Ojciec Święty zapomni, zaprzątnięty popieraniem miłego Kościołowi kandydata.

Tak też referował sprawę rodziny zebranej w Kodniu.

— Nie słyszałeś, Olku — zapytał pan Mikołaj — co się stało z onym zakrystianem papieskim, który mi obraz wydał?

— Słyszałem, owszem — odparł biskup. — Dał się pono wnet pojmać i spalony został...

Urban VIII nie należał do tych, co zapominają. Straciwszy wszelką nadzieję prawnego odzyskania obrazu, klątwę na zbrodniarza rzucił i za ekskomunikowanego w całym chrześcijaństwie ogłosił.

Z rozkazu kurii rzymskiej obwołano tedy po wszystkich metropoliach, arcybiskupstwach, kapitułach, dziekaniach i najdrobniejszych nawet parafiach wioskowych, że księżę litewski Mikołaj Sapieha, przewiska Pius, herbu Pogoń, Kolumna, Lelija i Lis, comes na Kodniu, wojewoda brzeski etc. jest obłożony klątwą wieczystą i przez Kościół za umarłego uznany. Że wzbronione jest mu Imię Boga, Sakramenta święte, wstęp do kościoła i obcowanie z wiernymi, a po śmierci w poświęconej ziemi odpoczynek. Nieużyteczne modlitwy niczyje, niedostępna Łaska Boża. Że wyłączony jest po wieki ze społeczności chrześcijańskiej — zaś żona jego ma być rozumiana jako wdowa, dzieci jako sieroty, a dom jako pusty...

— Przegraliśmy!... — zawołał marszałek Drohojowski, wpadając do komnaty. Utrata zwykłego spokoju dowodziła, jak bardzo był wiadomością wstrząśnięty. — Przegraliśmy. Papież, jucha, postawił na swoim... Myślałem, że się nie odważy... Elekcja za pasem, a on się w klątwę zabawia jak niegdyś...

— Właściwie nie powinieneś ze mną mówić — mruknął wojewoda. Siedział posepny i nagle postarzały.

— Faramuszek! Nie przestałeś być moim druhem dlatego, że Rzym swoje pokazuje... Przegraliśmy, więc trzeba radzić. Kiep traci ducha wobec porażki. Co teraz wypada czynić? Zdaje mi się, że innego wyjścia nie ma, tylko ukorzyć się i obraz oddać...

— Mnie się też widzi tak samo... — wtrącił nieśmiało kanonik Boćko-

wski. — Trzeba ukorzyć się i oddać... A ja właśnie wczoraj setne uzdrowienie do mojego rejestru wciągnąłem...

Odwrócił głowę, by nie widziano łez, które stanęły mu w oczach na samą myśl, że przyjdzie własnymi rękoma Madonnę z ołtarza wyjmować.

— Setka cudów... Nie przelewki! Rozumiem twoją żalność, Mikołaju... Boć to nie tylko wielkie profita dla wiary świętej, ale i dla Kodnia splendor niemały... Szkoda się go pozbyć... Szkoda... Ale głową muru nie przebijesz... Musisz oddać...

Wsparta czołem o pulpit kłęcznika wojewodzina płakała gorzko. Straszna nowina uderzyła w nią obuchem. Wiedziała teraz, skąd brały się przecucia trapiące ją od trzech kwartałów, skąd ta świadomość grożącego nieszczęścia. Zaprawdę, takiego jednak ciosu nie była w stanie przewidzieć! Ludzie nazywają nieszczęściem śmierć, chorobę, pożar, kłactwo, utratę dóbr... A cóż to jest wobec niedoli, która ninie na Kodeń spadała?! Mąż, gospodarz, pan — wyklęty. Żona pozostaje dzieckiem Bożym — mąż przestał nim być. Jest potępiony. Utracił Anioła Stróża. Nie zbawią go najlepsze uczynki, najsroższe pokuty, bo nikt ich nie przyjmie, nie spisze, nie zauważy... Niebo odwróciło się od wyklętego, pozostaje on w mocy szatana. Każdej chwili Zły może go porwać jak swego, bo nikt i nic go nie broni... Już jej, żonina, modlitwa, już niczyja modlitwa mu nie pomoże. Stoi jak gdyby w innym świecie, poza nieprzeniknioną ścianą. Jak się taka straszliwa rzecz mogła stać? Białogłowski umysł mącił się wobec niepojętej dwoistości. Ukochany mąż, wyróżniony przez Najświętszą Pannę cudem, kroczący w świętej glorii, wśród błogosławieństw w dniu intronizacji obrazu, i grzesznik wyklęty, własność szatana stanowiący — to jedno? Któraż z tych dwu postaci jest rzeczywista, istotna? A może wszystko jest tylko złym snem, z którego się lada chwila przebudzi?

Lecz przebudzenie nie następowało, natomiast do komnaty matczynej wsunęła się nieśmiało Anusia. Kłęczała obok płaczącej i lała łzy razem z nią. Nie rozumiała wprawdzie dobrze, na czym polega klątwa, lecz czuła instynktownie, że w tym słowie kryje się coś okropnego. Na poły dziecinne serduszko ścisnęło się trwożnie. Gdy zwykły człowiek klnie człowieka, to źle i niebezpiecznie, a cóż dopiero gdy klnie sam Ojciec Święty?... Uchowaj Boże! Co to będzie? Co to będzie?... A przyrzeczony jej, Staszek?... A ich zaślubiny?... Kiedy się teraz odbędą?... Oj, słusznie nalegała jejmość pani matka, żeby je w zapusty odprawić...

Narada rodzinna odbywała się w ściśle familijnym gronie: brat wojewody, Hieronim, kasztelan połocki, syn jego, biskup wileński Aleksander, obaj wojewodzice — Kaźmierz i Jan. Wojewodzina dopuszczona była również (tam, gdzie sprawy dotyczące domu są roztrząsane, żona ma prawo asystować) oraz kanonik Boćkowski.

Brakło tylko tego, który był przedmiotem narad, więc mówiono o nim, jak się mówi o nieboszczyku, nie biorąc jego zdania w rachubę. Decydowano za niego. Pomimo że żył i siedział o parę izb dalej, w narożnej komnacie.

— Mówiłem już — zagaił marszałek, urodzony mediator — że nie ma przyczyny rozpaczać i egzagerować. Mikołaj nadto jest skłonny do egzageracji, co już kiedyś na tym miejscu powiadałem. Klątwę papież rzuca, klątwę papież znosi i do swoich łask na nowo powołuje. Nie wątpię, że to uczyni, byle Mikołaj dał się przekonać i obraz Madonny zwrócił. Im prędzej tę sprawę przeprowadzimy, tym dla tego domu lepiej.

Hieronim Sapieha przytaknął tym słowem. Rzecz była jasna. Jedyną przeszkodą stawał się, jego zdaniem, ekstraordynaryjny upór Mikołaja, który, nawet wyklęty, nie chciał się z obrazem rozstać...

— Ten upór podobny jest do opętania — zauważył półgłosem Aleksander.

— Ejże, Wasza Wielbność! Gdzie tu opętanie, gdy co dzień cuda się dzieją?...

— Diabeł dla zgubienia jednej duszy dopuściłby uratowanie stu, bo tyle już rejestr zawiera...

— Jegomość mój małżonek nie zgodzi się na oddanie obrazu. Wiem to na pewno...

— W opętanie nie wierzę, ale w chorobę. Słabość wyszła z jednych członków, a opanowała drugie... Mniemam, iż winniśmy traktować biednego mego brata jak człowieka chorego... Ciężko chorego...

— Najszluszniejsza to opinia...

— Tak jest. Do czego ją kieruję: pacjent złożony niemocą nie stanowi sam o sobie. Lekarze i przyjaciele dobierają leki i kurację właściwą stosują. Cne nasze gniazdo zagrożone jest klęską, skandalem... Zali mamy do tego dopuścić? Zali nie naszym obowiązkiem ratować ród, choćby wbrew woli chorego?

— Jegomość stryj słusznie prawi — stwierdzili równocześnie Kaźmierz i Jan Sapiehowie.

Wojewodzina kręciła przecząco głową.

— Mikołaj umarłby z tego — zapewnia. — Żyje tylko miłością do Matki Bożej w tym wizerunku wyrażonej... Myśl jegomości dziewierza jest dobra, ale wykonanie jej może stać się przyczyną nowego nieszczęścia, nawet krwi przelewu... O, nie daj tego, Boże!

— Nie można by chorego jakoś odosobnić... Żeby nie mógł przeszkodzić... W razie potrzeby — zamknąć?...

— Jak jegomość dziewierz sobie to imaginujesz?... A toć by wprzód wszystkich rozniósł!

— Skoro moja inwencja zła, czekam na lepszą, słucham...

— Ależ ja nic nie wiem! O Boże mój, Boże!

— Pokornie submituję o głos — odezwał się starszy wojewodzie, Kaźmierz. Był milczek, ścichapek. Wrócono mu, dużą przyszłość, gdyż

umiał nakierować wypadki po swojej myśli albo swoje myśli do wypadków.

— Oddanie obrazu — zaczął — uważam za rzecz ostateczną, a to zarówno dla afektu jegomości pana ojca, któremu nie chciałbym gwałtu zadawać, jak dla rozgłosu, jakiego Kodeń przez owe cuda a pielgrzymki nabiera w kraju... Obraz jest bardzo cenny, czego dowodem invidia papieska nie cofająca się przed najsroźszą karą — któż zaś lękce, z dobrowoli cenną rzecz oddaje?... Szukajmy sposobu rewokacji klątwy bez oddawania Madonny. Ja taki sposób widzę: Jego Świątobliwość Ojciec Święty postąpił nieostrożnie, odtrącając od siebie najwierniejszy ród, i to w dzisiejszych czasach, dla Rzymu nieprzyjaznych. Tuszę, iż jeśli przekonamy jegomości dobrodzieja pana ojca, by postawił nuncjusza przed alternatywą: cofnięcie klątwy lub przejście całego domu Sapienhów wraz z ich adherentami do obozu dysydentów — skutek będzie niezawodny. A toć by w Senacie katolicy i różnowiercy stanęli prawie na równi. Do tego Rzym nie dopuści!

Spojrzeli na niego wszyscy z podziwem. O, to głowa! To głowa! Młody a tak chytrze wymyślił.

— Jako biskup potępiam ten projekt — rzekł Aleksander — jako krewniak aprobuję. Gotówem nawet objechać familiantów, zapewniając, że jeno o fortel strategiczny chodzi, z którego zawczasu rozgrzeszam...

— Byle jegomość Mikołaj się zgodził!

— Nie zgodziłby się?! Ratunek mu podajemy: zdjęcie klątwy, a zachowanie obrazu...

— Boję się, boję się, że będzie żywił skrupuły... On jest skrupulat...

— Jejmość dobrodziejko, pani matko! Nie ujmuję, broń Boże, czci powinnej rodzicowi, wszakże skoro jegomość pan ojciec nie okazał zbytnich skrupułów, zabierając podstępem obraz z papieskiej kaplicy, nie powinien ich demonstrować obecnie...

— Słusznie, Kazik, dobrze prawisz. Chodźmy, jejmość bratowo, do Mikołaja, by go o naszej rezolucji powiadomić.

Wyklęty siedział sam jeden w narożnej komnacie, którą sobie upodobał i kreował na dobrowolne więzienie, gdyż nie opuszczał jej wcale. Drzwi zawierał, otwierając po długich prośbach i tylko żonie. Potrzebował tego osamotnienia, by uporać się z nieszczęściem, jakie nań spadło. Wprawdzie niejednokrotnie w ubiegłym roku myślał, że papież może go wykląć. Co innego jednak myśleć o czymś strasznym, a co innego spotkać się oko w oko. Co innego słuchać, że wyklinano ongi wiarolomnych cesarzy, zbójów bez sumienia, heretyków, wzbraniano im chleba i soli, ziemi i Boga, a co innego znaleźć się w ich gronie. Wyklęty — znaczy wyłączony, oddzielony, nie należący do wspólnoty Bosko-ludzkiej. „Kościół — mówił kiedyś kardynał Barberini — jest ciałem, którego głową sam Chrystus Pan... On swymi członkami kieruje.” Wyklęty

nie stanowił już członka tego świętego zbiorowego ciała. Był uschlłym badylem, odcięty, by być w piec wrzuconym. Z początku mimo zakazu usiłował modlić się. Wprędce poznał, że modlitwa, choćby najgorliwsza, wraca ku niemu bezsilna, niezdolna przebyć jakiegś niewidzialnej zapory. Poczłł się jak więzień w lochu, co woła pomocy i nikt nie broni mu tego wołania, lecz ono nie dojdzie do nikogo i odbite o grube sklepienie powróci tylko do uszu wołającego. Zaprawdę, choć przydomek Pius nosił, nie wiedział dotąd, że obecność Boga aż tak wielkie w duszy człowieczej miejsce zajmuje, brak jej zaś jest tak nieznośnym uciskiem. Teraz dopiero ogromem owego braku zmierzył wielkość Bożą i wszechmocną dobroć, wypływające stąd pokój, bezpieczeństwo i dzielność. Przynależność Bogu, tak doskonale duszy chrześcijańskiej przyswojona i wespół z nią zrosnięta, że człowiek jej nie czuje, jak nie czuje rozkoszy widzenia, dopiero gdy wzrok utraci — rozdziera serca przez swą nieobecność. Każda rzecz przywoływała pamięci wspomnienie klątwy. Widok drugiego człowieka, wszelki szmer i słowo. Chwilami czuł się niby pod dzwonem szklanym, bezpowietrznym, podobnym temu, który swojego czasu pokazywał Otto Goericke, uczony magdeburgski mistrz. Ogarniało go uczucie pustki, w której nie było żadnego oparcia. Pustki, przed którą drży z lęku natura i on drzał w okropnej samotności swojej. Gdyby umiał wyrazić słowami swój stan, rzekłby, iż tam, gdzie nie ma Boga, trwa nieustanny lęk. Bał się. Bał się larw piekielnych, które w każdej chwili mogły zapełnić otaczającą go próżnię. Wszak znajdował się w ich mocy. Kapłan mówił kiedyś nad nim egzorcyzmy wyzwalające chrześcijanina spod władzy szatana, stanowiące niezniszczalne wrota chrztu, lecz dla wyklętego wrota te już nie istniały. W nocy budziła go nie znana trwoga. W trwodze dłoń sama podnosiła się, aby nakreślić znak krzyża, i opadała, gdyż on już nie miał prawa znaku tego czynić. Był ekskomunikowany, czyli pozbawiony wszelkiej łączności ze światem wiernych i ze światem dusz zbawionych. Święte Imiona, znajome słowa pacierza, którymi salwuje się zabłąkany człowiek, były dlań martwą literą, którą na próżno wymawiały drżące wargi.

Czuł się niższy od bydłęcia, od stworzenia niemego, którego ścierwo ziemia przyjmie i rozprzęgnie bez śladu. On nie zniszczeje, nie przerodzi się cały w kwiaty czy zioła. Dusza wyklęta tułać się będzie po śmierci bez spoczynku i wytchnienia.

Choć myśli te snuł sam jeden, nie spowiadając się z nich nikomu, w całym domu odczuwało się ich wpływ. Nie tylko rodzina, lecz dworzanie, pokojowcy, pacholcy i dziewczki kuchenne snuli się niemrawo bez zwykłych śmiechów i śpiewek. Nie było to obleśne, udane współczucie, fałszywa powaga towarzysząca zazwyczaj każdej żalobie pańskiej, lecz rzeczywisty, głęboki niepokój. Życie toczyło się w zamku niby w nawiedzonym domu, w którym w każdym momencie pojawić się może upiór. Dawne poczucie bezpieczeństwa i pewności znikło przez sam fakt,

że w narożnej wieży zamknięty na cztery spusty siedział samotny człowiek, którego oddzielono od Kościoła.

Parę razy dziennie wojewodzina stuknęła do zamkniętych drzwi. Za nią pacholek niósł tacę zastawioną jedzeniem. Przyniesione potrawy ledwo naruszone zabierano z powrotem i żona lamentowała, że mąż się zamorzy.

— Bo żebyście, jegomość, wyszli z tej komnaty... Z nami razem do stołu zasiedli... Zaraz by chęć do jadła wróciła... — usiłowała namawiać jak niegdyś.

— Oszalałaś jejmość — odpowiedział krótko. Wojewodzina zaś kiwała smutnie głową, uprzytamniając sobie, że głupstwo powiedziała. Zasiąść zwyczajnie, jak dawniej, do stołu? Wszakże to on, głowa rodziny, przed posiłkiem zegnał stół znakiem krzyża świętego i prosił Boga, by pobłogosławił dary, które z łaski opatrznosci spożywane będą... Jakoż to uczyni teraz?

Wzdychała, chciała powiedzieć jakieś dobre słowo, by swojego nieboraka pocieszyć, i znowu gryzła się w język. Cokolwiek przychodziło jej odruchowo na myśl, opierało się o Boga. Kojące stwierdzenia: „Bóg jakoś odmieni... Wola Boska... Da Bóg, że będzie lepiej... W Bogu nadzieja... Bóg mierzy wiatr... U Boga wszystko możliwe...” — nie miały już w stosunku do jej męża zastosowania. Zakrawały na szyderstwo. I bliiska płaczu, nie wiedząc, co rzec, z ulgą opuszczała komnatę.

## Rozdział piętnasty

Myśli wyklętego nie były jednak wyłącznie myślami udręki i żalu. Wojewoda brzeski nie czuł się nigdy jagnięciem potulnym ani mnichem pokornym. Jego dumna książęca krew nie zwykła ulegać komukolwiek, burzyła się i pieniała na to, co sądził być niezastudzoną krzywdą. Papież, jego zdaniem, niesprawiedliwie postąpił, nie miał prawa tak postąpić, powinien swojego postępkę żałować. Słusznie powiadają dysydenci, że największą instancją ludzką jest sumienie, głos Boży człowiekowi za sędziego dany. Jeśli sumienie cię usprawiedliwia — niewinnyś. On, Sapiaha, czuł się w swym sumieniu spokojny. Wszak gdyby Najświętsza Panna nie upodobała sobie Kodnia, łaski udzielone obrazowi zostałyby cofnięte i kto wie, czy on sam nie odwiózłby obrazu do Rzymu, zawstydzony i skruszony. Coraz liczniejsze cuda dowodziły, że Matka Boża pochwała wybór locum, papież zatem powinien widoczną Wolę Bożą uznać i gwałtownikowi przebaczyć. Mógł przedtem nałożyć karę, jaką chciał — Sapiaha przyjąłby każdą ochotnie — lecz nie wyklinać, wyklinać na wieczność. Gubić duszę! Wróg, poganin mógłby podobnie po-

stąpić, nie papież! Piękny Namiestnik Chrystusowy! Chrystus Pan przebaczyłby tę zbrodnię z pewnością...

Wyklęty podjudzał sam siebie takimi rozumowaniami, aż mgła czerwona przystaniała mu oczy, a gniew i bunt przeradzały się w zawziętą złość. Z lubością widział siebie chwytającego nuncjusza za gardło, by siłą zmusić go do odwołania ekskomuniki. Nie zawahałby się przed zadaniem gwałtu samemu Ojcu Świętemu, byle swego prawa dojsć i swoją krzywdę pomścić. Gdy uniesienie opadło, wstydził się tych uczuć, niemniej każda fala gniewu odpływając zostawiała w duszy ciemny osad.

Właśnie na taki moment wewnętrznego buntu trafił Hieronim Sapieha z ekspozycją swego planu.

— Pomysł jest Kazika — mówił — (ten chłopiec ma klepki na miejscu!), a ja dokumentnie rozważyłem. Rzecz powiedzie się na pewno. Zanim zaczniemy z nuncjuszem paktować, puści się gadkę na prawo i lewo, że do innowierców przechodzisz... Wnet to pochwyca i huczek pójdzie po całej Litwie, ba i po Koronie... Ludzie poczną się zbiegać, głową dysydentów ciebie czynić, tym chętniej, że Radziwiłła nie cierpią... Wystarczy to, by Rzym nastraszyć i nuncjusza do powolności nakłonić... Dopieroż ja do niego w twoim imieniu wystąpię... Przystanie na układ na pewno... Wtedy pogłoski za fałszywe ogłosimy, publicznie wiarę świętą wyznasz i wszystko będzie w porządku... A co? Dobrze obmyślane?

— Bardzo dobrze — mruknął wojewoda. Zdziwiło go, że własne myśli mogą się wydać tak szkaradne, gdy się je w ustach innego zobaczy. Czyż nie pragnął przed chwilą przymusić nuncjusza, zagrozić mu, siłą wydrzeć odwołanie? Brat poddawał mu sposób wykonania tego przymusu. Sposób prawie niezawodny, a nie wymagający ani zrzeczenia się wiary (do której zresztą i tak prawa nie miał), ani otwartego gwałtu. Niejasne wersje umiejętnie po kraju puszczone, plotka nie obowiązująca do niczego, a rumor by był, o, był... Dziedzinię zamkowy nie pomieściłby kolas, bryk, powózek panów braci różnowierców, pragnących już widzieć w Kodniu swą pryncypalną siedzibę... Ich pogwarki bluźniące Kościołowi i Najświętszej Pannie dolatywały aż do obrazu...

Ilu zaś ludzi chwiejących się w wierze, przywykłych uważać ród Sapiehów za uczciwy i godny zaufania, pójdzie za jego przykładem, naprawdę, nie dla strategicznego fortelu, i już się potem nie cofnie...

Lecz co go inni obchodzą? O sobie trzeba myśleć, o uwolnieniu się z klątwy, usunięciu krzywdy, odzyskaniu prawa do zbawienia... Niechwalebny to będzie postępek, zapewne, ależ nie on winę ponosi, tylko papież... Papież przez swą zapamiętałość przymusił go do takiego kroku...

Już podniósł głowę, by aprobatę wyrazić, gdy nagle, nie wiedzieć skąd, przyszło, jak kiedyś, wspomnienie słów kardynała padrone. Dziwnych, niemiłych: że Ojciec Święty nie może się mylić, gdyż Chrystus Pan stoi za nim... Że chrześcijanin powinien przede wszystkim być po-



słuszny i ufać, że Chrystus Pan nie dopuści, by Jego Wikariusz popełnił złą rzecz...

Być posłusznym... poddać się woli Kościoła... Nawet gdy jest tak okrutna.

„Jeśli nie nabierzecie posłuszeństwa, wiara wasza was nie zbawi... jeśli nie nabierzecie posłuszeństwa, obróci się wniwecz wasz naród...”

Wstał ruchem zdecydowanym.

— Pomysł skuteczny — rzekł — ale ja go nie wykonam.

— Dlaczego? Co znowu? — zawołał Hieronim.

— Bo jest łajdacki.

Kasztelan poderwał się urażony.

— Łajdacki? A jak nazwać twój własny proceder, wszystkich nas w kabałę wciągający?... Jak?!

— To insza rzecz, mości bracie.

Nie czuł się na siłach wyjaśniać różnicy, jaką wyczuwał pomiędzy popełnionym przez się świętokradztwem a doradzonym dyplomatycznym matactwem.

— Całkiem insza — powtórzył. — Ja tego nie zrobię. Katolikiem jestem, katolikiem zostanę.

— Piękny katolik! Klątwą obłożony!

— Przecie nie heretyk.

— Wolisz oddać obraz papieżowi!

— Nie oddam za nic!

— Więc co?

— Nic. Będę żył wyklęty. — (Głos mu się załamał na myśl o takim życiu.)

Hieronim Sapieha chodził wielkimi krokami po komnacie.

— Nic! — przedrzeźniał z pasją. — Nic! Jakby o ciebie jednego chodziło! Jakby cały ród na czci szkody nie poniósł! Każdy z nas przez twoje szaleństwo ucierpi!

— Ale kraj przez obecność Matki Bożej zyska.

Kasztelan nie słuchał dłużej. Wyleciał z izby, trzasnąwszy z rozmachem drzwiami. Wojewodzina, milczący nieruchomy świadek rozmowy, stała niepewna. Naraz podeszła do męża i, nim się spostrzegł, pocałowała go w rękę.

— Macie słuszność, jegomość — szepnęła. Wybiegła, by się nie rozplakać. Pan Sapieha zawarł drzwi.

Stryj Hieronim rozmawiał z synowcem Kaźmierzem.

— Wracam do pierwszej mojej propozycji — mówił. — Chorego trzeba ratować z wola czy bez jego woli. Twój pomysł, Kazik, zawiódł, a szkoda, bo dobry był... Bierzmy się do tego, co powiedziałem, od razu...

— Zabrać obraz bez wiedzy jegomości pana ojca?

— Właśnie. Nic złego nie uczynimy. On go ukradł, my zrobimy to samo, lecz by prawemu właścicielowi zwrócić... Nie lada to impreza,

powiem ci, i dobrze ją trzeba obmyślić... Mikołaj umiał uciekać, potrafi też gonić... Wszystkich ludzi na nogi postawi... Ludzie go jeszcze słuchają, choć, co prawda, mają prawo, a nawet powinność nie słuchać... Rozstawne konie trzeba będzie po całej drodze przygotować...

— Aż do Rzymu?!

— Uczciwszy uszy, głupiś, Kazik! Do Warszawy, do nuncjusza.

— Nuncjusz może wziąć obraz, a klątwę zostawić...

— Nie bój się. Najpierw z nim wszystko umówię i porękę wezmę, że klątwa będzie zdjęta, gdy tylko obraz Madonny znajdzie się w nuncjuszowym pałacu. Co dalej, nie nasza rzecz... Niechaj się jegomość nuncjusz sam kłopotczy, jak obraz do Rzymu bezpiecznie dostawić... Byle klątwę zdjął... Nie mieszkając pojedę do Warszawy pertraktować. Wara komukolwiek mówić o tym, Kazik. Pamiętaj! Ani kanonikowi, ani jejmości bratowej mojej... Miętycy oboje... Jeszcze wygadają... Nikt nie śmie wiedzieć, tylko ty i ja... Gdy porękę dostanę, przyjadę i Mikołajowy eksces zarepetujemy...

— Trudniej to przyjdzie, jegomość panie stryjku, bo tam był zakrystian łasy na dukaty, a tu kanonik Boćkowski personaliter klucze od kościoła trzyma...

— Personaliter, powiadasz? Ot, niespodziana przeszkoda! Jakżeż się tajnie dostaniemy do kościoła?...

Młody starosta przemyślał, drapiąc się w głowę.

— Mam! — zawołał żywo. — Są w kościele boczne, małe drzwi nigdy nie używane, bez klucza, jeno od środka wrzeczadzami zawarte... Przed raptem w czasie nabożeństwa wrzeczadze nieznacznie odsunę... Nikt tego nie zauważy...

— Dobrze wymyślane. Trzymajcie teraz język za zębami i czekajcie mojego powrotu.

## Rozdział szesnasty

Piękna wyprawa Anusi była od dawna gotowa. Zwyczajnym porządkiem rzeczy młoda para winna już być zaślubiona. Rok minął od ich zrękowin! Wobec zaszłych okoliczności jednak, zgodne milczenie obu rodzin pokrywało termin ślubu. Nie mówiono o tym w ogóle. I cóż dziwnego, mój Boże! Zwyczajna żałoba odracza wesele przynajmniej na dwa kwartały, a jakąż żałoba równać się mogła z nieszczęściem, jakie dom kodeński spotkało?

Jesień grała wszystkimi barwami, z drzew ogrodu zamkowego rosnących tuż nad Bugiem padały na wodę złote i purpurowe łódki liści. Wojewodzianka, wysłana przez matkę z dyspozycjami do sadownika, zatrzymała się nad rzeką, patrząc na owe liście płynące. Tak ją zaszedł

ojciec. Może zobaczył z okna, że stoi samojedna, i umyślnie wyszedł ze swego więzienia, aby z nią bez świadków pogadać.

Przestraszyła się w pierwszej chwili, jakby zobaczyła ducha. Zapłonią, chciała go jak zwyczajnie podjąć pod kolana, pocałować w rękę, ale nie pozwolił się zbliżyć. Rękę umknął. Stali naprzeciwko siebie, zakłopotani. Wojewoda patrzył na ulubienicę z żalnym zachwytem. Jakąż była śliczna, miła! Dusznie zapragnął wyciągnąć dłoń, pogłodzić pieśczośliwie jej głowę, lecz zabronił sobie tego gestu.

— Cóż będzie, Anuśka? — zapytał.

— Z czym, jegomość panie ojczcze?

— Z tobą.

— Ze mną?

— Widzisz, miałaś iść za Staszka... Nawidzisz go... Przysiężeni jesteście... A teraz poślubić go nie możesz...

— Nie... mogę?...

— Przez to nieszczęście, które na mnie spadło córuchno najmilsza... Nie winnaś temu... Wiem! Ale Bóg tak zrządził, że dzieci odpowiadają za rodziców... I ty musisz cierpieć za mnie... Za mąż nie pójdiesz, bo mi ojcowskiego błogosławieństwa dać nie wolno, a jakże żyć bez błogosławieństwa?... Ani doli dla ciebie, ani szczęścia, boś córka wyklętego i będą ci to wypominać. Sapieżance — wypominać!... Jedna jest dla ciebie droga... klasztor...

— Klasztor?...

Świat pociemniał — w piersi dziewczyny brak tchu, w uszach szum, wargi bez głosu.

Czerwone i żółte liście kapią spokojnie na wodę. Wszystko jest tak samo jak przed chwilą, nim padł wyrok:

Klasztor...

(Ojczcze wyklęty, nie stójże jak kat nad struchlałym dzieckiem! Nie wpatruj się natarczywie w jej poblądle lico. Otrzymasz, co żądasz. Twoja córka wie, że niewiasty krwi rycerskiej muszą być mężne, gdy przyjdzie spełnić ofiarę. Bądź więc spokojny, lecz pozwól jej oprzytomnieć! Ale wyklętemu śpieszno.)

— Nie płacz, bo mi i tak ciężko. Klasztor nie jest zły, córuchno... Co ja bym dał, żebym mógł do klasztoru pójść! Prawda, że ja stary, a ty młoda... Trudno... Tak trzeba. Odeślesz Staszкови jego pierścionek i słowo mu powrócisz?...

— O... o... odeślę...

— Zgadzasz się, by pani matka napisała do pana marszałka i pani marszałkowej, że masz wolę iść do zakonu?...

— Zga... zga... zgadzam się...

— Bóg ci zapłać, niebogo moja... Nie słyszy Pan wprawdzie tego, co powiadam, ale inaczej dziękować nie umiem... Myślałem, że nic mi ulżyć nie może, a lżej mi przez to, że o ciebie już spokojny... Nie skrzywdzą cię... Nie myśl o mnie źle... Anuśka!

Chciała się znowu pochylić do jego ręki. Nie wytrzymał. Objął obu

dłońmi jej głowę, ucałował zalane łzami oczy, odsunął i szybko, zawrócił do zamku.

Późnym wieczorem kanonik zakołatał nieśmiało do wojewody.

— Mówiła mi już jejmość pani wojewodzina o postanowieniu jejmościanki Anusi... Z nią samą też rozmawiałem...

— Bardzo płacze?

— Ciężko niebożatku... Kocha tego Staszka... Narzeczeni... Jakby od ołtarza musi zawrócić... Ale słusznie... słusznie... Pan marszałek pewnikiem odetchnie... Słuszne postanowienie... Ona się też nie buntuje... Ofiarowuje się bez sprzeciwu za Waszą Dostojność...

— Nie wie, gołąbka, że mi to nic nie pomoże...

— Wie, ale nie wierzy. Powiada, że miłosierdzie Boże jest większe niż klątwa...

Milczeli obaj. Nagle kanonik wyciągnął z kieszeni duży, kuty klucz.

— Od kościoła — objaśnił. — Zostawię go tutaj, a rano przed jutrznią zabiorę...

— Dlaczego go waść zostawiasz?

Kanonik kręcił się zakłopotany.

— Myślałem, myślałem, że Wasza Dostojność zechcesz może zejść do kościoła... Nocą nikogo tam nie ma... Nikt nie będzie wiedział...

Wojewoda podniósł głowę, lecz wnet ją opuścił.

— Nie mam prawa — szepnął cicho.

— Mój grzech... Niech już będzie na mnie...

— To wielka pokusa, księżę...

— Matka Boska nam przebaczy... Obraz odsłoniłem, bo Wasza Dostojność nie wiesz, gdzie jest korba... O świcie przyjdę po klucz...

W przeciwieństwie do osepionego, opustoszałego z gości zamku koedenski kościół rozbrzmiewał codziennie śpiewem i mieścił coraz do liczniejsze tłumy. Podlasie rzeczywiście nie posiadało dotąd swego sanktuarium. Jasna Góra, Ostra Brama zbyt były odległe, by zasłyszeć o nich mógł Podlasiak, całe życie rodzinnego lasu nie opuszczający. Pradziadowie czcili pogańskie kłocze niezdarnie rzezane, wnuki ochrzczone wielbiły one obrazki na szkle malowane, niewiele od kłoców ozdobniejsze. W nielicznych pańskich kościołach prości ludzie bywali rzadko — będąc w nich, spoglądali na ołtarz nieśmiało z daleka — toteż wielu po raz pierwszy oglądało twarz najświętszą, pędzlem prawdziwego artysty oddaną, nadobną i macierzyńską, dostojną i współczującą. Obraz Madonny Gregoriańskiej posiadał właściwość, że każdemu stojącemu przed nim zdawało się, iż Matka Boża na niego szczególnie patrzy, w jego duszę zaziera, o jego troski wzrokiem pyta. Temu wrażeniu nie mógł się nikt oprzeć. Nie dziw też, że proste, pierwotne dusze bartników, półdzikich smolarzy, rybołówów, chłopów do roli przypisanych tajały pod tym

spojrzeniem jak wosk. Znalazłszy się w zasięgu obrazu, wpadały w uniesienie, błogostan, każący zapominać o wszystkim, co nie było Bogiem i dolą zaświatową, o tyle lepszą i jaśniejszą od doczesnej. I czyż dziwna, że w tym ogólnym zachwyceniu, w woni modlitwy i łaski rozwiązywały się języki niemych, odzyskiwały wrażliwość uszy głuchych, prostowały się schorzałe członki? Każdy cud powodował nowy cud i błogostawiony ten łańcuch opasywał glorią kościoła, jeżył się coraz liczniejszym gajem lasek i kul zostawionych przez uzdrowione kaleki. Każda z tych lasek była jak pacierz dziękczynny, tryumfalne „Magnificat”.

Pan Sapięha stał w progu, nieśmiało patrząc w mroczną głąb kościoła. Teraz dopiero czuł się świętokradcą, wchodzącym bezprawnie do świątyni, nie wtedy, gdy obraz uwoził. Wieczna lampka zatłona w zdobycznej tureckiej lampie zwisającej od sklepienia, migotała purpurowo, nie rozjaśniając ciemności. Drżącymi rękami wyklęty skrzesał ognia i zapalił przyniesioną ze sobą świecę. Z tą świecą w ręku poczołgał się ku ołtarzowi. Gdy włożył się tak na kolanach, zdawało mu się, że przemierza przestrzeń dzielącą go od Boga. Największy grzesznik może stanąć u jej kresu, tylko dla niego ona się nigdy nie skończy. Świeca, którą trzymał w ręku, kapiała ciepłymi kroplami wosku, jak gdyby płacząc nad jego niedolą. W pewnej chwili podniósł wlepione w posadzkę oczy i przeszył go dreszcz uniesienia. Maryja patrzyła na niego.

Czerwona migotliwa lampka od góry, blask świecy od dołu rzuciły światło na obraz sprawiając, że twarz Madonny zdawała się żywa. Spojrzenie ciemnych oczu o ciężkich spłakanych powiekach ogarniało kłęzącego... Wyklętemu wydało się nagle, że do ciemnicy, w której od kilku miesięcy przebywał i miał pozostać przez wieczność, wpadł promień światła, jasny, zwiastujący dzień. Poczul niechybnie, że w kręgu tego spojrzenia nie może mu się stać nic złego i że przestał już być tak przeraźliwie samotny.

„Pamiętaj tylko, że to Matka nasza” — stanęły znów w pamięci słowa sędziwego kardynała de Torres.

— Matko! — zawołał, padając czołem na posadzkę. Świeca wypadła z palców, potoczyła się po kamieniach i zgasła. Pan Sapięha tego nie zauważył, czując się w kręgu jasności.

Odtąd przychodził tu co noc i pozostawał do świtu. Była to tajemnica, szczęśliwy spisek ich trojga: Maryi, kanonika i wyklętego. Nikt o tym nie wiedział, nikt się nie domyślał. Wprawdzie pokojowcy słyszeli nieraz kroki idące z komnaty pana w kierunku wewnętrznego przejścia do kościoła, żaden jednak nie śmiał wyrzeć, przypuszczając, że to zły duch się przechadza, i na stuknięcie ostrożne drzwi nakrywali głowy kubrakiem, pocąc się ze strachu. Słowo szepnięte jednemu, drugiemu, rozniosło się wnet po zamku nowiną, że w narożnej wieży straszy... Nie było odtąd obawy, by ktoś niedozwolone inkursje eks-chrześcijanina na poświęcone miejsce podpatrzył.

Spokojny, że go nikt nie widzi, pan Sapieha rozprostowywał się dusznie w wypełniającej kościół atmosferze Łaski i, nie śmiać się modlić, patrzył i uwielbiał. Miłował, nic nie żądając. Nadal nie był w stanie wzbudzić w sobie skruchy. Wzdrygał się na myśl, że Madonny mogłoby tu nie być. O, nie, nie żałował wcale swojego postępku! Przeszawał natomiast czuć żal do papieża za to, że go tak srogo ukarał. A toż gdyby Ją chciano zabrać — myślał — zabiłbym każdego, co by się na to poważył... Wciąż jednak nie rozumiał, dlaczego Bóg był równie jak papież surowy. W czym tkwiła zbrodnia, o której tyle mówiono? W uchybieniu papieskiemu majestatowi? Może...

Czasem w te rozważania zabłąkał się cień Baptysty, początkowo odsuwany z lekceważącą niechęcią. Cóż mógł znaczyć człek lichy niskiej kondycji, za którego ubicie obowiązywała grzywna niższa od grzywny płaconej za ubicie sokoła? Spalono tego nędznika? No, to spalono. Nikt go do występku nie przymuszał...

Tak sądził jednak tylko na początku. W miarę jak w Kodniu mnożyły się cuda, cuda dotyczące o wiele częściej prostaczków, owych bartników, smolarzy, rybołówów niż szlachetnie urodzonych — pan Sapieha jął się nie bez zdziwienia dorozumiewać, że ci najmniejsi są snadź Matce Najświętszej równie mili jak tamci, kto wie, może nawet milsi, skoro wyróżniani? Od chwili tego poznania począł i on sam innymi oczami na nich patrzeć. Z konieczności w ślad za tym nastąpiło przekonanie, że śmierć Baptysty, wieczyste potępienie, na które przez zbrodnię zasłużył — nie były w oczach Boga sprawą błahą. Najświętsza Panna litowała się nad niesumiennym zakrystianem nie mniej pewno niż nad bartnikami, smolarzami i inną hołotą, on zaś, Sapieha, skusił chudziaka pieniędzmi, a potem wydał zdradziecko na śmierć... Tym czynem uchybił Maryi, obraził Maryję. Obrził Ją! I po raz pierwszy skruszony, wyklęty grzesznik bił się w piersi powtarzając: — Moja wina! moja wina! moja bardzo wielka wina!

Jesień tegoroczna była mokra, zimna, wczesna. Od ciągłej pluchy drogi zmieniły się w nieprzebyte bagna. Rzepa pogniła nie wykopana na polu. Oziminy nie zostały w czas posiane, bo woły grzęzły na roli. Wyprawa Anusi spoczywała w skrzyniach, przeznaczona na kiedyś, kiedyś, dla nie narodzonych jeszcze córek Kaźmierza lub Jana Sapiehów. Dziewczęta dworskie wraz z wojewodzianką szyły śpiesznie wyprawę drugą do życia w klasztorze przystosowaną. Nie śmiały się i nie śpiewały przy tej robocie. Mimo cichego oporu wojewodziny pan Sapieha postanowił, że Anusia Gody spędzi już za kratą, w pięknym łuckim klasztorze Panien Benedyktynek, którego ksieni, Agnieszka Woyniłłowiczówna, była powinowatą Sapiehów. Odwieźć Anusię miano w początku Adwentu. Aliści z nagła przyszły silne bezśnieżne mrozy i ścięły błoto w twardą grudę. Nie przejedzie kolasa po takiej drodze, to trudno. Trzeba czekać, aż śnieg spadnie i sannę uścieli, śniegu zaś nie było widać. Taki już

niezdarzony rok. Nolens volens, wypadło podróż odłożyć na po Godach. Anusia, dowiedziawszy się o tym, wybuchnęła płaczem i płakała przez cały odwieczarz. Dziwiły się po cichu tej rozpaczki dworskie dziewczęta, które widząc nieraz, jak ręce Anusi obrębiające ciemne sukno opadają bezwładnie na podolek, ona zaś wzrokiem wybiega za okno, jak gdyby na coś czekając, kogoś wyglądając — przypuszczały, że panienka będzie odwołać wyjazd rada. Tymczasem, ot, patrzcie, płacze...

— Ja bym za nic a za nic za mniszkę nie poszła! — mawiała w czeladnej służebna Anusi, Kryska.

— Chyba do takiego klasztoru, gdzie Kacper przeorzy — mruzczała szafarka. Cała czeladna wybuchała śmiechem. Wiedzieli wszyscy, że Kryska i Kacper, pacholek Staszka Drohojowskiego, byłego narzeczonego panienki, mieli się ku sobie. Liczyli oboje, że Anusia weźmie Kryskę ze sobą i będą mogli się pobrać. W tej myśli Kryska ostatnio przy panience się uwijała, w oczy zaglądała, przy każdej okazji zapewniała, że pójdzie za nią aż na koniec świata... Niespodziewane zerwanie małżeństwa było dla niej nie lada zgryzotą.

Jakoś na tydzień przed Godami kanonika Boćkowskiego spotkała przygoda. Wezwano go po południu do chorego aż na Gozdy. Potrzebującym świętych Sakramentów był Pyłyp, niegdysiejszy żerec znachor. Własna jego baba przyszła księdza prosić.

— Christus vincit! — zakrzyknął kanonik. Kazał duchem założyć do wózka i z babą pojechał. W radosnej alteracji nie pomyślał, że wracać będzie już mrokiem, więc należało prosić marszałka o kilkoro ludzi z pochodniami z racji wilków. Tak się zaś śpieszył, że nikt w zamku o jego wyjeździe nie wiedział.

Stary znachor umierał istotnie. Drzewo go przygniotło w borze. Stękał, krwią pluł, ale był przytomny. Spowiadał się, jak umiał, po swojemu, gdyż o wierze świętej niewiele wiedział. Czcił świętą Panią mocniejszą od jego bogów. Oto wszystko. Księdza zawezwał, aby sobie Jej łaskę zapewnić.

— Wystarczy to do zbawienia, bo Ona cię diabłu wyprosi — zaręczał kanonik i nałożył Oleje święte na starego. — ...W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego niechaj ustanie wszelka moc szatana nad tobą, przez wezwanie chwalebnej i świętej Bogarodzicy Maryi...

— Maryi... — powtórzył Pyłyp ledwo dosłyszalnie. Twarz miał rozpodzoną.

— Zbójcka gęba stała się do ludzi podobna — opowiadał później kanonik.

Zaopatrzywszy chorego, ksiądz samowtór z pacholkiem wracali do domu. Jak łatwo się było spodziewać, zwietryły ich wilki. Dłgonyły rychło, choć księza kobyła dobywała wszystkich sił. Byłyby zarżnęły niechybnie księdza, pacholka i konia, gdyby nie nadeszła pomoc. Sam Bóg ją zesłał w ostateczną porę. W szerokim wasążku jechało dwóch szlachciców. Trzej konni eskortowali. Od samego wrzasku, jaki podnieśli, wilki wycofały się w las.

Jeden z jadących zeskoczył z bryki i podszedł do półżywego z trwogi kanonika.

— Dlaboga! To Wasza Wielebność! — zakrzyknął.

— Kazik! — ucieszył się ksiądz. — O, niech cię Bóg błogosławi... Uratowałeś mnie i tego chłopczynę... Jużem się widział, grzesznik marny, w wilczych trzewiach... Naprzeciw nas wyjechałeś?... Daj ci Boże zdrowie!

— Ano tak... Wyjechałem... — przyświadczył trochę mętnie starosta krzepicki.

— A kto to z tobą na bryce? — zapytał ksiądz, lecz wybawca nie dosłyszał. Kanonik pytania nie powtórzył, bo tymczasem zapomniał. Jeszcze nie ochłonął z przerażenia i myśli rwały mu się w głowie, spychały jedna drugą.

— Niechże ksiądz dobrodziej jedzie przodem, a ja będę z tyłu pilnował, żeby nas bestie nie atakowały...

A kto zacz z tobą? — chciał znów zapytać kanonik, ale nie zdążył. Mniejsza o to. Dowie się i tak w zamku.

Lecz do zamku Kaźmierz Sapięha przyjechał sam. Nikogo z nim prócz służby nie było. Objaśnił marszałka i matkę, że niespokojnym o kanonika wyjechał przed niego. Jakże potrzebnie i skutecznie!

— A mnie się z tego strachu dwoiło snadź w oczach, bo byłbym przysiągł, że ktoś drugi siedzi z tobą... — zapewniał ksiądz, śmiejąc się sam ze swej omyłki.

Opowiedział o niej później wyklętemu, sądząc, że go tym zabawi.

— Do kogóż ów towarzysz Kazikowy zdał się waści podobny? — zapytał wojewoda ze zwykłym znużonym uśmiechem.

Ksiądz Boćkowski zastanowił się.

— Z postury chyba do pana kasztelana połockiego — rzekł.

— To już czyste przywidzenie, bo Hieronim, jak mi wiadomo, jest aktualnie w Warszawie.

— Z tego strachu zamąciło mi się w głowie — uznał pogodnie ksiądz i przeszedł do rzeczy ważniejszej: zaopatrywanego dziś chorego.

— Zdarzenie to iście ekstraordynaryjne — zapewnił. — Pyłyp! Byłbym głowę dał, że w pogaństwie życie skończy, piekłu na pożytek... Pyłypowi Oleje święte nakładałem... Nie cud to oczywisty? Nie szczególna Łaska Boża?

— Wiemy, kto tę Łaskę wyjednał...

— Jużci, co wiemy... Klucz od kościoła przyniosłem Waszej Dostoje ności...

— Nie ostawiaj go, księże, bo nie pójdę... Od dawna już skrupuły mnie kasaają, że nieuczciwie postępuję... Prawa nie mam w kościele przebywać... Jak by się jegomość biskup dowiedział, ksiądz będzie za nieposłuszeństwo zasuspendowany...

— Wola Boska... Kładę klucz...

— Nie kuś mnie, ojczy. Prawda, że te nocne wigilie to jedyna pociecha i radość moja, ale jużem sobie postanowił, że więcej przyjaciele na



szwank nie będę narażał... Najświętszej Pannie też nie chcę się dłużej naprzykrzać, by Jej do reszty nie zbrzydnąć...

— Wasza dostojność! Najgorszy poganin puszczański wypowiadał się po chrześcijańsku: toż dowód, że Najświętsza Panna tej dziedziny rada! A skoro rada dziedzinie, to i temu rada, co Ją tu velociter przywiózł...

— Mówisz tak, księże, jakbyś nie pomniał, że jestem wyklęty... Nie ma już dla mnie nadziei...

— Maryja nasza nadzieja! Bo nieraz sobie myślę, że wielką cnotą jest wiara i wielką cnotą jest miłość, ale nadzieja to jakby największa z nich... Do ostatka człowiekowi towarzyszy... i podźwignie go, i wyprowadzi... Nadzieją weselący się idziemy... Klucz leży tutaj...

Stary Pyłyp umarł opatrzony świętymi Olejami... Klęcząc jak zwykle w ławce przed ołtarzem, pan Sapieha rozmyślał o tym zdarzeniu. Istotnie, było ono niepowszednie. Wieleż to lat tępiono bezskutecznie gnieźdzące się w puszczy pogaństwo! Księża wyklinali z ambon, dziedzice karali chłostą przychwytyanych na składaniu w lesie obiady lub puszczeniu na Bugu wianków w noc Sobótki. Królowie nakazywali surowe inkwizycje... Wszystko daremnie... A oto teraz bez niczych gróźb i kar pogaństwo do krzyża się garnie...

Spojrzał na obraz z podziwem i uwielbieniem, z wdzięcznością. Pomyślał, że jeżeli jego zguba potrzebna jest, by opłacić dobrodziejstwo obecności Najświętszej Panny na Podlasiu, to cenę tę zgadza się dać. Nie będzie się już buntował, nie będzie rozpaczał. Cokolwiek Bóg z nim uczyni — dobrze jest.

W chwili kiedy to sobie postanowił mocno, niby ślubowanie — w prawej kaplicy rozległy się kroki. Czyżby kanonik? Nie. Dwóch ludzi. Wyszli już na główną nawę. Zobaczył ich wyraźnie. Nieśli zapaloną latarnię. Jeden odziany był w podróżną długą szubę, drugi w lżejszy kubrak domowy. Nie starali się ukryć i rozmawiali z lekka tylko przytłumionym głosem.

Kto zacz byli? Czego chcieli? Na złodzieju czapka gore, przeto pan Sapieha mniemał, że chodzi o niego. Ktoś doniósł. Przyszli sprawdzić, czy rzeczywiście wyklęty ośmiela się profanować święte miejsce swoją obecnością... Gardząc sam sobą za tchórzostwo zdusił świecę palcami i wstrzymał oddech. Lecz oni nie wypatrywali go wcale. Szli prosto ku ołtarzowi. W pewnej chwili blask latarni oświetlił ich twarze i wojewoda z trudem powstrzymał okrzyk zdziwienia, poznawszy brata i syna...

Hieronim i Kaźmierz tutaj! Hieronim tutaj! Więc kanonikowi się nie przywidziało?... Kiedyż przyjechał?... Po co obaj przyszli do kościoła nocną porą? Czego tu szukają... Jego?...

— Spójrzcie, jegomościu panie stryju — mówił Kaźmierz, przechodząc o dwa kroki od ukrytego w cieniu ojca. — Obraz na noc nie zasłonięty... Ładne porządki!...

— To i lepiej... Dla nas mniej zachodu...

Przyklękli pobożnie i weszli na stopnie ołtarza. Kaźmierz oddał stry-

jowi latarnię, na ziemi położył podłużny wąski przedmiot. Przedmiot ten wydał się panu Sapieże znajomy, nie mógł jednak poznać, co by to było i skąd mu jest znane... Syn usiłował wejść na ołtarz. Wspinając się, potracił nogą ów kształt, który stoczył się ze stopni...

Tulejka, w której obraz Madonny przywieziony został z Rzymu!

Obserwujący w cieniu wyklęty człowiek zrozumiał, och, zrozumiał doskonale. Krew buchnęła mu do głowy, zalała mózg. Poczuł, że zabije obu, zabije brata i syna...

— Precz! — zaryczał, zrywając się z miejsca. — Precz!

Chwycił ciężki, duży krzyż, zazwyczaj przed procesją noszony, zaknięty w żelaznym ujęciu przy ławce, i runął ku przybyłym. Lecz oni nie czekali. Na jego głos stanęli zrazu jak wryci, oniemieli z przerażenia. Ujrzawszy go z podniesionym krzyżem (latarnia rzuciła pokraczny cień sięgający aż na sklepienie), wrzasnęli z trwogi i, przeskakując balaski, uciekli. Sadzili przez kościół, stękając ze strachu i potracając się wzajemnie. W bocznej kaplicy wpadli na stojący tam katafalk i narobili okrutnego rumoru. Nareszcie dopadli drzwi, wybiegli na dwór, skowycząc nieludzkim głosem.

Pan Sapieha został sam. Dłonie dygotały mu z morderczej pasji, tak że dłuższą chwilę nie mógł zmacać żelaznego ujęcia, by krzyż postawić z powrotem.

Kasztelan połocki i starosta krzepicki oparli się w ucieczce swojej aż pod główną zamkową bramą, przy której czekały konie kasztelana. Obaj śmiertelnie bladzi i złani potem.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — powtarzał Hieronim Sapieha, drżąc jak w febrze.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— Własnymi oczami widzielim... Jezusie, Maryjo! Upiór to czy diabeł?...

— Diabeł by krzyża nie dzierzył i w kościele nie śmiał być.

— Anioł też nie był na pewno... Od tego głosu nogi się pode mną trzęsą... Laboga! Tur by lepiej nie zaryczał...

— Anioł czy diabeł, więcej po obraz nie pójde... Hipernaturalnych mocy lepiej nie zaczepiać...

— O, ja też nie pójde i dziesiątemu odradzę... Straszne, straszne rzeczy! Co pocniemy teraz, jegomościu panie stryju?

— Będę niby to walić do bramy, że co ino przyjechałem, a tyś mi otworzył.

— Nikt nie uwierzy, bo konie nie zagrane.

— Ale na mnie koszula od potu mokra, że wykręcać można... Wall!

— Reta! Tulejka ostała... Kanonik suspicje poweźmie!

— Może po nią pójdziesz? Ja poczekam...

— Wolne żarty, jegomościu. Wolałbym teraz do lasu pójść samojeden,

— Niełaskawa na nas dziś fortuna. Trudno! Chciałem nieborakowi Mikołajowi dopomóc, a ot, nie udało się... Widno mu pisane mizerny żywot w klątwie kończyć... Łomotać, Kazik, do bramy!

## Rozdział siedemnasty

Rejestr niepowodzeń nie był jeszcze bliski końca. Wprawdzie w wilię Wilii spadł oczekiwany śnieg, spadł obficie, ścieląc piękną ponowę łowiecką, po której ustaliła się sanna, o wyjeździe jednak wojewodziny z Anusią do Łucka nie było mowy, gdyż dziewczyna w tym czasie ciężko zaniemogła. Kasłała, gorączkowała, brakło jej tchu. Biała jak płótno leżała malutka w szerokim łóżku matczynym, gdzie ułożyła ją wojewodzina, by chorą wciąż mieć na oku. Anusia mówiła mało, nie skarżyła się. W słabym, jak gdyby stopionym kształcie trudno byłoby poznać dawną młodkę rumianą jak jagoda, roześmianą i rozśpiewaną. Leczone ją najstaranniej. Z Wilna przyjechał ten sam królewski medyk, którego niegdyś sprowadzono do pana Sapiehy. Był to stary człowiek zażywający wielkiej sławy, gdyż królowę Annę Jagiellonkę leczył w śmiertelnej niemocy. Ten spojrzawszy na Anusię orzekł, że jeżeli do wiosny przetrzyma, to może przeżyje, a jeżeli nie przetrzyma to wola Boska. Kazał ją okadzać dymem jałowcowym, nacierać krzyże maścią z majowych chrząszczy, rozartych na miazgę, przyrządzoną i zażywać dekoka bardzo kosztowny, którego zapach był wstrętny, skład zaś stanowił sekret uczonego medyka. Po czym wzięwszy sutę wynagrodzenie, odjechał, a wojewodzianka była co dzień słabsza. Starsze panny respektowe nalegały, by wezwano znachora lub zamawiaczkę, lecz Pyłyp, już nie żył, a co do zamawiaczki, wojewodzina patrząc już na Anusię jako na własność klasztoru bała się, że wezwanie jej wywoła gniew ksieni. Leżała natomiast krzyżem w kościele, prosząc o zdrowie dla dziecka.

Pan Sapieha był nie mniej zgnębiony od niej, gdy posłyszał opinię medyka.

— Bóg nie chce mojej ofiary, nawet gdy jest nią to niewinne dziecko — rzekł z żalem.

— Lub wstrzymał ramię Waszej Dostojności, jak Abrahama, gdy ten chciał ofiarować Izaaka — odparł kanonik, lubiący wszystko tłumaczyć na dobre.

Niecierpliwym ruchem ręki wojewoda odsunął niewczesną pociechę i wrócił do epistoły, którą koncytował. Był nią list do urodzonej Agnieszki Woyniłłowiczówny, ksieni, donoszący o ponownej zwłoce w przyjeździe nowej służki Bożej, Anny Sapieżanki. By przeorysza nie powzięła podejrzenia, że pod dwukrotnym odkładem ukrywają się jakieś świeckie bałamuctwa, pan Sapieha prosił, by raczyła, jeśli wola, przy-

śląc jedną siostrzyczkę, by Anusię w chorobie jako swoją przyszłą towarzyszkę pielęgnowała, a skoro Bóg zdrowia nowicjuszcze użyczy, bezpiecznie do zakonu ją odwiozła. Do listu była dołączona suta darowizna.

Dworzanin wysłany z listem pojechał i nie należało spodziewać się jego powrotu wcześniej niż za kilka tygodni. Życie w zamku, zahamowane zimą, przyprószone podwójnym smutkiem klątwy i choroby, snuło się niemrawo. Goście nie zajeżdżali, sąsiedzi stronili. Nigdy jeszcze podwórzec i stajnie gościnne nie stały tak puste jak teraz. Na łowy też nikt z zamku nie wyjeżdżał i cenne sokoły, krzeczoty, rarogi i rabce zwane krogulcami drzemały całe dni, kiwając się na berłach w wielkiej zamkowej sieni. Toż samo marnowały się zalegające pole i tyjące psy ogary, naśledniki, ułanniki, charty, z których z dawna sływał Kodeń. Pana Moczydłowskiego, gdy na to patrzył żarła melancholia, która, jak twierdził, rychło go wpędzi do grobu.

Wojewoda tej zimy odosobnił się zupełnie i, zawarty w narożnej wieży, spędzał całe dni czytając. Coraz bardziej obcy wszystkiemu, co się wokół działo, po raz pierwszy w życiu poznał smak ksiąg i rozlubował się w nim. Nie znaczy to, by przedtem nigdy książek nie dotykał. Bynajmniej! Ojcowie jezuici ćwiczyli go należycie w czytaniu w latach konwiktu, potem też, senatorem będąc, poselstwa odprawiając, stykał się nieraz ze słowem pisanim. W rodzinie sływał z uczości. Dopiero teraz jednak zrozumiał, jak obszerne i piękne krainy otwierają księgi, jak niezawodnym książką jest dla samotnika przyjacielem. Piękne folia w skórę oprawne, stojące bezużytecznie w przeznaczonych na bibliotekę komnacie, zbierane pokoleniami dla splendoru więcej niż z potrzeby, zostały teraz przez niego sumiennie i uważnie przeczytane. Z początku chwycił każdą książkę za kolejną, wnet jednak nauczył się wybierać. Przerzuciwszy kilka kartek odkładał bez wahania wszystko, co było uciészonymi świeckimi figlikami, baśniami dla rozrywki ludzkiej napisanymi, zagłębiając się jedynie w te dzieła, które mówiły o naprawie Rzeczypospolitej, o prawach jej, o świecie i o Bogu. Szczególnie te ostatnie, gdyż jego duszna niedola czyniła temat ten żywszym i aktualniejszym od innych. Przestudiował więc w ciągu tej zimy *Listy* kardynała Hozjusza, *Żywoty Świętych* i *Kazania* księdza Piotra Skargi, *Ćwiczenia* świętego Ignacego, *Pisma* świętego Augustyna oraz niektóre dzieła świętego Tomasza. Wysilek, jaki musiał wkładać w zrozumienie dalekosiężnych myśli chrześcijańskich filozofów, opłacała sownie radość chwili, w której czuł się w prawie powiedzieć sobie: „Pojąłem”. Radość ta szybko zmieniała się w gorycz i żal. Gmach wiary rósł w jego oczach logiczny, jasny, wspaniały i wszechświat obejmujący, lecz on był zeń usunięty, znajdował się poza nim. Miarą tego żalu rozumiał, jak szczęśliwi są ludzie należący do wielkiego, powszechnego Kościoła Chrystusowego! Jak dumni i radosni mogą się czuć chrześcijanie, synowie Boscy, synowie królewscy! Jak zaszczyt ten winni sobie cenić! Ach, gdyby raz

mogli poznać, co czuje wyklęty, z Królestwa Bożego wydziedziczony — inaczej by żyli na świecie.

Marszałek koronny, Drohojowski, przyjechał do Kodnia w oktawie Gromnicznej. W panujących na zamku ciszy i odosobnieniu przyjazd jego stał się niezwykłym i pomyślnym zdarzeniem. Wojewodzina witała go w sieni, nie ukrywając radości. Postarzała się przez ubiegły rok, jak gdyby ten okres zawierał lat piętnaście co najmniej. Włosy jej pod staroświeckim czepcem były całkiem białe.

— Nie uprzedzałem o moim przyjeździe — tłumaczył się marszałek, wykonawszy przepisową liczbę ukłonów — bo znając przesadną drażliwość Mikołaja, bałem się, że mnie odprosić gotów. Cóż tu słyhać, przeczacna dobrodziejko moja?

— Jegomość mój mąż w księgach siedzi i po dawnemu nie wychodzi z wieży.

— A moja niedoszła synowa? W klasztorze od Godów? Jakoż jej się żyje za kratą?...

— Anusia jest w domu i bliższa niebieskiej furty niż klasztornej. Nie zawieźlim jej jeszcze wcale do zakonu, bo od Nowego Roku chorzeje bez przerwy i rady na tę słabość nie mamy...

— Jest tu? Chorzeje?! Taka zdrowa widziała się dziewczuszka.

— Była zdrowa. To jej pierwsze chorowanie w życiu.

Marszałek targnął frasośliwie wąsa.

— Ot, bieda, jejmość dobrodziejko, bieda... U mnie także niewesoło... Staszek osepiał, jak dzik włóczy się samojeden po lasach. Zagadać do siebie nie da... Szerniał ze zgryzoty... Aż mnie nieraz złość bierze i pasa bym się jął, jeno że to nie pomoże... Oni się bardzo nawidzili, jejmość dobrodziejko...

Wojewodzina skinęła głową na znak, że wie o tym.

— Staszek myśli — ciągnął marszałek — że Anusia już postrzyżona i w sukienkę obleczone... Jak by się dowiedział, że jeszcze jest doma, nie wytrzymałby, tylko przyleciał tu z prośbą o zmiłowanie nad nim, no i nad nią...

— Tedy mu nic nie mów, waść. Po co obojgu boleści przyczyniać?

Nie mogła dłużej strzymać łez, które potoczyły się sznurkiem po jej macierzyńskiej twarzy.

Ale marszałek nie ustępował.

— Żal mi chłopaka — wyznał. — Czasem myślę jako zbyt pochopnie powzięliście, dobrodzieje moi, postanowienie...

— Jegomość mój mąż obawiał się, że skoro błogosławieństwa ojcowskiego dać nie może, tedy i Bożego w tym stadle zabraknie...

— Słuszne obawy, wszakże młodych szkoda... Mieliśmy się spowinowacić, jejmość dobrodziejko moja... Powiedzcież tedy jak powinowatemu: z czego Anusia słabuje? Zali nie z tęsknoty?...

— Owszem, tak.

— Więc?

— Co raz Bogu ofiarowane, tego odbierać nie wolno.

— Jeszcze nie ofiarowane, ślubów nie składała... Spróbuję pogadać o tym z Mikołajem...

— Pokornie proszę, nie czyni tego waść! Nic nie pomoże, jeno w większą melancholię go pogrąży... Czego tu chcesz?! — ofuknęła Kryskę wsuwającą głowę do komnaty.

— Szafarka prosi o dyspozycję Jaśnie Wielmożnej Pani.

— Nie pali się... Niech poczeka... Przyjdę niebawem... Nie, nie, to nic nie pomoże.. Raczej o sprawach publicznych pogadaj z nim wasze Ucieszy się, bo żyjemy teraz jak w puszczy, nic nie wiedząc, co się w kraju dzieje. A tamtej bolączki nie tykaj, bo na nią rady nie ma...

Na wszystko może być rada, i na to by się znalazła, gdyby nie Mikołajowy upór... — myślał marszałek Drohojowski. Będąc jednak poważnym i statecznym człowiekiem, nie spieszył się z wyjawieniem tych poglądów. Na razie, powolny życzeniu wojewodziny, nie poruszył słowem sprawy Anusinych obłóczyn, zaraz po powitaniu gospodarza przechodząc do wiadomości politycznych...

— Obawiałem się, że bezkrólewie gorzej nam wszystkim zaciąży. Bogu dzięki wszakże powszechna jest w narodzie do Władysława skłonność... Toteż przysięgę homagialną składano wielce uroczyście i wspaniale...

— Ja swoje homagium pisemnie posłałem.

— Zły manier, któren nikogo nie zadowolni. „Nieobecni wrogom są przyjemni” — powiada przysłowie... Ci tylko osobiście przysięgi nie składali, co się na Króla Jegomością dąsają.

— Zaś bym się dąsał!... Znam Władysława od dawna, kiedy królewiczem był... Zanosił się na wspaniałego i wojennego pana... Pojechać nie mogłem, pod klątwą zostając...

— Egzagerujesz, Mikołaju, egzagerujesz jak zawsze! Gdzie klątwa, gdzie Sejm? Dwór dawno o twojej sprawie zapomniał, inne kłopoty mając na głowie... Wspominają cię czasem, ale po to, by dziwić się wytrwałej abstynencji od publicznych obowiązków... Ja się jej dziwię także...

— Boś się nigdy wyklętym nie czuł — odparł wojewoda chinurnie.

— Jak chcesz. Jać nie konwokuje cię na odpust ani rekolekcje, jeno na Sejm. Jakom rzekł, wszyscy o sprawie twojej zapomnieli i terroru możesz się nie lękać...

— Terroru! — zakrzyknął z gniewem wojewoda. — Jako żyw nie obawiałem się nigdy terroru!... Bogu dzięki, stać mnie na to, by parę nie lada jakich chorągwi wziąć ze sobą dla osłony, a i w Kodniu dostateczne zabezpieczenie zostawić... Terror! Dalibóg! Diabła zje raniej, kto by próbował na gardle usiąść Sapieże! Nie mam to pięciu tysięcy zbrojnych, lepiej odzianych i uzbrojonych niż królewscy? Radziwiłłów wojska równie dobre jak moje, ale Radziwiłły jako dysydenty nie uderzą na mnie z racji porwania Madonny, małopolscy zaś i wielkopolscy

panowie zbyt swoimi sprawami koroniarскими zajęci, by się do nas, Litwinów, wtrącać...

— Słusznie prawisz. Czemuż zatem jechać nie chcesz?

— Za nic nie pojedę! — krzyknął pan Sapieha. — Ja z tej wieży tygodniami nie wychodzę, a do Warszawy bym pojechał?... Ludziom w oczy spojrział?... Pójdą senatorzy do katedry przed pierwszą sesją sejmową, a ja będę stał jak pies u progu? W izbie gdzie się podzieję? Stanę to przy stronnictwie katolickim na dawnym miejscu, po prawej ręce prymasa? Jużci nie stanę... Więc gdzie? Do dysydentów pójdę chyba, do heretyków? Będę stał jak parszywa owca między stronnictwami na pośmiech dla wszystkich? Dopieroż byłaby radość i gratka nie lada! Wieleż to łońskiego roku kursowało o mnie epigramatów, wyszydzeń, uciesznych krotchwili! Hieronim mi kiedyś powtarzał one wierszyki o katolikach, co z pobożności złodziejami się czynią... Mam stawać w Senacie, by drugi raz to wszystko wysłuchać?... Niedoczekanie!

— Jak chcesz — powtórzył marszałek. — Po raz drugi mówię, że egzagerujesz... Żaden z nas nie wie, gdzie się po śmierci dostanie i mało sobie tym głowę zaprzęta, ty zaś o niczym innym nie myślisz, tylko, żeś wyklęty...

— Bo wy nie wiecie, ja zaś wiem... A że ludzie sobie głowy tym nie zaprzętają, to dziwo... Niechby poczuli, co ja czuję... Powiadaj dalej, co słyhać!

— Moskwa rozejm w Dziewulinie zawarty zerwała i w granice Litwy weszła... Krzysztof Radziwiłł, hetman, już poszedł naprzeciw...

— Należałoby dać Moskwie tęgiego łupnia...

— Radziwiłł robi, co może, żeby jako victor móc wrócić na Sejm, którego zaraz po Wielkiejnocy będzie otwarty...

— Są jakie ważne materie przewidziane na Sejmie?

— Jedna ponad wszystkie ważna, dla której Radziwiłł będzie za stawał, byle skończyć w porę: zezwolenie Stanów na małżeństwo króla z Elżbietą, córką reńskiego palatyna...

— Księcia Fryderyka?! Znałem go! Ale to heretyk i heretycka rodzina...

— I król angielski, którego wujem pannie wypada, heretyk, i sama panna z reformatorskiej pasji pono znana.

— Na to Stany nie zezwolą. Uchwaliliście przecież na przeszłym Sejmie, że tak jak żaden pan nie może być obrany, jeno ten, który jest Romanae orthodoxae religionis catholicae — tak teje samej wiary ma być i królowa. Sive natione, sive vocatione?

— Był taki projekt podany do łaski, ale nie przeszedł z racji silnej opozycji dysydentów. Może król już wtedy o swoim małżeństwie zamyslał, bo nie popierał...

— Takie małżeństwo nie może otrzymać zgody Stanów!

— Nie powinno, ale je łatwo otrzyma. Król góry złote poplecznikom obiecuje, bo w gładkości palatynówny rozmilowany — dysydenci robią,

co mogą, bo dla nich to nie lada zwycięstwo, a opierać się nie ma komu.

— Co też prawisz?!

— Pięć lat blisko, Mikołaju, jak w sejmach udziału nie bierzesz. Najpierw z powodu choroby, potem rzymskiego casusu. Nie wiesz więc wcale, co się dzieje. A ja wiem i powiadam. Stoimy wobec ciężkich dla wiary świętej terminów. Władysław niepodobny jest do ojca. Tamten był o wiarę świętą aż do zbytku dbały, ten bynajmniej. Na białogłowy wrażliwy i żona powiedzie go łącno, gdzie zechce... Dysydenci znów wzmocnili się znacznie i snadno mogą mieć większość w Sejmie.

— Cóż nasi robią?

— Nasze stronnictwo bardzo podupadło. Głowy nie ma, ludzie ubyli co znaczniejsi. Prymas obecny ani się umywa do dawnego. Skoro tylko Wężyka mianowano, rozumieliśmy, że słaba w nim będzie podpora dla kościelnej nawy... Dobry, uczony człowiek, ale miękki, lękający się wszystkiego. Reszta albo obojętna, albo boi się narazić... Wiadomo, że po opozycji, szczególnie w tak osobistej materii, darmo się spodziewać łaski królewskiej! A intratne wakanse czy tłuste starostwa lubej woni nie straciły...

— Niewesołe rzeczy prawisz... Przy takim aspekcie heretycka królowa straszna i zdradliwa rzecz!

— Toteż nuncjusz Visconti niemałe co do tego żywi aprehensje...

— Jest nowy nuncjusz?

— A jest. Mediolańczyk. Arcybiskup larysseński, światły i rozumny człowiek, ale dla nas, katolików, czarne stawia horoskopy.

— Z racji onego małżeństwa?

— Z racji onego małżeństwa. Toż z dawna wiadomo, że jaka żona, taki mąż. Powiada też, że brak w Polsce ludzi znających swą wiarę... Że dysydenci wiedzą, czego chcą, a katolicy nie wiedzą.

— Hej, wiedziałbym, czego chcę jako katolik, gdyby na mnie klątwa nie ciążyła!

— Kto ci broni powiedzieć, co wiesz, i pociągnąć wszystkich?

— Swoje racje wyłożyłem przed chwilą.

— Nie urażając, wyznać muszę, że prymasa czy nuncjusza one racje by nie przekonały. Jakie jest, twoim zdaniem, walne impedimentum wyjazdu? Obawa przed kpinami różnowierców?

— Próżno gadać, stary. Mniejsza o to, czego się boję, ale nie pojedę. Umarłem, a upiórów nikt rad nie ogląda.

## Rozdział osiemnasty

W komnacie matczynej było ciepło, woniało kadzidłem i dymem z jałowca. Na kominie strzelał ogień, odświeżając powietrze, Anusia leżała na wznak, drzemiąc. Wychudłe jej dłonie, podobne do dłoni dziecka,



spoczywały na piersiach. Różaniec, który usiłowała przed zaśnięciem sumiennie odmawiać, owijał się wokół nich. Tak leżąca wydawała się być zmarłą, wejście jednak Kryski przebudziło ją.

Frasobliwa ostatnio dwórka wyglądała dziś zgoła inaczej. Cała w rumieńcach, tajemniczych uśmiechach, przypadła do łoża takim samym zwiewnym ruchem, jakim Anusia niegdyś klękała przy łożu ojca.

— Paniuńcia nie śpi? — szeptała. — Paniuńci coś powiem... Ale żeby nikt nie słyszał... I powtórzyć nie można nikomu... A ja powiem...

Anusia spojrzała na nią wzrokiem schodzącym z daleka.

— Dlaczego nie można powtórzyć? — zapytała słabo, nie przejawiając zaciekawienia.

— Bo to o paniczu Staszku... Paniuńciu! Pan marszałek koronny przyjechał... Słyszałam, co powiedział do Jaśnie Wielmożnej Pani... Że panicz jak dzik po lasach się błąka... I myśli, że panienka już postrzyżona, bo gdyby wiedział, że jest doma...

— Nie wolno mi tego słuchać — przerwała wojewodzianka mocniejszym nieco głosem. Blade przed chwilą policzki powłókł gorący rumieniec.

— Paniuńciu! Laboga! Toć paniuńcia jeszcze nie w zakonie... Grzechu nie ma... A pan marszałek mówi, że...

— Nie wolno mi tego słuchać — powtórzyła Anusia już rozkazująco. — Wracaj do roboty, Kryska...

— Już idę, paniuńciu... Jeno dopowiem...

— Nic nie dopowiesz... Nie chcę...

Markotna i zawstydzona dziewczyna wycofała się z komnaty. Dopiero gdy znikła za drzwiami, Anusia wybuchnęła płaczem tak gorzkim i rzewnym, że zdawało się, iż łkania przerwą jej wątłe ciało, a wojewodzianka, która w godzinę później przysłała, ni perswazją, ni solami trzeźwiącymi nie mogła jej uspokoić.

Przewielebna ksieni łuckiego klasztoru Panien Benedyktynek, urodzona Agnieszka Woyniłowiczówna, przyjęła list wojewody brzeskiego oraz towarzyszący mu miešek dukatów z podwójnym uczuciem radości i zakłopotania. Jako zabieглиwa, mądra przeorysza, jałmużniczka i krzewicielka oświaty, potrzebowała stale pieniędzy, toteż hojny dar ucieszył ją szczerze. Równocześnie jednak bez entuzjazmu myślała o przybyciu Anusi. Bała się jak ognia sióstr, choćby bogatych, skoliganych, lecz wstępujących do klasztoru raczej z rozporządzenia rodziców niż z własnej woli. Owych panien brzydkich lub nieposażnych, owych niefortunnie zakochanych albo w kołysce Bogu poświęconych, które wpychano przemocą za kratę. Wieloletnie doświadczenie nauczyło ją, że częściej diabeł niż anioł odnosi korzyść z takich mniszek. A ile zgorszenia i pokus wynika stąd dla pozostałych sióstr! Ile dodatkowych biczowań administrować musi przełożona dlatego tylko, że jedna duszyczka trwa w nieugaszonym buncie i rozpaczy! Rodzice, jak to rodzi-

ce. Wyobrażają sobie, że dzieci są ich własnością, obowiązane czynić to, co oni każą. Zapominają lub nie wiedzą, że miła Bogu jest tylko własnowolna ofiara.

Pierwszą wiadomość o rychłym przybyciu do klasztoru Anny Sapieżanki, córki wojewody brzeskiego, Mikołaja, matka Agnieszka przyjęła z zadowoleniem. Znając swych powinowatych, sądziła, iż zachodzi tu rzeczywiste powołanie. Lecz przez ubiegłe półrocze zdążyła zasłyszeć niejedno, skąpe zaś informacje, umiejętnie przez nią wydobyte z imię Kiersnowskiego, przybyłego z listem, obawy jej potwierdziły. Dziewczyna była zaręczona. Ojciec kazał jej iść do zakonu, skoro został ekskomunikowany. Słusznie czy nie słusznie zrobił — jego rzecz. W każdym bądź razie ucierpi na tym porządek w klasztorze. Znow się zaczną wzdychania, melancholie, zwierzenia innym siostrom, jak to było z nowicjuską Beatą Komorowską, która na szczęście prędko umarła...

Bóg może obciążać dzieci odpowiedzialnością za grzechy rodziców. Jego święta wola i prawo... Rodzicom natomiast nie wolno składać swych win na barki dzieci, bo każda dusza odpowiada za siebie — myślała rzeczowo ksieni. — Chętnie pokonferowałabym o tym z Mikołajem, gdybym mogła...

Prośba o przysłanie siostry była również kłopotliwa. Jednej posłać nie uchodzi, a pozbywać się z klasztoru dwóch — duża strata. Żle, źle... Gdybym jednak posłała kogoś mądrego, na przykład siostrę Placydę, dałaby mi znać, jak rzeczy naprawdę stoją... Czy dam sobie tutaj radę bez siostry Placydy? W tym sęk... Dom bez niej jak bez ręki... Ha, chyba ją posłę... A którą drugą dodać? Może Hiacyntę, która jest cicha jak myszka, a ciągle słabuje?... Przyda jej się dobry, sapieżyński wikt i odpoczynek...

Matka Agnieszka, powziąwszy postanowienie, nie lubiła zwlekać z jego wykonaniem. Tegoż wieczoru zatem oznajmiła siostrom Placydzie i Hiacyncie, że pojedą na kilka niedziel, może nieco dłużej, do Kodnia.

— Do tego Kodnia, którego pan został wyklęty? — zapytała ze zgrozą siostra Placyda.

— Tak jest, do tego samego.

— Przewielebna Matka nie obawia się, że pobyt pod jednym dachem z wyklętym...

— Nie obawiam się wcale, natomiast chcę wiedzieć, czy nowicjuszka, którą pielęgnować będziecie, ma rzeczywistą inklinację do klasztoru. Zanim tu z nią przyjedziecie, chcę dostać o tym relację.

Siostra Placyda złożyła ręce na piersiach i skłoniła się głęboko na znak uległości. Przeorysza wezwała z kolei pana Kiersnowskiego, który zacukał się i zdumiał, posłyszawszy, że obie wielebne siostry mają z nim nazajutrz jechać. Usiłował oponować, że sanie nie dość wygodne, że pan wojewoda przyśle, nie mieszkając, przyzwoitą i odpowiednią kolebkę — lecz ksieni przerwała obiekcje stwierdzając, że służkom Bożym prostota przystoi.

Zazwyczaj spokojny i opanowany pan marszałek koronny Drohojowski wściekł się i siarczyście kłął. Nie dziwota: wyjeżdżając z Siedlec po dłuższym popasie, zauważył, że obie dyszlowe kobyły, piękne, bułane tureckie kobyły, zostały ochwacone na zadnie nogi! Luzacy i woźnica, gałgany, nie wytarli słomą albo napoili je za prędko... Bodaj ich kat poił! Nawet łogoszowi oberwali tęgie lanie, chociaż najmniej winni, gdyż tylko nad pojazdem mieli pieczę, nie nad końmi. A łotry! A obwiesie! Cholera miotająca marszałkiem nie ustępowała, bo jakżeż do stolicy, w której zebrało się wszystko, co w Koronie i na Litwie najprzedniejszego, wjeżdżać ochwaconymi woźnikami! Prześmiewni koroniarze dopieroż by go wzięli na ozory! Nie było rady. Konie należało zmienić, ryzykując spóźnienie się na otwarcie Sejmu. Pacholek Andruszka siadł na najlepszego konia i pognał co ducha z powrotem do Brzezia, by przyprowadzić nowy zaprzęg. Za nim winowajcy wlekli się smętnie, wiodąc kulejące, ochwacone klacze. Zły jak pies, marszałek koronny czekał na ich powrót w Siedlcach. Pocieszyła go nieco wiadomość zasłyszana, że z przyczyny złej drogi otwarcie Sejmu odłożono na dwie niedziele.

Aczkolwiek Andruszka spieszył, mając surowo nakazane powracać z końmi co rychlej, starczyło mu czasu, by opowiedzieć w czeladnej szczegóły pobytu w Kodniu. Spragnionemu wiadomości o swej miłej Kacprowi powtórzył wszystko, co mu Kryska poleciła. Oprócz zapewnień wiernego uczucia, znajdowała się tam również podsłuchana opinia wojewodziny o przyczynie choroby Anusi.

Przypadek, niesłusznie przez krótkowzrocznych ludzi zwany ślepym, będący w rzeczywistości czółenkiem miotającym wzór Bożego ściegu, działa niezawodnie i celowo. Jeszcze para skarogniadych (bułane ze skarogniadymi na krzyż — ujdą) nie zdążyła wyjechać z granic Brzezia, gdy Staszek został przez Kacpra należycie poinformowany. Od tych informacji obraz Anusi, niedoszłe małżeństwo, ostatnio przez czas nieco zaleczone, odżyły znowu z poprzednią mocą. Młody Drohojowski oszalał. Zajeżdżał konie, nie bacząc na śnieg, obracając w głowie przeróżne zamysły. O, nie usiedzi nadal spokojnie w ojcowskim Brzeziu, gdy tam przyrzeczona umiera z miłości do niego. Niebożátko lube, jagniątko biedne, Anuśka! Miłość jest jak płomień — powiadają ludzie, mając przy tym na myśli jej żar i blask. W rzeczy samej miłość jest przez to do płomienia podobna, że tak jak on potrzebuje ciągłej pożywki. Napotkawszy pustkę ginie. Wiadomości dostarczone przez Andruszkę podziały na uczucie Staszka jak sucha jedlina dorzucona do przygasającego ognia. Płomień strzelał wysoko, unosił go ze sobą w górę, nasuwał niezwykle i śmiałe pomysły. Klębiły się w jego głowie, nie wiedział, co wybrać. Ruszyć z supliką do wojewodziny, do wojewody czy do samego Króla Jegomości? Może lepiej do księcia prymasa? Przebłyski chłodniejszej rozważki ukazały jemu samemu bezcelowość tych zamierzeń. Nikt się nie przejmie skargą dwojga młodych i nikt nie zechce w ich obronie interweniować. Wola rodzicielska jest święta i król na pewno nie

zechce podważać jednego z ważkich fundamentów autorytetu. Skoro ekskomunikowany Pius (jak za plecami szydlerczy wojewodę nazywano) przeznaczył córkę do klasztoru — odwołania od tej decyzji nie ma. Jedyne sojusznik, jakiego Staszek mógł znaleźć, urodzona Agnieszka Woyniłłowiczówna, przeorysza, nie przychodziła chłopcu na myśl. Skoro zatem nie istniała żadna potencja skłonna mu dopomóc, jedyne, co pozostało — rapt. Czasy, w których żył, były czasami samowoli i zdarzało się nieraz, że konkurent, poczęstowany czarną polewką, nie rezygnował, lecz usiłował pannę wykraść. Głośna historia nieszczęsnej Halszki Ostrogskiej żywo stała wszystkim w pamięci. Rapy nie zawsze zresztą kończyły się tak dramatycznie. Częstożród rodzice przyniewoleni udzielali zezwolenia i błogosławieństwa. Był to sposób rycerski, nabrzmiały echami starych zwyczajów wykradania przyszłej. Ryzyko towarzyszyło mu, owszem, niemałe. W razie schwywania winowajcy w momencie zamachu, ojciec, brat porwanej, albo ich zastępcy mieli obowiązek mieczem zuchwalca pokarać lub obatożyć, co było despektem gorszym niż śmierć. W całej zaś Rzeczypospolitej znana była pocieszna historia niefortunnego aspiranta do ręki jejmościanki Słuszaneki, Hipolita Jaronia herbu Strzała. Ojciec panny przejął list konfidencjonalny, nic po sobie nie pokazał, chustkę umówioną w oknie na znak zgody wywiesił i na proponowane miejsce schadzki wyprowadził starą, głuchą pannę respektową, w stroiki córki przyodzianą. Kawaler w gorączce afektu zamiany nie dostrzegł i porwał na konia fałszywy skarb. Jużci musiał się rad nierad z wykradzioną dziewicą ożenić.

Wszystkie te refleksje, wspomnienia, pomysły hasały po rozpalonej głowie eks-narzeczonego, nie osłabiając jego pragnień działania. Porwać Anusię i przywieźć do Brzezia. Nie znajdzie się wtedy nikt, co by mu przyganił. Ale jak rapt przeprowadzić? Tu impet myśli przystawał, niby koń przed zbyt wysoką przeszkodą. Bo co innego wykraść pannę z lada szlacheckiego dworu, gdzie stróż i para kundli obejścia pilnuje, a co innego z kodeńskiego zamku. Most na noc podnoszony, mury, straż na murach... Laboga, toż to nie na siły ludzkie impreza! Mogłaby się udać tylko w jednym jedynym wypadku: gdyby Anusia sama chciała ku miłemu wyjść... Ale ona słaba podobno... Z łoża od paru miesięcy nie wstaje...

W każdym wypadku zasięgnięcie języka było najpilniejszą rzeczą. Kacper sam się nasuwał jako posłaniec, pewny, bo osobiście zainteresowany. Tylko jaki powód jego podróży do Kodnia wymyślić?

Kto chce psa uderzyć, kij zawsze znajdzie. Staszek napisał list do pana Moczydłowskiego, proszący o przepis na trutkę na lisy. Kacper pojechał. Młody Drohojowski nie odziedziczył po ojcu cnoty cierpliwości, przeto nie mógł usiedzieć na miejscu w oczekiwaniu powrotu wysłańca. Nie dbając o wichry marcowe, o pluchę przedwiośnia zacinającą mroźnymi igłami, ganiał po lasach rozgorączkowany i niespokojny. Niecierpliwość jego wzrastała w miarę, jak pobyt Kacpra się przedłużał. A przedłużał się, ponieważ pan Moczydłowski, chcąc wszelką uprzej-

mość okazać, postanowił do przepisu dołączyć trutkę własnoręcznie przyrządzoną. To ostatnie zaś wymagało drobiazgowych zachodów i czasu.

Kwiecień dał już w wiosenne flagi, kiedy Kacper na koniec powrócił. Wiadomości, jakie przywiózł (niezależnie od trutki), były dobre i złe. Dobre, bo wojewodzianka była pono zdrowsza. Już ją nawet wynoszono z krzesłem na słońce i Kacper widział ją z daleka, bielutką, siedzącą. Złe — bo towarzyszyły jej dwie zakonnice z łuckiego klasztoru, sypiające w komnacie przyległej do panińskiej komnatki i stale na zmianę przebywające przy pannie. Mają pozostać, póki ona całkiem nie ozdrowieje, a potem z nią razem do klasztoru wrócić.

Ta wiadomość była ciosem. Więc i o wykradzeniu nie ma mowy! Jedyną nadzieją mogło być porwanie w drodze pomiędzy Kodniem a Łuckiem. Nadzieja to jakże słaba! Anusia nie wyjedzie z zakonicami samotrzeć. Wojewoda doda jej dla splendoru nieszczupły taborek. Daremnie próbować, nie mając ze sobą kilkunastu tęgich zbrojnych.

Skąd ich wziąć? Zwierzyć się ojcu? Ojciec nie zezwoli. Jest przeciwny wszelkim gwałtom. Więc co począć?!... W ostatecznej rozterce zwracał się z gorącą modlitwą do Boga. Każdy człowiek tak postępuje, kończąc n'a tym, od czego należy zaczynać. Wokół Staszka wszyscy mówili o cudach za pośrednictwem Najświętszej Panny Kodeńskiej sprawionych, w całej Polsce już głośnych. Pragnął najzarliwiej pojechać tam również i kołatać o cud, o łaskawą w jego sprawie interwencję. Lecz pielgrzymka, dostępna każdemu, właśnie dla niego stawała się trudna. Pojedzie jawnie, to wzbudzi w domu sapieżyńskim niepokój i kto wie, może przyspieszy odwiezienie Anusi do Łucka? Wmieszany niepostrzeżenie w gromadę pątników, może zostać rozpoznany również i tym większe podejrzenie wywoła. Szarpał się z rozpacz, jak gdyby ostatnią deskę ratunku tracąc z ręki, i w tym podobny do ogółu ludzi, że sądził łacniej ubłagać Boga w miejscu słynącym cudami, nie wiedząc, że owe miejsca dla podtrzymania słabości ludzkiej są zezwolone, nie dla mocy Bożej, wszędzie jednakiej i wszędzie obecnej.

## Rozdział dziewiętnasty

Decyzja pana Sapiehy wyjazdu na Sejm zdumiała wszystkich, może i jego samego. Przeciwny opuszczeniu bodaj na krótko dobrowolnego więzienia, unikający twarzy ludzkich, obudził się któregoś dnia z przekonaniem, że jechać trzeba i że jechać musi. Co będzie, to będzie, on swój obowiązek senatora Rzeczypospolitej wykona. Czasu było mało, więc zebrał się w jeden dzień, wywołując w domu niesłychany zamęt. I dobrze się stało, że nie miał czasu namyślać się dłużej, kto wie bowiem, czy starczyłoby mu odwagi do końca. Wprawdzie nie potrzebo-

wał obawiać się powtórnego zamachu na obraz. Kanonik, żona i obie siostry benedyktyнки przyrzekli mu strzec należycie Matki Bożej, przy tym wiadomość o mocach straszliwych broniących obrazu znana była już szeroko. Nie tego się bał, lecz przewidywał, że każdy krok będzie powodem bolesnych upokorzeń. Jakoż istotnie tak było. Oto przy drodze stoi Męka Pańska. Wszyscy towarzyszący mu zdejmują nabożnie czapki. Wyklęty może się nie fatygować. Bogu nie zależy na tym, czy zdejmie ją lub nie. Wojewodzie wstyd nie odkryć głowy, lecz odkrywszy, domyśla się, że służba powtarza sobie na ucho, iż uczynił to bezprawnie. Truje się tymi myślami, choć w rzeczywistości dworzanie i pacholcy dalecy są od sądów, które on im przypisuje. Co innego ich obchodzi i tylko przesadna wrażliwość pana Sapiehy podkłada im jego własne mniemanie.

Oto postój niedzielny i wszyscy udają się na mszę. Tylko on jeden nie. Został w izbie zajezdnej, udaje, że śpi. Ludzie miejscowi, zdążający tłumnie na sumę, dziwią się temu i pytają o przyczynę absencji. Nim pan Hornowski zdążył poradzić im, by szli swoją drogą, nie ciekawiąc się cudzymi sprawami, Iwaśko albo Daniłko już objaśnili, że pan jest „proklatyj”. Wyklęty i do kościoła chodzić mu nie wolno. Od tej chwili dzwonek dawno sygnalizuje, że msza rozpoczęta. Zapominając o nabożeństwie, tłum pcha się do drzwi, do okna, by zobaczyć wyklętego. Jak wygląda? Czy znać po nim, że jest już własnością diabła? Pan Sapieha usiłuje nie widzieć ciekawych, nie słyszeć, lecz drażnią go niewypowiedzianie. Zwłaszcza że zdaje sobie sprawę, iż to dopiero początek, przedsmak tego, co będzie w Warszawie.

Myśl o Anusi spychała na drugi plan osobiste wstręty, lecz również kojąca nie była. Cięła serce jak nożem. Anusia nie żywiła do ojca żalu. Gdy przyszedł ją pożegnać, przylgnęła ustami do jego dłoni z ufną czułością, mówiąc: „Tateńku” — jak niegdyś, gdy była małym dzieckiem, nieświadomym obowiązującej etykiety. Na to wspomnienie lzy mu stały w oczach, lzy, rzecz niezwykła u starego, twardego człowieka. W ślad za tym poczynały ogarniać go wątpliwości, czy dobrze uczynił poświęcając córkę i czy nie zbyt wielkiej ofiary wymagał?

Gdy ludzkie ciekawości i własne myśli, i szarpiące wątpliwości zbytnio mu już nadojadły, uciekał się duszą do umiłowanej Pośredniczki i Królowej. Przekonał się ostatecznie, że nie tylko przed obrazem może odczuwać jej Boską obecność. Kojące Jej dłonie towarzyszyły mu wszędzie, podtrzymując i dodając odwagi. Jak zwykle, ilekroć myślał o Niej, przestawał czuć się wyklętym i samotnym. I krzepił się przekonaniem o słuszności swej podróży. Broniąc na Sejmie interesów wiary, nie będzie bronił sprawy Matki Bożej?

Choć uroczyste otwarcie Sejmu nastąpiło jeszcze we środę, sprawa królewskiego małżeństwa dotychczas rozpatrywana nie była. Utartym bowiem zwyczajem dzień czwartkowy przeznaczony był na remisje od sądów poprzednich, piątek i sobota na sprawy gardłowe, poniedziałek

dopiero na skarbowe, królewskie i kwarciane. Dziś był właśnie poniedziałek.

Toteż obie Izby, świecące pustkami w dni poprzednie, zapełniły się gęsto od rana i gdy Michał Tryzna, stolnik litewski, marszałek sejmowy, ogłosił rozpoczęcie obrad, nie brakło nikogo w Senacie ni w Kole Rycerskim. Król Władysław siedział w szczycie sali na krześle tronowym. Znający go dobrze wnosili z niecierpliwego ruchu palców, którymi przebierał po poręczy krzesła, że wynik obrad wielce mu leży na sercu. Chwilami bystrym wzrokiem obiegał zgromadzenie, jak gdyby usiłując zawczasu poznać, kto będzie po jego stronie, a kto przeciw. Lecz dostojnicy, mający niebawem rozstrzygnąć losy nagłego jego sentymentu do urodzonej księżniczki Nejburskiej, siedzieli w głębokim milczeniu. Na czele duchowieństwo: arcybiskup gnieźnieński Wężyk, prymas Rzeczypospolitej; Łubieński, biskup płocki; Kanclerz Koronny Zadzik, biskup chełmiński; Piasecki, biskup kamieniecki; Tyżkiewicz, biskup żmudzki — i inni. Za książętami Kościoła wojewodowie: Tarło ze Słupna — lubelski, Działyński — pomorski, Radomicki — inowrocławski, Gosiewski — smoleński, Drohojowski — marszałek koronny, Jerzy Ossoliński — podskarbi koronny i wielu, wielu innych. W osobnej grupie zebrali się dysydenci, od śmierci króla Zygmunta znacznie wzmożeni, Krzysztofa Radziwiłła hetmana na przód jako swego prowodyrę wysyłając. Za Radziwiłłem siedzieli: Firlej — wojewoda łęczycki, Grudziński — wojewoda kaliski, Wołucki — wojewoda rawski i dalsi. Wszyscy ciasno obsiadłszy ławy zlewali się w zwartą ciżbę migocącą barwami obszernych i bogatych strojów. Nad wiśniowym karmazynem, zielenią lub szafirem delii, puszystą miękkością futer, migotliwym złotem zapon wznosiły się głowy chmurne, poważne, orle, dobroduszne lub złośliwe, nierzadko tępe, rozwiązłe. Dbałe o dobro Rzeczypospolitej lub chciwe na własne korzyści. Wszyscy słuchali deklaracji odczytywanej przez marszałka sejmowego, stolnika litewskiego Tryznę:

„...Skoro więc za łaską Bożą i wolnymi głosem Obojga Zjednoczonych Narodów na tym wysokim zasiadł tronie — pierwszym studium Jego Królewskiej Mości było wszystkie prerogatywy, jakie od Antecesorów swoich, świętej pamięci Królów Polskich otrzymał, w tejsze dostojności i sile zadzierżyć, nic z nich nikomu nie uszczuplając. Którym to postanowieniem tuszy sobie słusznie Miłościwy Pan posiadać dostateczne zaufanie i miłość poddanych, by aprobatę Wysokich Stanów w takej sprawie otrzymać.

Zważywszy opłakane skutki wynikające z bezpotomności Pamazańców Bożych, jako to bezkrólewia i pożałowania godne zamieszki wstrząsające organizmem Rzeczypospolitej, zważywszy również, że nawet Monarcha jako każdy człowiek do życia małżeńskiego jest stworzony i przykrząc sobie samotne łożo, rozrywek Majestatowi nieodpowiednich staje się zwolennikiem — Najjaśniejszy Pan, Król Miłościwy komunikuje niniejszym, Wysokim Stanom w obu Izbach reprezentowanym,

ze małżonkę postanowił pojąć i jako Królowę Obojga Narodów na tronie przy boku swym posadzić. Kandydatką do tego zaszczytu Miłościwy Pan wybrał księżniczkę Nejburską Elżbietę, palatynównę reńską, księcia Fryderyka, elektora Państwa Rzymskiego córkę.

Foremność niezwykła tej panny, jako też podziwienia godne zdrowie skuteczną dają rękojmię płodności, zacnymi zaś obyczajami oraz starożytną świetnością cały ród jej się zaleca. Król angielski, który wujem księżniczce wypada, wielce ono małżeństwo popiera. Nie od rzeczy będzie wyjawić, iż sekretnie posłowi Jego Królewskiej Mości, imć panu Zawadzkiemu powiedział, jako korzystnych koncesji handlowych i morskich udzieli, w razie zaś niebezpieczeństwa na pomoc Rzeczypospolitej z potężną flotą pośpieszy. Ważkie to są obietnice i godne wielkiej uwagi! W sprawie różnicy wiary, mogącej zaniepokoić niektóre umysły, oznajmić możemy, jako księżniczka Nejburska, wraz z matką swoją, z królewskiego rodu Stuartów pochodząca, solennie imć panu Zawadzkiemu obiecały, że księżniczka wiarę po ślubie zmieni, do prawdziwej religii powracając.

...Tedy Miłościwy Pan pod głosowanie Wysokich Stanów Obojga Zjednoczonych Narodów powyższy projekt fortunnego małżeństwa przedkłada, na aprobatę, w którą nie wątpi, łaskawie czekając...”

Marszałek sejmowy zamilkł i spojrział wyczekująco po obecnych. Lecz oni milczeli również ogarnięci właściwą powszechności niechęcią do wyjawienia swej opinii, nie poznawszy wprzód opinii drugich. Niech się kto inny pierwszy wypowie... Sprzeciw będzie trudny, bo Miłociwemu bardzo widać zależy na palatynównie. Aż króla angielskiego z flotą wysuwa! Jak gdyby flota brytyjska mogła co pomóc przeciw Moskwie lub Wysokiej Porcie!

Król, jawnie zniecierpliwiony, coraz żywiej przebierał palcami po poręczy tronowego krzesła. Oczami obiegał swoich zwolenników, już skaptowanych perswazją lub dotacjami. Przynaglony tym wzrokiem Piasecki, biskup kamieniecki, o twarzy układnego dworaka, powstał i zażądał głosu.

Marszałek sejmowy Tryzna przyzwolił skwapliwie, marszałek Drohojowski skrzywił się niechętnie i porozumiewawczo spojrział na prymasa. Źle się stało, że właśnie ten człowiek pierwszy przemawia. Będzie gardłował za projektem i przekona wszystkich lęklivych leniwców, że nie ma o co szermować. Źle się stało. Urodzony mediator poczuł spóźniony żal, że zbyt długo z zabranieniem głosu zwlekał.

— Z niemałą radością — zaczął biskup — posłyszeliśmy, że Miłociwy Pan w związku małżeńskie wejść pragnie, by rodowi swemu potomstwo zapewnić, a Rzeczypospolitej niepokojów nie przysporzyć. Czcigodne to są zamiary i któż by im z miejsca nie przyklasnął?! Podobnie wybór małżonki tego chyba nie zadowolni, co rad wszędzie samo zło widzi... Ród starożytny, panna obyczajów zacnych, prozapia wspaniała. Wybór przez doskonałego pana dokonany nie może innym być niż doskonałym. Zdawało mi się widzieć niewczesne uśmiechy na



twarzach ichmościów, gdy słyszeliśmy wymienione w deklaracji zapewnienia Jegomością Króla angielskiego! Tylko umysł poza wiedzę nie wybiegający może lekceważyć znaczenie sojuszu z potężną Wielką Brytanią! Traktaty handlowe, flota! Toż to korzyści niemałe! W drażliwej zaś kwestii wiary sędzę, iż skoro mamy solenne zapewnienie rychłej zmiany wyznania, Ojciec Święty chętnie indultu na to małżeństwo udzieli. Bogobojnego ojca syn żadną miarą nie może być o obojętność dla spraw wiary posądzony. Przywiedzie on tę zbłąkaną owieczkę do owczarni Kościoła niechybnie...

..Nie brak w historii przykładów małżeństw różnej wiary, z których dla narodów im poddanych wielkie korzyści wynikły miast szkody. Wspomnę związki Katarzyny Walezjuszówny z Henrykiem Burboniuszem naówczas królem Nawarry... Magdaleny bawarskiej z Wulfngangiem Nejburskim... Całkiem świeże śluby Marii francuskiej z Karolem angielskim... Lecz po cóż sięgać daleko skoro ojczyste dzieje podobne przykłady cytują? Korona Królowej Polski nie spoczęłaż na głowie Heleny, schizmatyczki, moskiewskiego cara córki?

...Zaiste należy więcej swobody zostawić monarchom w wyborze towarzyszki życia. Pobłażyć inklinacjom uczciwego afektu, dać Majestatowi te prawa, którymi cieszy się każdy poddany...

Biskup Piasecki zamilkł, skłaniając się nisko królowi, który odpowiedział mu uśmiechem. Z ławy dysydenckiej rozległy się głosy aprobaty. Marszałek Tryzna stuknął laską, pytając, czy jeszcze kto chce w tej materii głos zabrać, czyli też, nie mieszkając, głosowanie nad wnioskiem przeprowadzić?

— Dyskusji jeszcze nie było! — zaproponował Drohojowski.

— Dyskutantów nie widzę — odciął się marszałkowi koronnemu marszałek sejmowy.

Istotnie dyskutanci nie występowali. Na próżno prymas Węzyk wodził błagalnym wzrokiem po swoich, zachęcając niemo do oporu i dyskusji. Sam nie decydował się na zabranie głosu. Nie posiadał daru słowa, grzeszył zbytnią nieśmiałością i nie potrafił obronić żadnej tezy, choćby najsluszniejszej.

Wymowne jego spojrzenia nie osiągały skutku również. Nikt się nie kwapił bronić sprawy 'zawczasu przegranej, gdyż wystarczyło spojrzeć po obecnych, by poznać, że nie myślą o nią walczyć. Projektowane małżeństwo króla nie groziło uszczupleniem swobód i przywilejów szlascheckich, przeciwnie, za przyzwolenie uda się może to albo owo uzyskać.

Tak myśleli jedni. Drudzy, mniej zainteresowani, sądzili po prostu, że szkoda narażać się królowi, jeśli to zamierzonemu związkowi nie przeszkodzi. Skrupulatom — bo byli i tacy — przemówienie biskupa kamienieckiego uspokoiło sumienia. Skoro biskup małżeństwo popiera, a prymas nie protestuje, nie ma potrzeby okazywać zbytecznej gorliwości.

Marszałek Tryzna znów zastukał laską.

— Zali Wysokie Stany — zapytał — zgadzają się na rozpoczęcie wotowania?

— Wotować! Wotować! — zakrzyczała większość Izby.

— Ja głosu proszę — rzekł donośnie pan Sapieha, wychodząc na środek sali.

Zdumieli się wszyscy jego pojawieniem, bo wszedł wcześniej nieznacznie, i cicho za innymi siedział. Z grupy dysydentów posypały się szydliwe przycinki.

— Dziw! Dziw! Wojewoda brzeski!

— Pius dictus — maledictus...

— Jakżeś to, mości wojewodo, nie lękał się wejść tutaj, gdzie tylu biskupów siedzi?

— Patrzenie waszmościowie, jak duchowieństwo pobladło...

— Zgoła niesłusznie. Żarliwy to bogomodłca. Obraz ze sobą zabiera, żeby pacierza nie przerwać...

— Powiadają, że teraz czym gorliwszy katolik do Rzymu przyjedzie, tym pilniejsze papież strażę stawia koło skarbcu.

— A jak koło kościoła przechodzi, księża wybiegają z wodą święconą, by go pokropić...

— Siarką zapachniało w izbie, jak Bóg miły!

— Karnkowski by go tu nie ścierpiał, gdyby jeszcze prymasował...

— Za pozwoleniem! — krzyknął Radziwiłł, zrywając się z krzesła. — Jakim prawem zabiera głos wojewoda brzeski sub poena infamii kościelnej będąc? Nie usuniętoż stąd Braci Polskich, Chrystianami zwanych, mężów najprzedniejszych, dobrze zasłużonych, tylko dlatego, że Kościół katolicki potępił ich wiarę? Nie jestem katolikiem, ale mierzi mnie, by świętokradca zabierał głos w Senacie!

— Słusznie! Słusznie! — przytaknęli inni. Wnet ich przeciwnicy, aby zaznaczyć dyferencję zaczęli wołać.

— Niech gada! — Nie mogąc się przekrzyknąć wzajemnie, jęli tupać nogami. Inni zwracali się do prymasa o rozstrzygnięcie, ale w ogólnym tumultie nikt nie mógł dosłyszeć, czy otrzymali odpowiedź i jaką.

Król z gniewem wyciągnął rękę.

— Tu Wysokie Stany czy karczma lub stajnia? — syknął.

Uciszyli się. Pan Sapieha stał nieporuszony.

— Niech Waszej Królewskiej Mości nie obraża — rzekł — że insolito more, z pośrodku Izby przemawiam. Nie czynię tego z lekkomyślności ani z zuchwalstwa, lecz żebym był lepiej od Waszej Królewskiej Mości i Wysokich Stanów słyszany. Są tutaj głosy, żem przemawiać nie powinien. Czy słusznie, sam rozsądzisz, Miłościwy Panie. Wina za którą klątwą jestem pokarany, obchodzi jeno Boga i duszę moją. Ludziom nic do niej. Nie ukrzywdziłem tą zbrodnią ojczyzny, przeciwnie, wzbogaciłem ją o skarb, jakiemu równego nie masz. Siwej głowie mojej dając świadectwo, stoją za mną długie lata spędzone w znoju, na służbie mojej ojczyźnie... Nie czyniłem nic w one lata, z czego by niezwyknięty ojciec Twój, Miłościwy Panie, pociechy i pożytku nie miał.

Teraz banitą duchowym będąc, ekskomuniką obłożony, zdaję się na Twój sąd, Miłościwy Panie: godzi mi się z dawnego miejsca w senacie przemawiać, czy nie?

Zmierzyli się z królem wzrokiem. Władysław pomyślał: Tenci jest przeciwnikiem jedynym i groźnym. Uczyni wszystko, by mi Elżbiety zabronić... Ale odebrać mu głosu nie mogę...

— Mów waść — rzekł głośno po niedostrzegalnym wahaniu. — Oczywiście — dodał — jeżeli Jegomość Prymas obiekcji nie stawia.

Wyklęty spojrział wyczekująco na ławę duchowieństwa, ale prymas Wężyk milczał, jakby nie dosłyszał.

— Tedy racz wysłuchać, Miłościwy Panie! Obiecaliśmy Ci wiary i posłuszeństwa według praw naszych dochować, obiecując dostojenstwa Twego i bezpieczeństwa wszędzie, jako cnym Polakom przystoi, bronić i obserwować. Pod pewnymi jednak kondycjami, których, wolnym narodem będąc, przestrzegać musimy. Przed chwilą usłyszeliśmy z nie-małym zdziwieniem wniosek o konsens na małżeństwo Waszej Królewskiej Mości z księżniczką Nejburską. Ile sama decyzja małżeństwa uradować musi naród, tyle wybór gwałtowny sprzeciw wywołuje. Uznanie heretyczki królową, toż naruszenie samego fundamentu wiary! Obiecuje nam pan marszałek w deklaracji swojej, że palatynówna reńska, królową polską zostawszy, wiarę odmieni, na łono prawdziwej wracając. Czemuż przedtem tego nie uczyni? Na co zwłoka? Skoro chętna decyzja powolnego serca jest, na cóż ją odkładać? Jakie gwarancje zmiany wiary daje księżniczka Nejburska? Cóż jej Wasza Królewska Mość uczynisz, skoro po ślubie do obietnicy tej czuć się nie będzie?

✓ Król zmarszczył brwi.

— Na jakiejże to podstawie śmiesz waść dobrą wiarę naszej przyszłej małżonki w wątpliwość podawać?

— Miłościwy Panie! Na tej podstawie, że gdyby księżniczka Nejburska szczerze błędy heretyckie rewokować chciała, tedyby to przed ślubem uczyniła! Miłościwy Panie! Nie możesz też zwać palatynówny przyszłą małżonką swoją, dopóki Stany zgody nie wypowiedziały. Nie kto inny bowiem, jeno niezapomniany ojciec Twój poprzysiął Stanom, że bez ich woli żony brać mocen nie będzie. Poprzysiął z kondycją de non praestanda oboedientia...

— Gorzka jest dola króla wolnego narodu — rzekł Władysław z hamowanym gniewem. — Niemało goryczy nałykał się tutaj mój ojciec. On, z dziedzicznych królów ze starożytnej dynastii, od zuchwałych pan-ków nauk musiał słuchać! Podobnie się ze mną zaczyna! Byle poddany ma prawo wyboru rodziny i żony, jeno nie ja!

— Boś Pomazańcem Bożym, Wasza Królewska Mość, nie byle poddanym. Wolnymi głosami obojga złączonych narodów wynieśliśmy Cię na tron, tedy ten fawor nakłada ciężary. Za koronę trzeba płacić. Płacić ofiarą z prywatnych radości. Niezapomniany ojciec Waszej Królewskiej Mości nie ode mnie goryczy doznawał. Przeciwnie. Nazywał mnie szczerym przyjacielem swoim, na którym może się opierać. Także

Twojemu Majestatowi nigdy nie uchybię ni autorytetu na szwank nie narażę. Jako jeden z najstarszych w tej Izbie jednak przypomnę Waszej Królewskiej Mości nieszczęścia, których przyczyną stał się nieposkromiony afekt Miłościwego Pana Zygmunta Augusta do wdowy po Gasztołdzie. Gdyby ów wielki król...

Radziwiłł i jego adherenci zerwali się z miejsc.

— Milczeć! — wrzasnęli. — Znieważa pamięć koronowanej królowej! Król podniósł się z tronu.

— Cisza! — zawołał. — Ja tylko mogę kazać milczeć! A waść, mości wojewodo, kończ prędzej swoje pouczenia!

— Niewiele mam już do powiedzenia, Miłościwy Panie, po czym uczynisz, co zechcesz. Miłościwy Pan Zygmunt August poszedł za skłonnością osobistą z pominięciem korzyści narodu, czego skutki były opłakane. A przecież nieboszczka, której przypomnienie tak uraziło pana hetmana, nie różniła się wiarą od narodu. Tam, gdzie ta różnica jest, wynik będzie stokroć gorszy. Wyliczał biskup kamieniecki wiele małżeństw dwojakiej wiary, powiadając, że z nich żadna szkoda nie wyszła. Nie chcę się spierać o to, czy wyszła lub nie, gdyż takie porównania, jak sądzę, tutaj się nie godzą. Nie lza miary jednego narodu przykładać do drugiego. Co może być dobre dla Angielczyka czy Szweda, nie będzie dobre dla Francuza albo Hiszpana, a cóż dopiero Polaka, który ze wszystkich narodów jest najbardziej wrażliwy, na wędzidło czuły, a do prowadzenia, jak koń krwi wysokiej, trudny. Powoływał się biskup kamieniecki na Helenę, Aleksandra Jagiellończyka małżonkę. Nie chciałbym uchybić duchownej osobie, lecz liche to porównanie. Schizma wschodnia; starożytna Cerkiew apostolska, to czcigodna siostra Kościoła i sam Ojciec Święty pobłogosławił w Unii ich złączenie. Cerkiew Kościołowi wrogiem nie jest. Natomiast herezja to wróg zacięty, nieubłagany! Nie wolno nam, wiary obrońcom, wchodzić z nią w kompromis. Nie wolno by najmniejszego ustępstwa uczynić bez widocznej i niepowrotnej szkody! Integralność religii ponad wszystkim stać musi i stać będzie! Dziś krok ustąpisz, jutro milę!

Król ziewnął ostentacyjnie.

— Obiecywałeś waść mówić niedługo?

— Wotować! Wotować! — rozległy się głosy na Izbie.

— Użycz mi jeszcze chwilę cierpliwości, Miłościwy Panie, po czym... uczynisz, co zechcesz... Jako panujący nad katolickim narodem...

— Nieprawda! — zakrzyknęli dysydenci. — Nad narodem, w którym wolność wyznania każdemu warowana jest!

— Miłościwy Panie! Zali do tego doszło, że w Sejmie Rzeczypospolitej katolicką już nie nazywają? Ichmościowie różnowiercy! Mylicie się, sądząc, że wasza waga sejmowa odpowiada prawdziwemu stanowi kraju. Rzeczpospolita katolicką jest, a wy fenomenem nieszczęsnym, ale przelotnym...

— Obaczysz, zali przelotnym! Miarkuj się w słowach!

— Wygnałby nas wszystkich, żeby mógł!

— Nie, ichmościowie! Według mojego pojęcia wszyscy poddani winni posiadać równe prawa, bez względu na różnice wyznania...

— Słuchajcie! Słuchajcie! Zaczyna rozumnie gadać!

— Ale wara wyznania uważać za równe! Bo równe nie są. Każda herezja żywi się odłamkami prawdy. W każdej znajdziesz część słuszności, lecz tylko część, lecz tylko ułamek... Któż ułamek postawi na równi z całością? Miłościwy Panie! Władaj długie lata z miłą Twemu sercu małżonką, lecz nim ona wstąpi w granice Rzeczypospolitej, niech zmieni swą połowiczną wiarę na prawdziwą. Okruch na całość. Ułamek na pełnię...

— Ubliża nam! Ubliża! Nowego Skargę udaje! Sam bałwochwalca, naszej religii przygania!

— Panowie, bracia! Zacni ichmościowie! Powiedzcie zatem, coście do rzymskiej wiary prawdziwego Kościoła dodali? Bo ja wiem jeno, że każde odszczepieństwo coś ujmuje. Z tym się nie zgadza, owo odrzuca, tamtemu się sprzeciwia... Z całości okruchy wybiera...

— My, ludzie orężni, nie będziemy sporów teologicznych toczyć, bo to nie nasza rzecz. Znajdziesz waść takich, którzy cię splantują... Protestujemy gremialnie przeciw tenorowi waścinego dyskursu! Miłościwy Panie! Krzywda się nam dzieje.

— Wybaczcie mi ową krzywdę, waszmościowie. To nie ze złej woli wynikło. Wiem, owszem, że każdy czuje się skrzywdzony, gdy na jego wiarę napadają, bo wiara najświętsza, najdroższa rzecz... Ten tylko swej wiary nie broni, kto zgola jej nie posiada i jak nierozumne bydlę żyje. Dlatego nie może być dwóch różnych wiar ani w stadle małżeńskim, ani pomiędzy królem i narodem, ani między królową i poddanymi. Nie byłoby tam szczęścia ni pokoju, jeno ciągła opozycja i walka... Znów ktoś przytoczy komparację jakiegoś stadła żyjącego zgodnie, choć małżonkowie odmiennego są wyznania? Powiem mu śmieie, że dowód to oczywisty, że w owym stadle nie ma żadnej wiary, jeno obojętność duchowa i gnuśność.

— Mylisz się waść. Może być też tak znaczna wzajemna życzliwość, że wszelkie spory zładodzi.

— Z największą pokorą Majestatowi zaprzeczę. Miłościwy Panie! Największa życzliwość i afekt serdeczny nie wyrównają różnicy w poglądzie na istotę Sakramentu. Gdy jedno z małżonków przyjmuje, a drugie nie, gdy jedno Sakrament poważa i czci, a drugie zaledwie znosi, to z takiej odmienności wyniknąć musi też odmienny pogląd na obowiązki swoje, na potomstwo, na poddanych... Skutek podobnych dyferencji może być niechybnie tylko dwojaki: albo stadło wzajemnie się znienawidzi, walcząc ze sobą równie zapalczywie, jak się przedtem miłowali, albo dla obojga wiara straci wagę... W jednym i w drugim wypadku biada narodowi!

Król podniósł głowę, jakby chciał coś rzec, lecz zamilkł. Zaniepokojeni jego widocznym zmieszaniem dysydenci wzniesli wrzawę:

— Dość! Dość! Niech w kościele kazania głosi! Nienawiść do różnowierców mówi przez niego, nic więcej!

— Nienawiść? Dalekim od niej. Przypomnę niezapomniane słowa wielkiego kanclerza, Jana Zamoyskiego, którego mi umysł i rękę formował, słowa w tej Izbie do ichmościów innowierców powiedziane dawnymi laty: „Dałbym sobie prawą rękę odciąć — mówił onże kanclerz — byle was wszystakięh móc ujrzeć papieżnikami. Ale dałbym sobie odciąć obie ręce w waszej obronie, gdyby kto sumieniom waszym gwałt zadawał”... Przypomnę też wskazania księdza Piotra Skargi, zwanego Młotem na Ariany, którego mówił: „Złe heretyctwo, ale natury chwalebne; złe odszczepieństwo, ale krew miła...” Tak myślę jak oni obaj... Dalekim od nienawiści... Ani ambicja czy prywata mówią przeze mnie. Gdy mój przyjaciel, obecny tu pan marszałek koronny, namawiał, aby na ten Sejm przyjechać, odparłem, że już umarły, a upiory po świecie nie chodzą...

— O, toś waćpan słusznie rzekł! — zawołał ktoś z boku.

— Szkoda, żeś w tej dyspozycji nie pozostał.

— Nie pozostałem, bo zdarza się, że Bóg upióra powoła, by prawdzie świadectwo dał. Dlatego pozwolił biskupowi Szczepanowskiemu wskrzesić na sąd Piotrowina... Gdyby głos mój jak Piotrowina zza grobu dochodził, nie mógłby być bardziej bezinteresowny i troską o dobro Rzeczypospolitej wyłącznie natchniony... Miłościwy Panie! Dość spojrzeć po sali, by poznać, że głosowanie padnie po Twojej myśli. Z miłości do osoby królewskiej lub skłonności do herezji? Bynajmniej. Z obojętności! To nasza polska utrapiona cecha, że niby dzieci chwytamy zawsze tylko pozór rzeczy, że wszystko nam łatwo, że wszystko nam ujdzie, że na wszystko przystaniem... To nasza najgorsza wada kardynalna: I Ty, Pomazaniec, Król, uprawniasz ją, do niej się, miast do twardej uczciwości, zwracasz? Nasz jesteś, Miłościwy Panie! Wiesz, że nad naród polski nie masz przedniejszego, jeno go wychować trzeba. Dobry pedagog powiedzie go ku wielkim sprawom, uczyni żeń admirańdum mundi... Tym pedagogiem Ty masz być, Miłościwy Panie! Jakoż tego dokonasz, odbierając narodowi jedyne, na czym możesz się oprzeć — wiarę? Ten naród Twoją siłą, Twoją potęgą, a któż swój miecz rozhartuje dobrowolnie? Któż własną siłą kruszy?

...Rzeczpospolita jest chora... O, nie podnoście wrzasku, mili waszmościowie! Jest chora i grożą jej wielkie niebezpieczeństwa... Ty, Miłościwy Panie, masz być jej lekarzem zbawiennym... Jakoż to dzieło zaczynasz? Od zaognienia choroby? Jakiego przykładu udzielasz?

...Bóg tak zrządził, że królom pierwszą oblubienicą musi być ich naród. Rzekłem już, że król to nie szaraczek, którego ma prawo wzajemnego afektu szukać, na nic innego prócz gładkości i obyczajności wybranej dziewczki nie zważając. Pomazaństwo to kapłaństwo, chociaż w świeckim stanie!

...Wasza Królewska Mość stoisz u progu panowania, a Bóg łaskawie zezwoli, że będzie ono długie. Dwie drogi leżą przed Tobą: łatwa, przy-

jemna, lecz do destrukcji tron i naród prowadząca. Trudna i ciężka (bo cóż cięższego niż własny afekt poświęcić), lecz dynastię i naród do nieklamanej wielkości wiodąca. Niechaj Majestat Twój Miłościwy Panie, wyboru dokona.

Skończył. Usiadł. W sali panowała cisza. Ludzie wstrzymali oddech, czekając w napięciu, co król powie.

Król milczał długo. Głowę nieco spuścił, czoło zmarszczył, palcami po poręczy przebierał. Na koniec podniósł twarz, podrażnioną, zmęczoną.

— Rezygnuję z małżeństwa z księżniczką Nejburską — rzekł, zaciągając mocno usta. — Panie Marszałku, obrady jutro o zwykłej godzinie: porządek ordynaryjny, wtorkowy: sprawy Wielkiego Księstwa Litewskiego...

— Miłościwy Panie! — krzyknął z uniesienia pan Sapieha i chciał paść do nóg królewskich. Lecz nie zdążył. Władysław podniósł się raptownie z krzesła i wyszedł. Sesję przerwano.

W sali panował nieopisany tumult. Dysydenci byli wściekli i zarzucali Sapieże, że papieżowi pragnie się podlizać. Inni dziwili się, że choć wyklęty, tak za Kościołem obstawa. Prymas z oczami pełnymi łez usiłował przecisnąć się do niego poprzez tłum. Nuncjusz błogosławił go ze swego podwyższenia.

Usiłujący wymknąć się niepostrzeżenie pan Sapieha zauważył ten gest i zdziwił się.

Nie zna mnie z twarzy, więc nie wie, że to ja właśnie jestem ekskomunikowany... — pomyślał.

## Rozdział dwudziesty

Sława medyka z Wilna, który niegdyś samą królową Annę Jagiellonkę leczył, była całkowicie zasłużona, a ostatnio do wieńca tej sławy przybył nowy listek. Jak trafnie, jak mądrze określił chorobę Anusi! Przepowiedział, że jeżeli do wiosny przetrzyma, to ozdowieje — i tak rzeczywiście się stało. Życie Anusine, przez wiele tygodni podobne do ledwo pełgającego płomyczka, wzmocniło się, w miarę jak postępowała wiosna, jak dni były cieplejsze, łągi nad Bugiem zieleńsze. Już sina bladeść ustąpiła z jej policzków, na których zarysowywał się chwilami lekki rumieniec. Już i sama rwała się wstawać z łoża, na którym całą zimę przeleżała.

— Siostro — mawiała nieraz — mogłabym już jechać do Łucka.

— Wzmocnij się waćpanna — oświadczała siostra Placyda — wzmocnij się, bo w nowicjacie nie lada czekają cię trudy. Trzeba zdrowia, żeby im sprostać...

— Boję się, siostró. Jegomość ojciec pomyśli, że mi nie śpieszno, że mi żal...

— Waćpanna masz myśleć teraz o Ojcu, który jest w niebiesiech, i Jemu się starać podobać. Posłuszeństwo — to jedyne, czego On dziś wymaga od waćpanny.

Na takie dictum Anusia milkła, było jej jednak coraz ciężej. Znieczulenie wywołane osłabieniem i chorobą mijało, otaczający świat wołał na nią swoją krasą, bardziej niż kiedykolwiek zdawał się ponętny i ukochany.

Nie znaczy to, by się buntowała. Kiedyś kanonik opowiedział jej zawartą w Piśmie Świętym historię córki Jessego, poświęconej przez ojca na ofiarę. I ona była młoda, i do niej wszystko się śmiało. Nie protestowała i nie żaliła się również. Powiedziała: „Pozwól mi, ojcze, pójść w góry na trzy miesiące z przyjaciółkami moimi, żebym mogła pożegnać się z życiem...” I ojciec przystał na to. I poszła córka Jessego z towarzyszkami w góry, by tam opłakiwać swoją wiosnę, a gdy trzy miesiące minęły, wróciła, by zostać ofiarowaną.

Córką Jessego żegnającą świat czuła się Anusia, gdy objeżdżała z obiema siostrami okolice Kodnia, zatrzymując się po wsiach i przyściółkach, odwiedzając chorych, rozdając jałmużnę. Żeby ją dobrze wspomniano. Pani matka widziała rada te wyprawy i sama do nich zachęcała. Niech się dziecko napatrzy jeszcze na lasy rodzone, na ziemię, niebo i tutejszych ludzi. Na prośbę sióstr i Anusi zamiast ciężkiej kolasy z hajdukami, z pachółkami, dawano im zwykłą bryczkę z jednym tylko woźnicą i jednym pachółkiem, zdatną do przejazdu leśnymi drózkami. Ani łogoszowych, ani konnych. Po co? Zbójów od dawna tu nie ma, a wilki latem niestraszne.

Jadąc tak kiedyś stępa, bo droga była piaszczysta, napotkano idącą do Kodnia pielgrzymkę. Szeregi ludzi w płótniakach i łapciach szły, korzystając z czasu wolnego przed sianokosami, by się Najświętszej Pannie pokłonić.

— Stańmy, żeby na nich nie kurzyć — zadysponowała siostra Placyda.

Matfiej zjechał na bok. Pacholek Iwaśko zeskoczył z kozła i ruszył z wielką gałęzią oganiać z łbów końskich muchy. Mijający szli po mału, śpiewając. Śpiew nie przeszkadzał im przyglądać się ciekawie pojazdowi, lśniącej uprzęży, zakonnicom i bladej młódce pośrodku.

Naraz podwójny niespodziany okrzyk. Ktoś wyskakuje z szeregu Odzież szaraczka, lico młode, harde.

— Anuska!

— Staszek! O Boże!

— Jedźmy! — nagli siostra Placyda.

— Stój Matfiej! — krzyczy młody rozkazująco i Matfiej stoi. A do siostry: — To moja narzeczona za zgodą ojców...

Matfiej zeskoczył z bryki i pilnie poprawia coś przy podogoniu le-



wego wałacha. Anusia nie mówi nic. Patrzy na Staszka jakby skamieniała.

— Skąd się tu waćpan wziąłeś? — indaguje surowo siostra.

— Do Kodnia idę przed obrazem Matki Boskiej o cud nad nami obojgiem i zmiłowanie prosić... Przebrałem się, żeby mnie nikt nie poznał, a ot, jak mi Bóg poszczęścił...

Patrzy uczciwie. Nie kłamie z pewnością. Znów zatonęli w sobie z Anusią oczami.

— Jedźmy! — powtarza po raz trzeci siostra Placyda. Głos jej brzmi tak rozkazująco, że Matfiej nie ośmiela się już przeciwzić. Mniszka gotowa na niego naskarzyć... Zbiera więc wodze. — Siadaj, Iwaśko!

Odjeżdżają. Kompania tymczasem przeszła, Staszek zostaje w środku drogi sam.

Na bryce Anusia chyli się do ręki siostry Placydy.

— Przysięgam, że ja nie wiedziałam... Nie chciałam.

— Wierzę, moje dziecko. Wola Boża.

I wnet po powrocie siostra Placyda idzie konferować z panem marszałkiem dworu. Nie w celu złożenia skargi na Matfiej, lecz dla uzyskania posłańca do Łucka. Posłaniec zawiezie list do przewielebnej matki przeoryszy, który siostra napisze dzisiaj odwieczernem.

Wróżebne znaki nie poprzedziły owego ważnego dnia. Aż dziwo, że zwierzę nierozumne, pies, koń, sowa, jaskółka, kret przeczuje mające się zdarzyć złe albo dobre wypadki, a człowiek nie przewidzi nic. Z rana nikt się nie spodziewał, co nastąpi przed wieczorem. Definitywny odjazd Anusi z obiema siostrami do Łucka miał nastąpić za parę dni i cały dwór zajęty był przygotowaniami do podróży, której nic już na przeszkodzie nie stało. Szafarka piekła placki i smażyła konfekty, które panienska miała zabrać w darze dla klasztoru. Sery obsychały w ogrodzie. Wojewoda od powrotu z Warszawy siedział zamknięty po dawnemu w wieży. Żniwa rozpocząć miano lada dzień, szczególnie że zanosilo się na stałą pogodę.

Tego to dnia przed południem wpadły na dziedziniec skarogniade z bułanymi (na krzyż) marszałka Drohojowskiego. Konie były zmydlone, aż piana padała na ziemię. Z kolaski wyskoczyli marszałek i Aleksander Sapieha, biskup wileński. Ten ostatni potrzasał z dała pergaminem opatrzonym pieczęciami i krzyczał na całe gardło. Obaj biegli i gestykulowali z takim podnieceniem, że wojewodzina, schodząc żywo, by gości powitać, pomyślała z przerażeniem, że z upału rozum się u obu zwarzył. Z alteracji dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, co jednogłośnie wołają:

— Jejmość dobrodziejko! Kłątwa zdjęta! Kłątwa zdjęta! Nuncjusz pismo przysyła od Ojca Świętego...

— A słowo stało się ciałem! — jęknęła i osłabła z wrażenia, aż musiała przysiąść na ławie, bo nogi gięły się pod nią. Zapominając o wszel-

kiej obyczajności, przybyli niechali ją, sadząc do górnych komnat po trzy stopnie na raz. Zakołotali natarczywie do wieży.

Pan Sapieha niechętnie, jak zwykle, odryglował drzwi.

— Kłątwa zdjęta, mości stryju!

— Kłątwa zdjęta, Mikołaju!

— Co? Jak? Powiadajcie! Na rany Chrystusa!

— Kłątwa zdjęta! Tu jest list od Ojca Świętego! Nuncjusz mi go dał... Jegomościuniu, panie stryju, wiedziałem, że moja zeszloroczna podróż nie minie bez skutku!... Oto skutek!

— Tereferę, biskupieńku. Nie chwalcie się zbyt. Nie wasza podróż, tylko rezygnacja króla z heretyckiego małżeństwa...

— Tak waśc sądzisz? A ja jestem przekonany inaczej.

Pan Sapieha nie słyszał tej kontrowersji. Drżącymi dłońmi odłamał pieczęcie listu. Do komnaty wbiegła wojewodzina zalana łzami. Wsparła się o ramię męża, usiłując czytać razem z nim.

„Drogi, uprzejmie nam miły!

Ojcowskim okiem śledząc czyny wszystkich Naszych w Chrystusie poddanych, nawet tych, których postęпки wielce Nas zasmucają, stwierdziliśmy dowody Twojej pobożności, niewątpliwej i szczerzej, acz nieobliczalnej.

Toż stwierdzenie bierzemy za powód, by Nasze postępowanie ku Tobie zmienić, nakłaniając je ku miłości i łasce. Co tym chętniej i skorzniej robimy, że najprzewielebniejszy Honorat Visconti, arcybiskup larysseński, w Rzeczypospolitej Polskiej nuncjusz od Stolicy Apostolskiej, dwukrotnie już suplikę w Twej sprawie zanościł. Przetoż Ci pismem niniejszym absolucję Naszą przesyłamy, wszystkie cenzury i kary kościelne darowujemy, zatrzymując jedynie pielgrzymkę do Rzymu, w dowolnej wszelako lokomocji. Przy czym nadmieniamy, iż radzi Cię widzieć jak najspieszniej u tronu Naszego będziemy.

Zacności Twojej z miłością błogosławimy, Boskiej protekcji cały ród Twój polecając.

Dan w Rzymie u świętego Piotra, pod pieczęcią Rybołowa, dnia 3 maja, roku od Wcielenia Pańskiego tysiąc sześćset trzydziestego piątego, roku papieżstwa Naszego dwunastego.

Podpisał ręką własną: Urban VIII, biskup rzymski, Sługa sług Bożych.”

Wyklęty przeczytał pismo raz. Potem drugi raz, jak gdyby niepewien, czy dobrze zrozumiał. Potem odetchnął głęboko i nie mówiąc nic do nikogo podszedł do okna, otworzył je i wychylił głowę na letnie, wonne powietrze. Powiódł wkoło oczami, zdumiony zachwycającą urodą świata. Tenże to sam widok, który przed chwilą zdawał mu się przysypany popiołem i zaludniony złowrogimi widmami? Tak się odmienił?! Jak jasne i piękne wydaje się słońce, złociste Oko Opatrzności wędrujące ponad ziemią! Jak luba zieleń nadbrzeżna i pierzchliwe

barwy odbijających się w wodzie obłoków! Boże miłosierny! Wskrzesałeś mnie, jak niegdyś Łazarza... Leżałem zacuchły w grobie, a teraz odżyłem. Całun mnie okrywał przez dwa lata blisko... Oto jestem, Panie, i żyję... Zawolałeś na mnie i powstałem...

Żona szlochała, oparta czołem o krawędź stołu. Rozgrzeszony mąż podszedł do niej i pogładził jej siwą głowę z czułością.

— Wielbij, duszo moja, Pana — szepnął.

— I rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim — odparła z uniesieniem, głosem przerywanym łkaniem.

— Jejmość, jutro wyruszę pieszo do Rzymu.

Marszałek dosłyszał te słowa i przerwał dyskusję z biskupem.

— Jutro!? — krzyknął. — A weselisko mamy bez ciebie odprawić?!

— Weselisko?...

— Niby nie wiesz, jakie? Mojego Staszka z twoją Anušką, tak jak byli sobie przyrzeczeni... Nie będziesz już jej chyba do klasztoru słał? Prawda mości dobrodziejko?

Wojewodzina przytaknęła głową, niezdolna słowa przemówić.

Pan Sapieha patrzył w okno niewidzącymi oczyma.

— Wrócę niedługo — zapewnił.

— O, nie, rybeńko! Nie! Znów ci się jakiś obiekt w obejściu papieskim spodoba i nowe wynikną turbacje... Młodzi niech się pobierają zaraz, tylko zapowiedzi zdążym dać...

— Spieszno mi iść.

— Trudno, bratku. Możesz dla Anusi coś zrobić. Dość ona zrobiła dla ciebie.

— To prawda — przyznał. — Wiele czasu wam potrzeba?

— Sześć niedziel!... — szepnęła nieśmiało wojewodzina.

— Tandem wyjdę ósmego września, w dzień Narodzenia Najświętszej Panny... Zwijajcież się, jejmość, a żywo, żebym tego terminu odkładać nie potrzebował.

— Odłożysz go, Mikołaju, jak Bóg miły, aż do wiosny.

— Za nic! Jakie znowu impedimenta widzicie?

— Zima — wyjaśnił lakonicznie marszałek. — Żaden pątnik w zimową porę nie wyruszy, bo skapieje...

— Ja pójdę.

— Na październikowe, listopadowe niepogody? Zmiłujże się, stary! Zastanów! W ogóle po co iść piechotą? Ojciec Święty zostawia tobie wybór lokomocji i dodaje, że pragnie cię widzieć co rychlej... Przy złej pogodzie, krótkim dniu, powędrujesz pół roku bez mała... Zali to nie grubiaństwo wobec życzenia Ojca Świętego?

Pan Sapieha machnął niecierpliwie ręką.

— Pieszko pójdę, bom tak sobie postanowił... A że zła pora mnie w drodze przyłapie, tom rad... Niech będzie choćby najgorsza...

I tak będzie mi się zdało, że stąпам po różach... — pomyślał.

Drzwi gwałtownie pchnięte otworzyły się szeroko. Kanonik Boćkowski wpadł jak bomba. Już wiedział.

— Victoria! — krzyczał. — Do kościoła, ichmościowie, chodźmy żywo! Orędownicze naszej podziękować.

— Anuśka!... Strach, ile nacierpielim się!... Co? Nacierpielim...

— To dobrze...

— Dobrze?! Że tyle utrapienia było?...

— A ino.

— Jeszcze kapkę dłużej, byłbym ze wszystkim oszalał. Kiedyś dziewczki w Brzeziu zaczęły jakby na złość — a może naprawdę na złość, za to, że nie nie patrzył — śpiewać tę pieśniczkę, wiesz?

Kazała mi pani matka czarną suknię szyć,  
A ja nie myślałam zakonnica być...

...To wiesz, małom domu całego nie rozniósł.

— A mnie żal...

— Czego, Anuśka! Klasztoru?... To już nie miłujesz mnie?...

— Oj, miłuję cię, Staszku, miłuję... Ale mi żal, sama nie wiem czego...

(Córce Jessego też byłoby radośnie, lecz zarazem czegoś żal, gdyby, zszedłszy z gór, dowiedziała się, że jej ofiara została cofnięta.)

— A tamtą piosenkę znasz?

— Pewnie, że znam...

— Pamiętasz koniec:

Wejdę na chór, spojrzę na dół, zobaczę miłego...  
trzymajcie mnie, zakonnice, bo skoczę do niego...

— Pamiętam, ale ja bym nie skoczyła...

— Wiedziałem, że mnie już nie miłujesz! Ty mniszko!

— Miłuję cię, ale w klasztorze byłabym także szczęśliwa...

— Anuśka, nie opowiadaj takich rzeczy, bo mi się zda, że cię odmienili... Jakbyś inna była, nie moja...

— Twoja, Staszku, twoja i ta sama, tylko...

Dziewczyna milknie, zakłopotana. Nikomu, nikomu nie potrafi wypowiedzieć, co się jej po głowie snuje. Jednej siostrze Placydzie mogłaby się zwierzyć, ale siostra Placyda odjechała już do Łucka, błogosławiąc ją, Anusię, na odjezdnym. Obdarował pan ojciec klasztor, obdarował! Cztery kowane wozy pojechały za siostrami. Będzie matka Agnieszka kontenta...

Zadowolona, że może zwrócić uwagę narzeczonego na inny temat, Anusia zaczęła wyliczać te dary.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Pozornie długa i męcząca droga jakże w rzeczywistości jest lekka i łatwa! Idzie sobie jaśnie pan... Nie! Otóż właśnie w tym rzecz, że wcale nie jaśnie pan. Idzie sobie po prostu wysoki siwy wędrowiec, w pielgrzymiej opończy, którego nikt nie zna i któremu nikt się nie kłania. Kolasa, ogier wierzchowy, wozy z bogatym taborem, paradnym przyodziewkiem, klejnotami, srebrną stołową zastawą, antałkiem z patercymonem, z małmazją — zostały daleko z tyłu, zaś lekka kolaska, którą jedzie przodem pan Hornowski, aby zamawiać kwatery, wysunęła się naprzód na tyle, że wędrujący może się czuć całkowicie sam. Spotykający go przechodnie nie domyślają się jakiegokolwiek łączności między pieszym podróżnym a tamtymi pojazdami. Głowa odkryta, wiatr wicherzy siwy podgolony czub, w ręku kijaszek podróżny. Ni szabli, ni czekana, ni żadnej broni w ogóle. Nie ma też mieszka u pasa, płótno w kieszeni, przez ramię przerzucony węzełek z żywnością. Maszeruje rażno od świtu do południa, od południa do zachodu, z przyjemnością uderzając stopą w giętką, jakby z rzemienia uplecioną ścieżkę. Ulubił sobie te steczki, ścieżyny, co niby służki pokornie wiją się tuż przy gościńcu. Tu od kolein odskoczą, tam sobie skrót przez mokre łąki wymyślą, przewiną się ówdzie pod zwisającymi nisko konarami, powiodą górą, gdy droga idzie parowem, znów do szlaku zbiegną i posłusznie przy nim swój bieg ułożą. Swobodne i pokornę są przydrożne ścieżki, przeto same swobody i pokory uczą — dwóch przymiotów najcenniejszych, a pono wśród ludzi najrzadszych. Bo bywa na świecie wiele służalstwa, lecz rzadko spotkasz pokorę. I jest mnogość swawoli, rozpasania, rozwydrzenia, a niezmiernie mało swobody.

Takie myśli snuje pan Sapieha po raz pierwszy w życiu, krocząc ścieżką, miast walić środkiem drogi paradną kolasą lub spoglądać na świat z grzbietu pysznego bachmata. Ten sam świat oglądany z dołu wydawał mu się teraz całkiem odmienny. Przyczyna tej odmienności leżała nie tylko w tym, że obecnie sam był mniejszy, więc wszystko widziało się większe. Gdy wyciągniętym kłusem dobrej czwórki spieszenie i z pańska przemierzał gościńce, najazd jego wzbudzał nieufność i lęk wszystkiego, co nie było panem urodzonym. Życie ubogich lada jakiego stanu ludzi, życie zwierząt, ptaków i wszelkiej drobnej zwierzyny kryło się zarówno przed gromadą rycerską, jak przed poczem wielkopańskim. Schodziło śpiesznie z drogi, nakładało maskę, układało oblicze w fałdy wyrównane, nic nie mówiące, wciskało się w szczeliny, by wysunąć głowę, dopiero gdy pył wzniesiony przez przejeżdżających opadł z powrotem na drogę.

Ale nikt się nie lękał pieszego pielgrzyma, który w bogactwie owych różnorodnych bytów mógł przyjąć współudział życzliwy. Nikt nie krył się przed nim zawczasu. Stary łowca, pan Sapieha, z lubością kosztował poufałości z prawdziwym życiem lasu. Choć wiele czasu spędzał daw-

niej w puszczy, nie zdarzyło mu się jeszcze oglądać z bliska liszki i jej młodych, ociężałego borsuka, przemyślnego bobra. Nie dziwota. Ilekroć wyjeżdżał do lasu, poprzedzała go sfera ogarów, towarzyszyli dojeżdżacze i szczwacze, sokolniczowie, psiarczyki, wrzeszczała nagonka. Teraz wychodząc z cienia na światło polany, nie płoszył pasących się sarn. Podnosiły z wdziękiem swe prześliczne głowy, patrząc na wędrującego z czułą ciekawością. Na nowinach napotykał zajęczych zalotników odprawiających ostatnie tegoroczne gody, kicających zapalczywie wokół długouchej samki. Zdarzało się, że szarak zatokowany na widok pielgrzyma marszczył nos, tupał nogą i groźnie ruszał wąsami, aż wojewoda brał się za boki szczerze ubawiony. Jakież to było nowe, miłe, śmieszne! Żałował, że nie ma z nim kogoś drugiego, z kim by mógł podzielić się swą uciechą. Ale nie kogoś z orszaku, nawet nie żony, na pewno nie synów. Chyba tylko jednej Anusi... Może i jej nie. Po prostu jakiegoś dziecka, niewinnego i beztroskiego, jak on pod tę porę. (Śmiech to mówić, stary chłop przecie, ale naprawdę tak było.) Z dzieckiem najłatwiej by się dorozumiał, ukazując mu cudnie barwionego zimorodka siedzącego ponad wodą.

Gdy dolegały zmęczone stopy, siadał nad pierwszym spotkanym strumieniem, ściągał chodaki, onuce, z rozkoszą zanurzając nogi w bystry, rzeźwiący nurt. Tak siedząc, wyciągał z węzełka chleb z mięsiwem, stanowiący jego południowy posiłek, jadł i kruszył chleb rybom napływającym łakomie zewsząd. Jadł i Boga chwalił. Jadł i nasłuchiwał klangoru żurawi ciągnących z Polski w tę samą co i on stronę. Zrywał się na nogi, dopiero gdy nadjeżdżający powolny turkot dawał znać, że tabor się zbliża.

Jadący na wozach dworzanie i słudzy nie dzielali dusznego zadowolenia pana. Przeciwnie, byli setnie zmęczeni, znużeni. Pragnęli, by się utrapiona podróż nareszcie skończyła. Całą drogę stępa! Toż oszaleć można! Gnaty ich bolały, muchy kąsały, słońce piekło. Pili, jedli, grali w kości leżące na wozach, spali całe dnie, ziewali i klęli.

— Jejej! Jak nudno! — narzekał Daniło.

— A panok bieżył, taj bieżył...

— Zdrow stary, idzie jakby drogi nie czuł...

— Diabeł go już za kołnierz trzymał, to mu teraz wszystko służy...

Nie tylko świat leśny odkrywał rzeczy dotąd wędrowcowi nie znane. Idąc napotykał pieszych jak on ludzi, którzy go nagabywali, mową często nieznaną, a czasem zrozumiałą. Pierwszym odpowiadał na migi, że idzie daleko, daleko, z daleka, z daleka, i całował zawieszony na szyi pielgrzymi krzyż, tłumacząc w ten sposób cel długiej wędrówki. Rozumieli doskonale, częstowali go chlebem i również na migi litowali się, że idzie jesienią, gdy zimna mogą lada dzień zaskoczyć. Z drugimi wymieniał chrześcijańskie pozdrowienie, a gdy szli w tę samą stronę, nawiązywał krótszą lub dłuższą rozmowę... Przygodni ci zna-

jomi należeli do nieprzeliczonej cizby biedoty, komorników wiejskich, wyrobników, dziadów proszalnych, rybaltów, wagantów i wędrownych grajków. Rzadko zdarzył się rzemieślnik, kupiec czy gospodarz, ci bowiem jeździli wozami. Piesi towarzysze był to zarazem rodzaj ludzi, których pan Sapieha do niedawna nie dostrzegał, a ocierając się o nich — nie widział. Przypuszczenie, że są oni Bogu i Najświętszej Pannie równie mili jak urodzeni, że każdy z nich jest bliźnim, bezcenną Krwią Chrystusa Pana odkupionym — było świeże w jego sercu. Zdumiewał się też skrycie, że owe rozmowy przygodne, wiedzione od zakrętu do zakrętu drogi, od wsi do wsi — nie odbiegały wiele w treści od dialogów toczonych między urodzonymi. Podobnie tu, jak tam, trafiał na ludzi mądrych i na ludzi głupich, życzliwych lub wrogich, bystrych albo gapiowatych, bezinteresownych, to znowu na wyrachowanych. W czym więc leżała różnica? W ubraniu? Z czego my się tak pyszniemy?

Łaskawa październikowa pogoda trwała bardzo długo, aż do Tadeusza Judy, Apostoła. Wnet potem zaczęły się zimna i pluchy. I one jednak nie zmieniły radosnego nastroju pielgrzyma. Otulony w opończę, borykając się z wiatrem, szedł wciąż wytrwale i rażno. Wokół życie zamierało lub zapadało się głębiej. Szare przedziwo deszczu odgradzało idącego od rzeczywistości, skłaniając ku rozmyślaniom. Myślał, jak wielkim szczęściem jest możność odprawienia pokuty, jak to dobrze, że deszcz siecze i zimno przenika. I jakie drobne są te dolegliwości w porównaniu z tym, co czuł, gdy pozostawał wyklęty...

Czasem, mijając znajome osady, wspominał poprzednią podróż, ową szaleńczą ucieczkę z cudownym obrazem. Dziwił się w duchu, że błogosławieństwo i obecność Maryi odczuwał teraz bliżej niż wówczas, chociaż miał Ją przy sobie na łąku. O, bo z pewnością towarzyszyła mu Ona obecnie, uśmiechała się, gdy brnął bez sprzeciwu przez bajora rozkisłych dróg. To świadomość tej obecności sprawiała, że szedł, jakby miał skrzydła u ramion, że gdy na koniec sto trzydziestego piątego dnia podróży ujrzano majaczące w dali Wieczne Miasto, gdy cały tabor dzięki składał Bogu, pan Sapieha poczuł przejmujący żal, że końca pokuty już doszedł.

Uroczyście i serdecznie witał Ojciec Święty niedawnego świętokradcę. Wokoło tronu zebrali się kardynałowie oraz przedstawiciele obcych państw przy Watykanie. Przed posłem hiszpańskim paziowie trzymali na poduszce order Złotego Runa, dar króla Filipa IV dla Kodnia, w dowód tożsamości obrazu Madonny z czcigodną Łukaszową statua Gwadelupeńską. Gdy wojewoda, wyczyszczony ochędożnie z pyłu i błota, lecz wciąż w pielgrzymim stroju i chodakach, padł z płaczem do nóg Ojca Świętego, Urban VIII podniósł go czule i uściskał. Wojewodzińscy rękodajni wysunęli się wtedy, okrywając barki pana kosztowną książeczą delią, a do ręki wtykając sobolowy kołpak z białą czapłą kitą i brylantowym otrzęsieniem. Kardynał sekretarz nosowym głosem odczytywał przygotowaną zawczasu bullę tej treści:

„Urban VIII, Sługa sług Bożych. Ku potomnym wszystkich pamięci. Wszem wobec i każdemu z osobna, którzy to pismo czytać będą, życzymy zdrowia duszy i ciała, i błogosławieństwa Tego, który jest zdrowiem świata. Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Właściwa jest Biskupowi Rzymskiemu rzecz mieć wzgląd na położenie chęci wiernych Pańskich i z Pasterskiego urzędu zadość im czynić — szczególnie jeśli dezyderata one dopomagają do szerzenia chwały Bożej.

Takową myślą kierowani rozważyliśmy życzliwie sprawę miłego Syna Naszego, Mikołaja Sapiehy, a widząc gorliwą jego pobożność oraz miłość i szczególne nabożeństwo do Naszego Pana Jezusa Chrystusa i Matki Jego Najświętszej, postanowiliśmy ku jego prośbom życzliwie się przychylić i łaskawie tychże wysłuchać.

Tedy uroczystym aktem niniejszym oznajmiamy wszem wobec i powagą najwyższej Naszej Władzy potwierdzamy, iż wszelkie cenzury i kary kościelne ciężące na rzeczonym miłym synu Naszym, Mikołaju Sapieze, kasujemy, zmazujemy i darowujemy. Obraz Madonny Gregoriańskiej, zwanej też di Guadelupe, uwieziony przezeń z Rzymu, na wieczne czasy rodowi jego ofiarowujemy, iżby w dziedzicznym mieście jego Kodniu znajdował się i tam po wszystkie wieki cześć znakomitą odbierał. I aby tak, a nie inaczej było trzymane przez którychkolwiek Sędziów praw, Apostolskiego Dworu Legatów, Wicelegatów i rzeczonej Stolicy Nuncjuszów — domagamy się. A zaś za nieważne i nikczemne wszystko, co by ze złośliwości lub niewiadomości przeciwko temu zdarzyło się kiedy czynić. Żadnemu z ludzi nie wolno będzie temu listu, Naszego rozgrzeszenia, zezwolenia, nadania, dekretu przestąpić albo płochą śmiałością przeciwzić się. Ktokolwiek by zaś na to się odważył, niech wie, że w indygnację samego Wszechmogącego Boga i Świętych Apostołów Piotra i Pawła wpadnie i w kolizję z władzą Naszą wejdzie. Amen”.

Upoważnienie asystowania cichej mszy papieskiej w małym oratorium stanowiło jeden więcej dowód życzliwości Urbana VIII, jednakże pan Sapieha szedł na to nabożeństwo z niepokojem. Natura ludzka jest tak zawikłana i nieobliczalna, że on, co przez trzy lata ubiegłe nie był w stanie odczuć skruchy, co, bywało, buntował się i pieklił przeciw nuncjuszowi i samemu Ojcu Świętemu, teraz, kiedy został rozgrzeszony, gdy wina jego przestała istnieć, poczuł spóźnione wyrzuty sumienia. Aleksander Sapieha powróciwszy niegdyś z Rzymu opowiadał, że ołtarz w papieskiej kaplicy pozostaje pusty, taki, jakim go zastano nazajutrz po rapcie, i pan Sapieha obawiał się tego widoku. Nie znał Urbana VIII, który był równie wielkoduszny, jak popędliwy. Gdy karał, karał bez litości, lecz gdy przebaczał, przebaczał całkowicie, do dna. Natychmiast też po cofnięciu klątwy wstawiono w pustą ramę ołtarza inny piękny obraz Madonny, na znak, że tamta sprawa została zakoń-



czona i nie ma co do niej powracać. Lecz pan Sapieha nie wiedział o tym i ze drżeniem przestąpił próg oratorium. Klęknął, ukrywając twarz w dłoniach, i nagle, z niewymownym wzruszeniem odczuł to samo, co niegdyś na tym miejscu: zapalenie ducha, wzniesienie się ku niepowszednim wyżynom, przeniknięcie Bogiem tak silne, że łązy radości, błogostawione łązy świętych popłynęły mu strumieniem z oczu. Takie uskrzydlenie duszy mogło być tylko dziełem Maryi, bez pośrednictwa której człowiek nie wzniesie się nad samego siebie, zatem Ona była tutaj jak dawniej, królowała, wypełniała słodczą Swej mocy kaplicę! Sapieha nie zabrał Jej, nie ukrzywdził Watykanu, nie zubożył Rzymu. Maryja była równocześnie w Kodniu i tutaj, i na całej ziemi, wszędzie jednako współczująca. Nie związana ze swym wyobrażeniem, wypełniała przestrzeń, wysiłki ludzkie nie były w stanie ograniczyć Jej, uszkodzić albo znieważyć.

Pograżony w szczęśliwej modlitwie pokutnik niejasno zdawał sobie sprawę z przemiany, jaka się w nim w tej chwili dokonywała. Gdy modlił się tutaj przed trzema laty i zdrowie cudownie odzyskał, wierzył jak dziecko albo barbarzyńca, utożsamiając z obrazem Maryję. Jej moc, potęgę i piękno. Z miłości ku Maryi gotów był popełnić największą zbrodnię, szaleństwo, byle obraz, ten właśnie obraz, posiadać. Zdawało mu się, że opieka Maryi od tego zależy. Obraz przesłaniał wiecznie żywą, niewidzialną Królową Nieba i Ziemi. Dziś wzniosł się nad te pojęcia. Nie tracąc nic na umiłowaniu i czci, cudowny obraz kodeński przestawał być dlań Maryją samą, stając się tylko Jej wyobrażeniem. Obraz miał od Boga daną siłę naprowadzania ludzi na właściwy trop Królowej i Matki, i w tym leżało jego niezmierne znaczenie. Sprawiane za jego pośrednictwem cuda i łaski nie płynęły z malowidła, z barwnieskażonych starością, lecz od Tej, którą malowidło przedstawiało. I pan Sapieha pojął, że może się zdarzyć po wiekach, oby jak najdłuższych, że święte czczigodne płótno zetleje lub spleźnie. Pojął, że Kodeń wraz z bazyliką, którą zamierza wystawić, i z obrazem zginać może — a przecież Maryi przez to nie ubędzie i chwała Maryi na tym nie ucierpi.

Tę chwałę, tę moc, ten czar macierzyński każdy człowiek ujrzy nie przez wizerunek, lecz w rzeczywistości swojej, gdy będzie zbawiony. Na to uprzytomnienie dusza pana Sapiehy wyszła z ciała i jęła prosić Boga o rychłą śmierć, by prędzej tego szczęścia dostąpić...

Choć kardynał Francesco Barberini usunął się w ostatnich latach z życia politycznego i dworskiego, panu Sapieże udzielił chętnie audiencji. Nie bez wzruszenia wojewoda stanął przed nim. Obaj znacznie postarzelisi od czasu ostatniej rozmowy. Twarz kardynała wyrażała po dawnemu wolę i przenikliwy rozum, dołączył się do nich jednak wyraz słodczy, dawniej nieobecny.

— Waścine imię — rzekł z wyszukaną uprzejmością — posiada przy-

wilej budzenia żywego rozgłosu wśród rzymskiego ludu. Po raz trzeci znajduje się ono na wszystkich ustach. Najpierw z racji cudownego uzdrowienia, potem z okazji nieszczęsnego raptu, na koniec obecnie z powodu pieszej pielgrzymki z tak dalekiego kraju, w najgorszej porze roku dokonanej...

— Mimowolna fama, o której lepiej nie mówić. Eminencja raczyłeś dotknąć faktu, którym cię uraziłem głęboko. Przybyłem tutaj, aby najpokorniej o przebaczenie za mój postępек prosić...

— Przebaczyłem go już dawno...

— Bóg zapłać, Bóg zapłać... Gdybym mógł jeszcze mieć pewność, że ów nieborak zakrystian, przeze mnie na śmierć skazany, przebaczył mi również...

— Ulży waści niewątpliwie, gdy powiem, że zakrystian umarł w Łasce, otrzymawszy rozgrzeszenie. Matka Boża dała mu dobrą śmierć...

— Ja go kusilem...

— Nikt nie bywa kuszony nad miarę... Nie umniejszam winy waści, lecz przypominam, że niepożytecznie jest rozważać grzechy już darywane i odpokutowane. Dostyc ci ma dzień na swej nędzy. Ustrzeżmy się raczej grzechów nowych! A cała tamta bieda nie miałyby miejsca, gdybyś waść jeszcze nieco dłużej molestował. Chrystus Pan prawdziwie rzekł: „Kołaczcie, a będzie wam otworzone...” Ileż razy osiągnęlibyśmy, o co prosimy, gdyby nam na cierpliwości i wytrwaniu nie zbywało! Wówczas gdy waść wychodził z tej samej komnaty, myślałem sobie: Jeśli jeszcze raz przyjdzie prosić, namówię Ojca Świętego, by mu obraz darował...

— O wielkie nieba! Czyż być może, Eminencjo?

— Tak jest. Poruszony impetycznym pragnieniem waści, tak sobie postanowiłem uczynić...

Wojewoda zamilkł. Dni poprzedzające porwanie obrazu stanęły mu w oczach jak żywe. Zatem kardynał skłaniał się do jego prośby? Gdyby wytrwale nalegał, otrzymałby obraz, nie potrzebując uciekać się do zbrodni? Z legalnie osiągniętym skarbem wróciłby bezpiecznie i spokojnie do Kodnia, nie napastowany przez nikogo, przeciwnie, chwalony i wysławiany? Matka Boża królowałaby na Podlasiu, jak dzisiaj króluje, lecz on nie popadłby pod klątwę, nie siedział przez dwa lata w wieży niby więzień, żywy upiór napełniający wszystkich niepokojem, nie wymykałby się do kościoła nocą, po kryjomu... Nie istniałaby udręka ubiegłych trzech lat...

Nie byłyby zaznał grozy samotnych nocy, gdy wyklętego nic nie brońilo przed larwami piekielnymi, lecz... zarazem nie poznałby słodczy odzyskania Boga. Żyłby i umarłby jak setki tysięcy chrześcijan, co sami posiadane dobra nie cenią, nie znają, nie rozumieją... Aniby równie gorąco jak teraz miłował Najświętszą Pannę, aniby się rozrósł duchowo, dojrzał... Wszak obejrzwawszy się wstecz łącno stwierdził, że jest teraz innym, nowym człowiekiem. Zatem żałować powinien tego, co się stało, czy Bogu najgorętsze dzięki składać?

Powtórzył głośno tę wątpliwość kardynałowi, który nie okazał zdziwienia.

— Bóg wszystkim kieruje... — stwierdził.

— Eminencjo! Możliwe, by Bóg chciał, abym źle postąpił?!

— „Myśli moje nie są myśli wasze ani drogi moje nie są drogi wasze” — mówi Pan. — „Jak daleko jest niebo od ziemi, tak daleko są myśli i drogi moje od waszych...” — zacytował Barberini.

— Czymże my w takim razie jesteśmy?!

— Pokornymi współpracownikami wielkiego planu Bożego...

— Nie znamy go...

— Czeladnik murarski podający cegłę przy budowie bazyliki nie zna przyszłego jej wyglądu również. I gdyby nawet architekt kierujący budową pokazał mu swoje plany — pacholek ów nic by z nich nie zrozumiał. Niemniej jego wysiłek jest potrzebny i pożyteczny, jego opieka i troska lub zła wola mogą dzieło opóźnić, a gdy świątynia wystrzeli w niebo wieżami, zasklepi się cudnym łukiem, czeladnik poczuje zasłużoną dumą i z zachwytem powie: „Ja też pomagałem!...”

Zamilkli obaj. Myśli kardynała padrone powędrowały daleko, jakby usiłując dojrzeć ową budowę Bożą ogarniającą wszechświat cały, istniejącą in statu nascendi w zamysle Bożym wcześniej, niżli się zaczęły wieki, realizowaną z wolna przez miliony pokoleń i światów... Jej to piękno przeczuwał Paweł, gdy zapewniał, że oko nie widziało, ucho nie słyszało tego, co Bóg zgotował tym, którzy Go miłują... Jej zarys przyświecał Janowi na Patmos, gdy pisał Apokalipsę... Tęsknota za nią stanowi inspirację wszystkich artystów, od Jubala, syna Kaina, pochodząc...

Kościół wszechświata czy wszechświat Kościoła... Wszelki wysiłek staje się drobiną w mozaice pokrywającej wzniosłe ściany gmachu. Pozornie sprzeczne, skłócone, odmienne i bezsensowne, drobinę owe ułożą się w harmonijny wzór. Dzień Sądu Ostatecznego będzie dniem ukończenia Bożej pracy, klamrą zamykającą wieki, przestrzenie i czasy. W dniu tym plan Stwórcy będzie ujawniony. Wszelkie stworzenie zrozumie jego początek, przebieg i cel, i swój własny wkład włożony w to dzieło...

Milczeli długo. Myśli wojewody wędrowały snadź analogicznymi szlakami, gdyż niespodziewanie rzekł:

— Pamiętam, że w rozmowie ze mną przed trzema laty Eminencja raczyłeś powiedzieć, iż cokolwiek czynimy, zarówno dobro, jak i zło, jest dla Boga materiałem budowlanym...

— Słusznie to waśc zapamiętał. Wszystko jest Bogu przydatne. W braku szczerego złota serca zużyje On również twardy kamień, a nawet miazgę, jałowy piasek... Byle Mu przynieść, byle ofiarować... Bo jedna jest tylko człowiecza zasługa: dobra wola. I jedna jest tylko człowiecza wina: zła wola.

Ponowne milczenie przerwał dźwięk dzwonów Angelusowych, rozpo-

czynających swój chorał nad Wiecznym Miastem. Kardynał i wojewoda  
ukłękli bez słowa.

— Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi...

...I poczęła z Ducha Świętego...

...Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna... Błogosławionaś Ty między niewiasta-  
mi...

Dla Ciebie to wszystko zostało napisane, o Maryjo, błogosławiona  
Jutrzenko zbłąkanych, Matko wygnańców, Poczycielko smutnych i tę-  
skniących. Jak wierne drzewo wydałaś woń wdzięczną, a kwiaty Twoje  
owocem czci i uczciwości. Matko pięknej miłości i nadziei świętej, w To-  
bie wszelka łaska drogi i prawdy, w Tobie nadzieja żywota i cnoty.  
Kto Ciebie słucha — nie będzie zawstydzon, a kto przez Ciebie swe  
dzieła sprawuje — nie zgrzeszy. Matko uwielbiana i umiłowana, kró-  
lująca miłościwie w Częstochowie, Kodniu, Ostrej Bramie, Piekarach,  
Lourdes, Fatimie, Kazaniu, Kijowie, Loreto... W tysiącu miejsc sławiona  
i wyobrażana, wszędzie obecna, też sama, Krynico Nieustannej Pomo-  
cy, Stolico Mądrości Bożej...

... Boś nie zmyślona lub adumbrowana,  
Szcudrośliwości najwyższej fontanna,  
I wszech dobrodziejstw tak wielkiego Syna  
Suma jedyna.  
Przeto Cię pisarz tych memoriałów  
I starożytnych Twej chwały annałów  
Syna i sługi czci różnym respektem,  
Równym afektem.  
Chcąc, aby pióro tłumaczem serdecznym  
Trwało przy stopach Twych, które są wiecznym  
Szczęścia zaszczytem i bez omylenia  
Cechą zbawienia.

## Posłowie

Powieść, którą mamy w rękach, w pierwszej swojej wersji została napisana w r. 1923 i wydana w roku następnym. Nosiła tytuł łaciński *Beatum scelus*.

„Niezwykle piękna, głęboko przemyślana i świetnie skomponowana opowieść historyczna z pierwszej połowy XVII w. o cudownym obrazie Matki Boskiej Kodeńskiej”, pisał o niej historyk literatury Kazimierz Czachowski. Nazwał ją „arcydziełem opisu niezwyklej miary” a rozwiązanie zagadnienia religijno-moralnego uznał za „wysoki triumf pisarski”.

Autorka jednak, wydaje się, nie podzielała w pełni tej opinii. W miarę własnego dojrzewania i pogłębiania się doświadczenia religijnego, zwłaszcza w krańcowych sytuacjach wojny, zaproponowane czytelnikowi ujęcie przeżyć wewnętrznych Mikołaja Sapiehy wydało się jej coraz mniej zadowalające. W rezultacie dzieje obrazu Matki Boskiej Gregoriańskiej-Kodeńskiej, i Mikołaja Sapiehy wróciły na warsztat literacki Zofii Kossak.

W nowym opracowaniu został dość znacznie poszerzony wątek fabularny, ale na istotę zmiany zdaje się wskazywać polski, wszystkim zrozumiały, tytuł *Błogosławiona wina*. Główny akcent został przesunięty na duchowe dzieje bohatera, etapy jego wewnętrznej przemiany, chrześcijańskiego zrozumienia i dojrzałości. Pisarka ukazuje, jak działanie miłosiernej łaski otwiera go coraz bardziej na modlitwę i potrzebę zjednoczenia z Bogiem, uwalnia od tyranii potocznych sądów i opinii. Powoli wycicha w nim buntowniczy dialog wewnętrzny z sobą i całym światem, aby w końcu ustąpić miejsca prostemu zawierzeniu Mądrości i Miłosierdziu Stwórcy. I tak zrodził się nowy człowiek, radosny pielgrzym-pokutnik, w pokoju i pogodzie ducha idący szlakiem pątniczym, który przedtem przemierzał jako możny pan. Przeżywa radość, że za wina może odpokutować, a w każdym człowieku wita swego brata. Ze wszystkimi i z każdym czuje się zespolony nową miłością. Jest to człowiek przemieniony. Przepenia go radość odzyskania Bożego pokoju w nie znanej dotąd pełni. Towarzyszy mu poczucie duchowej obecności Matki Najświętszej, którą już umie odróżnić od takiego czy innego wyobrażenia.

Powieść *Błogosławiona wina* w 60 rocznicę pierwszej wersji ukazuje się na zlecenie Zgromadzenia Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej. Pragną oni także w ten sposób odzwierciedlić swój związek z cudownym

obrazem Matki Boskiej Kodeńskiej, w którego przedziwne dzieje — bynajmniej nie zakończone na etapie ukazanym w powieści — zostali wpisani ponad pół wieku temu.

W czasie rozbiorów Polski, na rozkaz władz carskiej Rosji, 2 VIII 1875 r. święty wizerunek Kodeński przy użyciu wojska został wywieziony na Jasną Górę i umieszczony tam w jednej z bocznych kaplic. Dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości można było myśleć o rewindykacji obrazu. Nastąpiło to w 1926 r. i najpierw obraz został oddany do pracowni konserwatorskiej. W 1927 r. Matka Boża Kodeńska ukazała się oczom mieszkańców Warszawy, najpierw w kaplicy zamku królewskiego, potem w Katedrze. Z kolei bp Przeździecki, ordynariusz diecezji siedleckiej, czyli podlaskiej, przewiózł obraz do Siedlec. Stamtąd rozpoczął się uroczysty pochód Pani Kodeńskiej do Kodnia.

Wtedy to w dzieje obrazu Matki Bożej Kodeńskiej zostali włączeni Misjonarze Oblaci Maryi Niepokalanej — bp Przeździecki powierzył im sanktuarium kodeńskie z jego skarbem. Mieli zająć się restauracją świętych obiektów, a parafian i wiernych czcicieli Matki Boskiej Kodeńskiej otoczyć opieką duchową na tym miejscu spotkania wszelkiej niedoli z Bożym Miłosierdziem za Jej przyczyną.

Od tego czasu minęło 55 lat. Nad Polską i Kodniem przeszła druga wojna światowa. Opieka Maryi uchroniła Kodeń, ale Jej świątynia ucierpiała od pocisków. Tak było potrzeba, aby odbudowa zewnętrzna przypominała ciągle dokonującą się tutaj odbudowę ludzkich sumień i przemianę serc.

Zgromadzenie Misjonarzy Oblatów słynące z działalności misyjnej w różnych częściach świata — Pius XI nazwał oblatów specjalistami od misji trudnych — ze swej nazwy i z intencji należy do Maryi, bo „oblat” znaczy ofiarowany Maryi. Toteż szerzą oni kult Matki Najświętszej i pełnią służbę przy Jej sanktuariach. Z Jej woli i łaskowości wezwani do posługiwania tym, którzy szukają miłosierdzia i ratunku u Matki Kodeńskiej, radośnie i ofiarnie pełnią swoją zaszczytną służbę.

W ramach tej służby dziś, w dobie Papieża-Polaka, czciciela Matki Bożej Kodeńskiej, gdy wśród wielorakich zagadnień wczytujemy się w encyklikę o Bożym Miłosierdziu, oblaci, Jej stróżowie, pragną dać Jej czcicielom tę opowieść o winie człowieka i Bożym Miłosierdziu, aby w ten sposób budzić ufność w sercach i torować drogę Miłosierdziu Bożemu. Zapewne jest to także forma opowiadania Dobrej Nowiny o Miłosierdziu Bożym, którą zaczął głosić Chrystus, i która nieustannie, i może coraz bardziej, jest nam wszystkim potrzebna.

Leonard Głowacki OMI

Adres kodeńskiego sanktuarium —  
Misjonarze Oblaci Maryi Niepokalanej —  
Plac 22 Lipca 1  
21-509 Kodeń